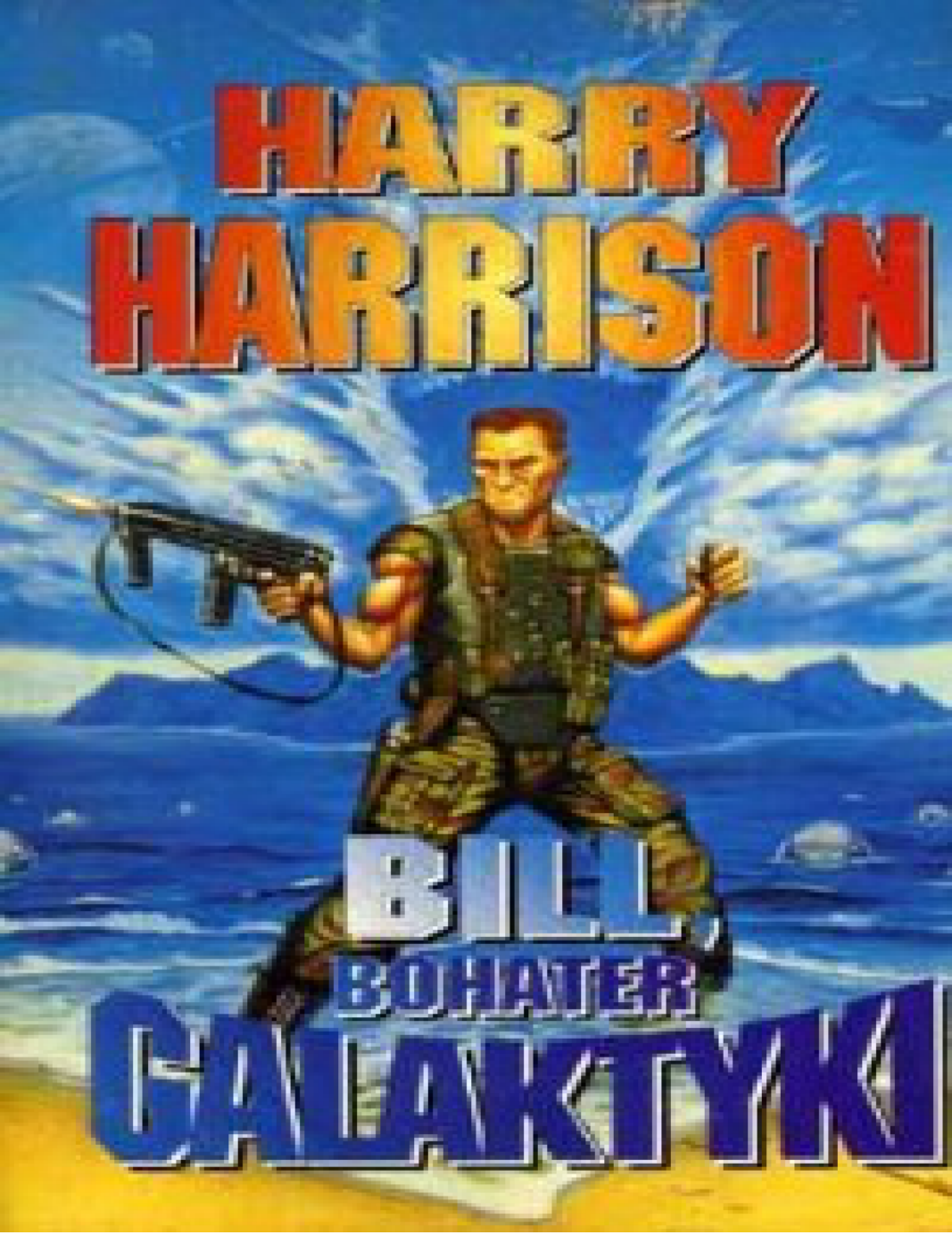
HARRY
HARRISON
BILL
BOHATER
GALAKTYKI

SHOUT
SHARE
IT

Annotation

Bill, Bohater Galaktyki to jeden z najbardziej cenionych utworów Harrisona i jednocześnie przykład humorystycznego nurtu jego pisarstwa. Jest on satyryczną polemiką z niektórymi aspektami twórczości najpopularniejszego z autorów amerykańskich — Roberta Heinleina.

Bill, Bohater Galaktyki jest odpowiedzią satyryczną na militaryzm, imperializm i szowinizm, na typ edukacji, który — zdaniem Harrisona — produkuje nie supermenów, ale odmóżdżone roboty. O ile Heinlein igra z ideą nadczłowieka, a jego nieśmiertelni lub superinteligentni manipulatorzy są przedstawiani z sympatią, o tyle Harrison nie ma wątpliwości, że superman jest szkodliwy!

- Harry Harrison
  -
  - 1.
  - 2.
  - 3.
  - 4.
  - 5.
  - 6.
  - 7.
  - 8.
  - 9.
  - 10.
  - 11.
  - 12.
  - 13.
  - 14.
  - 15.
  - 16.
  - 17.
  - 18.
  - 19.
  - 20.
  - 21.
  - 22.

Harry Harrison
Bill, Bohater Galaktyki

Memu brachowi serdecznemu Brianowi W. Aldissowi, który dzierży w dłoni sekstans i wyznacza kurs nam wszystkim.

1.

Bill w gruncie rzeczy nigdy sobie do końca nie uświadomił, że wszystko zaczęło się od seksu. Gdyby jednak owego ranka słońce nie świeciło tak mocno na wypolerowanym niebie Phireginadonu II i gdyby Billowi nie śmignął śnieżnobiały, baryłkowaty tyłeczek kąpiącej się w strumieniu Ingi Mani Calyphygii, to zamiast roztrząsać zawiłe problemy różnicy płci, przyłożyłby się bardziej do pługa i w momencie, kiedy na drodze rozbrzmiały upojne dźwięki muzyki, znajdowałby się już po drugiej stronie wzgórza i nic by nie usłyszał; a jego życie wyglądałoby zupełnie, ale to zupełnie inaczej. Tak się jednak nie stało, toteż Bill puścił rączki pługa ciągniętego przez robomuła i zaczął gapić się na drogę.

Widok był zaiste imponujący. Na czele pochodu szedł robot-orkiestra, wysoki na dwanaście stóp, znakomicie się prezentujący w wielkiej, futrzanej czapie kryjącej zestaw głośników hi-fi. Kroczył pewnie na swoich złotych, podobnych kolumnom nogach, a jego trzydzieści ramion rżnęło, szarpało i naciskało co się tylko dało w oszałamiającej ilości instrumentów. Wydobywała się z nich dziarska, wojskowa muzyka i nawet chamskie stopy Billa zaczęły się ruszać w drewnianych chodakach, kiedy błyszczące buty maszerujących za robotem żołnierzy odmierzały donośnym stukotem doskonale równy rytm. Medale pobrzękiwały na szerokich piersiach wojaków i w sumie był to bez wątpienia najbardziej podniosły widok, jaki można sobie wyobrazić. Za żołnierzami, wspaniały w swym półpancerzu, galonach, medalach, baretkach, przy szpadzie i krócicy maszerował sierżant, przecięty niemal na pół wojskowym pasem. jego stalowy wzrok spoczął na gapiącym się zza płotu Billu; wykrojone jakby z kawałka blachy usta wykrzywiły mu się w przyjacielskim uśmiechu, skinął nieznacznie głową i mrugnął porozumiewawczo. W chwilę później mały oddział pomaszerował dalej, a wraz z nim zakurzona horda podskakujących, pełzających czy jadących na kółkach robotów pomocniczych różnej maści. Kiedy i one zniknęły, Bill przelazł z trudem przez płot i pognał za nimi co sił w nogach. Wszelkie interesujące wydarzenia występowały na Phireginadonie II z częstotliwością dwóch na cztery lata, toteż nie miał zamiaru stracić czegoś, co zapowiadało się jako trzecie.

Kiedy zadyszany Bill wpadł na rynek, zebrał się tam już spory tłum przysłuchujący się porywającemu koncertowi. Robot-orkiestra rzucił się najpierw w gąszcz podniosłych taktów „Gwiezdnych żołnierzy w niebo równym krokiem", wyrąbał sobie drogę do „Rakietowego grzmotu" aż wreszcie omal się doszczętnie nie zdemolował w pogmatwanym rytmie „W piekle saperzy dzielnie kopią

dziurę”. Ostatni akord zaakcentował z takim przejęciem, że jedna z jego nóg wystrzeliła nagle wysoko w powietrze, została jednak zręcznie schwytana w locie i robot zakończył swój popis balansując na jednej nodze, oderwaną zaś kończyną wybijając takt. Po finałowym, rozrywającym bębenki forte na blachach, robot użył oderwanej kończmy jako wskazówki, kierując uwagę tłumu na przeciwległą stronę placyku, gdzie ustawiono trójwymiarowy ekran i budkę z napojami orzeźwiającymi. Żołnierze zniknęli tymczasem w knajpie i promieniujący serdecznym uśmiechem sierżant został sam wśród swych robotów.

— A teraz słuchajcie! Napoje na koszt Cesarza, a tymczasem, żeby wam się nie nudziło, parę kapitalnych, przygodowych scenek z dalekich krajów! — zawołał donośnym, twardym głosem.

Tłum skierował się w tamtą stronę, Bill oczywiście także i tylko paru zgorzkniałych, starszawych osobników, od wielu już lat skutecznie unikających zaciągu do wojska, zniknęło między domami. Napoje chłodzące serwowane były przez robota z kurkiem w miejscu pępka i niewyczerpanym zapasem plastykowych kubeczków w biodrze. Bill pociągnął z ukontentowaniem smakowity trunek, chłonąc jednocześnie bajeczne przygody żołnierzy z Oddziałów Kosmicznych, w kolorze, z efektami dźwiękowymi i stymulującym podkładem poddźwiękowym. Było tam wszystko — bitwa, chwała i śmierć, chociaż ginęli tylko Chingersi, jedyną zaś szkodą, jakiej doznawali żołnierze, były estetyczne, małe ranki na kończynach, dające się bez problemów przykryć niewielkimi opatrunkami. Bill zajęty był podziwianiem tego wszystkiego i nie miał zielonego pojęcia, że jego z kolei podziwia przybyły na Phireginadon II z Misją rękrutacyjną sierżant Grue, którego małe, świńskie, płonące chciwością oczka przywarły do karku Billa.

— To ten! — zarechotał pod nosem, nieświadomie oblizując wargi językiem pokrytym żółtawym nalotem. Już niemal czuł w kieszeni premię, jaką dostanie za tego osiłka. Tłum zebrany na placu składał się głównie z podstarzałych mężczyzn, tłustych kobiet, dzieciaków i innego nie nadającego się do służby materiału. Wyjątek stanowił ten barczysty, umięśniony kęs elektronicznego mięsa armatniego. Z precyzją świadczącą o dużej wprawie, sierżant zmniejszył nieco poddźwiękowy podkład i skierował w potylice swej ofiary wąski strumień stymulacyjny. Bill aż zadrżał cały, biorąc niemal udział w odbywającej się przed jego oczami wspaniałej bitwie.

Kiedy przebrzmiał ostatni akord i ekran zgasł, robot-barman załomotał donośnie o swoją metalową pierś wykrzykując „Napoje! Napoje!”. Publiczność, jak stado baranów, pośpieszyła gromadnie w jego kierunku, Billa natomiast zatrzymał na miejscu mocny uchwyt czyjejś ręki.

— Hej, mam tu coś dla ciebie — powiedział sierżant, wręczając Billowi kubek płynu zawierającego tak straszliwe stężenie środków osłabiających osobowość, że aż na dnie naczynia zaczęty tworzyć się ich kryształy. — Fajny z ciebie chłopak i na moje oko te dupki się do ciebie nie umywają. Myślałeś kiedyś o karierze w wojsku?

— Ja tam się do tego nie nadaję, sierżancie — Bill kłapnął parę razy szczęką i splunął, bo coś mu się dziwnie ciężko mówiło. Nie mógł też zebrać myśli, ale i tak dobrze świadczył o jego odporności fakt, że po takiej dawce chemicznych i poddźwiękowych stymulatorów w ogóle jeszcze trzymał się na nogach. Nie nadaję się. Ja tam chce być dobry w tym, co lubię, już prawie skończyłem korespondencyjny kurs na Operatora Mechanicznych Roztrząsaczy Obornika i…

— Eee, to trochę obciachowa robota dla takiego bystrego faceta — powiedział sierżant, poklepując go kontrolnie po bicepsie. Skała. Z trudem powstrzymał się od odchylenia Billowi wargi i obejrzenia mu zębów. Zdąży to zrobić później. — Niech to robią ci, co muszą, tu nie masz żadnej szansy na awans. W wojsku możesz zajść ho, ho, albo i wyżej. Weź na przykład admirała Pflungera — przeszedł, jak to się mówi, przez całą długość dyszy: od szeregowca do Wielkiego Admirała. I co ty na to?

— No, to bardzo miłe dla pana Pflungera, ale dla mnie roztrząsanie obornika jest jednak znacznie ciekawsze. O rany, ale mi się chce spać… Chyba pójdę się położyć…

— Najpierw zrób mi małą przysługę i popatrz na to — przerwał mu sierżant, wskazując książkę trzymaną przez małego robota. — Strój tworzy człowieka, a większość ludzi wstydziłaby się pokazać w tym nędznym chałacie, jaki masz na sobie, albo w takich buciorach. Czemu masz tak wyglądać, skoro możesz tak?

Gruby paluch wskazał Billowi, gdzie ma patrzeć — kolorową stronę w książce, na której, dzięki cudom techniki zastosowanej do zwyrodniałych celów, w pysznej czerwieni munduru Oddziałów Kosmicznych pojawiła się twarz Billa. Sierżant przewracał strony i na każdej z nich mundur był jeszcze wspanialszy, ozdobiony insygniami coraz to wyższej szarży. Ostatni należał do Wielkiego Admirała i Bill zamrugał z niedowierzaniem na widok wyzierającej spod ozdobionego pysznym pióropuszem kapelusza twarzy, co prawda pokrytej zmarszczkami i z eleganckim, szpakowatym wąsikiem, niemniej jednak bez wątpienia jego własnej.

— Tak będziesz wyglądał, kiedy staniesz na szczycie drabiny — wyszeptał mu do ucha sierżant. — Pewnie chciałbyś przymierzyć mundur. Krawiec! Kiedy Bill otworzył usta, żeby zaprotestować, sierżant wetknął w nie monstrualnych rozmiarów cygaro i zanim Bill zdołał je wyjąć, podjechał na swych kółkach krawiec, otoczył go ramieniem-parawanem i rozebrał do naga.

— Ej, ej… — wystękał Bill.

— To nie będzie bolało — zapewnił sierżant, wetknąwszy za parawan swą wielką głowę. Obrzucił pełnym aprobaty spojrzeniem umięśnione kształty Billa, dziabnął go palcem w mięsień piersiowy (skała) i cofnął głowę.

— Aua! — powiedział Bill, kiedy krawiec dźgnął go zimną linijką przy zdejmowaniu wymiarów. Po chwili w pękatym brzuchu robota coś zaszurgotało i ze szczeliny w jego przedniej ściance poczęła się wyłaniać olśniewająco czerwona bluza. W mgnieniu oka znalazła się ona na Billu, złote guziki zostały zapięte, po chwili doszły do tego paradne spodnie i błyszczące, sięgające kolan buty. Oszołomiony Bill zachwiał się nieco, kiedy parawan zniknął, a zamiast niego pojawiło się samobieżne, duże lustro.

— Dziewczyny wprost szaleją za mundurami — powiedział sierżant — i trudno im się dziwić. Wspomnienie idealnie okrągłych pośladków Ingi Mani Calyphygii zmąciło Billowi na moment ostrość widzenia, a kiedy ją odzyskał stwierdził, że ściska w ręku długopis i zabiera się właśnie do podpisania jakiegoś formularza podsuniętego mu przez sierżanta.

— Nie — powiedział, sam nieco zdziwiony swoim uporem — naprawdę nie chcę. Operator Mechanicznych Roztrząsaczy Obornika…

— Nie tylko dostaniesz ten wspaniały mundur i premię, ale lekarz zbada cię zupełnie za darmo, a w dodatku czekają jeszcze na ciebie piękne medale. — Sierżant otworzył płaskie pudełko, pokazując błyszczące rządki poukładanych ciasno odznaczeń.

— To, na przykład — powiedział z namaszczeniem, przypinając do szerokiej piersi Billa coś, co przypominało mały inkrustowany brylantami obłoczek — jest Honorowy Order Dla Wstępujących Do Armii, to Cesarski Pozłacany Róg Gratulacyjny, to Gwiezdny Krzyż Zwycięzców, to Cześć i Chwała Matkom Poległych Bohaterów, to zaś Wieczny Róg Obfitości. Co prawda, nic to nie znaczy, ale ładnie wygląda i można w tym nosić prezerwatywy.

Odstąpił krok wstecz, by móc w pełni rozkoszować się widokiem pokrytej wstążkami, kawałkami metalu i błyszczącymi szkiełkami piersi Billa.

— Ale ja… — zabulgotał się Bill. — No nie, dziękuję za propozycję, ale…

Sierżant tylko się uśmiechnął, przygotowany na większy nawet opór i nacisnął guzik na swoim pasie. Guzik ten uruchomił hipnotyczną igłę zamontowaną w obcasie rękruckiego buta. Nieodparty impuls szarpnął rękę Billa, a kiedy dziwna mgła ustąpiła mu z oczu zobaczył, że właśnie podpisał się swoim imieniem.

— Ale…

— Witamy w Oddziałach Kosmicznych! — zagrzmiał sierżant

waląc go po plecach (skała!) i wyjmując mu długopis ze zdrętwiałych palców. — Zbiórka! — zaryczał jeszcze głośniej i żołnierze zaczęli wysypywać się z knajpy.

— Co żeście zrobili z moim synem?! — rozległo się donośne zawodzenie. Na rynek wpadła matka Billa, jedną ręką trzymając się za obfitą pierś, drugą zaś ciągnąc młodszego brata Billa, Charliego. Charlie rozbeczał się i zsikał w majtki.

— Pani syn służy teraz ku chwale Cesarza — odparł sierżant, ustawiając w szereg swych obwisłoszczękich i garbatych rękrutów.

— Nie! Nie możecie tego zrobić! — rozpaczała matka, rwąc sobie z głowy posiwiałe włosy. — Jestem biedną wdową, on jest moją jedyną nadzieją, on…

— Mamo! — zawołał Bi11, ale sierżant wepchnął go z powrotem do szeregu.

— Niech pani będzie dzielna — powiedział. — Nie może być dla matki większego powodu do dumy. Wepchnął jej do ręki dużą, świeżo wybitą monetę. — To premia zaciągowa, cały nowiutki szyling Cesarza! Wiem, że On sam chce, żeby to pani dostała. Baczność!

Ze stukiem obcasów niezgrabni rękruci wyprostowali plecy i wypięli piersi. Ku swemu niemałemu zdumieniu podobnie uczynił Bill.

— W prawo zwrot!

Płynnie wykonali polecenie, kierowani impulsami hipnotycznych igieł ukrytych w obcasach ich butów.

— Naprzód marsz!

Ruszyli jak jeden mąż, cały czas pod tak ścisłą kontrolą, że Bill, chociaż próbował z całych sił, nie mógł nawet odwrócić głowy czy pożegnać swej matki choćby jednym gestem. Została z tyłu. i tylko jeszcze jeden udręczony szloch dotarł do niego poprzez grzmot żołnierskiego kroku.

— Zwiększ tempo do 130 — polecił sierżant, spoglądając na zainstalowany pod paznokciem małego palca czasomierz. — Dziesięć mil do lądowiska, a potem wiuuu! — na noc do obozu.

Dyktujący tempo robot przestawił swój metronom zgodnie z rozkazem, nogi poczęły żwawiej się ruszać, a żołnierze pocić. Kiedy dotarli do lądowiska, było już prawie ciemno. Mundury z czerwonego papieru wisiały na nich w strzępach, złocenia starty się z metalowych guzików, zniknął powierzchniowy ładunek, chroniący przed kurzem ich cieniutkie buty. Byli zeszmaceni, wykończeni i brudni, i czuli się dokładnie tak, jak wyglądali.

2.

O szarym świcie zamiast wesołego sygnału trąbki obudziło Billa uderzenie ultradźwięków, które wprawiło w drgania najpierw metalową ramę jego pryczy, a potem jego samego i to z taką siłą, że powypadały mu plomby z zębów. Nieprzytomny i drżący z zimna zerwał się na równe nogi. Jako że było to lato, podłogę utrzymywano w miłej każdemu temperaturze minus kilkunastu stopni. Obóz wojskowy w niczym nie przypominał sanatorium. Wyglądający jak zjawy, niewyspani i zziębnięci rękruci podnosili się z prycz, a kiedy ustała przewracająca flaki wibracja, pośpiesznie naciągnęli zbliżone fasonem do pokutnych worków kombinezony z papieru ściernego, wbili się we wspaniałe rękruckie buty i wysypali na poranną szarówkę.

— Jestem tu po to, żeby was zniszczyć — obwieścił im pełen okrucieństwa głos. Podnieśli wzrok i zadrżeli jeszcze bardziej, ujrzawszy głównego diabła tego najgorszego z piekieł.

Starszy sierżant Kostucha Drang był specjalistą w pełnym tego słowa znaczeniu — od koniuszków ostrzyżonych na jeża włosów po wytłaczane podeszwy swych błyszczących jak lustro butów. Miał szerokie bary, wąskie biodra, długie, zwisające jak u jakiegoś straszliwego antropoida ręce zakończone potężnymi dłońmi, których palce pokryte były niezliczonymi bliznami śladami po tysiącach powybijanych zębów. Patrząc na tę obrzydliwą postać nie sposób było wyobrazić sobie, że narodził się z delikatnego brzucha kobiety. Nie, Kostucha nie mógł się nigdy urodzić, już prędzej został zbudowany na zamówienie rządowe. Najgorsza ze wszystkiego była głowa. A twarz! Włosy zaczynały się najwyżej na szerokość palca nad czarną gęstwiną brwi, przypominających kępki krzaków rosnących dokoła czarnych jam kryjących oczy, o których obecności świadczyły jedynie czerwonawe, złowróżbne błyski w nieprzeniknionej ciemności oczodołów. Połamany, skrzywiony nos sterczał nad ustami, bardzo podobnymi do śladu po chlaśnięciu nożem napiętego pośmiertnym stężeniem brzucha nieboszczyka. Obrazu dopełniały wysuwające się spomiędzy warg co najmniej dwucalowej długości trójkąty kłów.

— Jestem starszy sierżant Kostucha Drang i będziecie do mnie mówić „sir” albo „łaskawy panie”. Mówiąc to przechadzał się nieśpiesznie wzdłuż szeregu przerażonych rękrutów. — Jestem waszym ojcem, matką, wszechświatem i największym wrogiem, i wkrótce będziecie żałować, żeście się w ogóle narodzili. Zmiażdżę waszą wolę. Kiedy powiem „żabka!”, będziecie skakać. Moim zadaniem jest zrobić z was żołnierzy, a to znaczy nauczyć dyscypliny. Dyscyplina to brak wolnej woli, absolutne posłuszeństwo, bezmyślne

wykonywanie rozkazów. Niczego więcej nie wymagam.

Skrzywił się, zatrzymawszy przed Billem, który trząsł się jakby trochę mniej od pozostałych.

— Nie podoba mi się twoja twarz. Miesiąc służby pomocniczej w kuchni, w niedziele.

— Sir…

— A drugi miesiąc za pyskowanie.

Czekał jeszcze przez chwilę, ale Bill już się nie odezwał. Właśnie dostał pierwszą lekcję z cyklu jak zostać dobrym żołnierzem — trzymać gębę na kłódkę. Kostucha ruszył dalej.

— Teraz jesteście tylko nędznymi, tłustymi, cholernymi kawałami podłego cywilnego miecha, ale ja zrobię z tego mięcha mięśnie, z waszej woli galaretę, z waszych umysłów maszyny. Albo was pozabijam, albo zostaniecie dobrymi żołnierzami. Wkrótce usłyszycie o mnie różne historie, na przykład jak zabiłem i zjadłem rękruta, który odmówił wykonania mojego rozkazu.

Zatrzymał się i popatrzył na nich, unosząc ku górze kąciki swych trupich ust w szatańskiej parodii uśmiechu. Z wystających kłów skapywała kropelkami ślina.

— Ta historia jest prawdziwa.

Odpowiedział mu jeden wielki jęk. Przez szereg rękrutów przebiegł nagły dreszcz, jakby dosięgnął ich niespodziewanie powiew lodowatego wiatru. Uśmiech zniknął z twarzy Kostuchy.

— Teraz pójdziemy na śniadanie; tylko najpierw potrzebuję paru ochotników do lekkiej roboty. Kto z was potrafi pilotować helikopter?

Dwaj rękruci z nadzieją unieśli ręcę i Kostucha kazał im wystąpił przed oddział.

— Dobra, wy dwaj, brać ścierki, kubły i do latryny! Reszta będzie jadła, a wy sobie trochę posprzątacie. Nabierzecie apetytu na obiad.

To była druga lekcja Billa — nigdy nie zgłaszać się na ochotnika.

Dni przysposobienia żołnierskiego mijały z jakąś otępiającą szybkością i choć mogło się to wydawać nieprawdopodobne, z dnia na dzień robiło się coraz gorzej. Coraz bardziej rosło też wyczerpanie Billa nie mogło zresztą być inaczej, bowiem troszczyło się o to wiele zdolnych, sadystycznych umysłów. Głowy rękrutów ogolono do gołej skóry, a ich genitalia pomalowano pomarańczowym środkiem antyseptycznym. Jedzenie było, teoretycznie rzecz biorąc, pożywne, ale wręcz niesamowicie niesmaczne, a gdy kiedyś przez pomyłkę podano kawałek mięsa w stanie nadającym się do spożycia, został on natychmiast wyłowiony z kotła i wyrzucony, a kucharza zdegradowano o dwa stopnie. Sen przerywały rękrutom pozorowane ataki gazowe, wolny zaś czas wypełniało im doprowadzanie do porządku żołnierskiego ekwipunku. Siódmy dzień tygodnia miał być dniem wypoczynku, ale że każdy z nich zdążył już wcześniej zarobić

jakąś karę. (Bill na przykład tę swoją służbę w kuchni), więc niedziela niczym się nie różniła od innych dni tygodnia. Na świąteczną nudę z pewnością nie mieli okazji narzekać. Dopiero grubo po zmierzchu gaszono światła i pozwolono im zwalić się na mięciutkie, jakby z hartowanej stali, posłania. Bill przepchnął się przez blokujące wejście pole siłowe o mocy dobranej z tak szatańską precyzją, że pozwalała ona dotkliwie kąsającym muchom wlatywać do baraku, uniemożliwiała im natomiast opuszczenie pomieszczenia. Po czternastu godzinach służby w kuchni nogi drżały mu jak w febrze, a ręce, blade i napuchnięte, przypominały kończyny dobrze namoczonego nieboszczyka. Postawił na podłodze sztywną od potu, brudu i tłuszczu kurtkę, po czym wyciągnął z kuferka maszynkę do golenia. W latrynie dłuższą chwile zajęło mu odnalezienie kawałka względnie czystego lustra, wszystkie bowiem pokryte były inspirującymi napisami w rodzaju: GĘBA NA KŁÓDKI — CHINGERSI PODSŁUCHUJĄ, albo JAK BĘDZIESZ GADAŁ, CZŁOWIEK W LUSTRZE UMRZE, aż wreszcie wsadził wtyczkę do kontaktu obok CZY CHCESZ, ŻEBY TWOJA SIOSTRA WYSZŁA ZA CHINGERSA? i przyjrzał się swemu odbiciu w środku litery O. Popatrzyły na niego przekrwione, podkrążone oczy. Ponad minutę jeździł już bzyczącą maszynką po swoich zapadniętych policzkach, zanim znaczenie pytania dotarło do jego otępiałego ze zmęczenia mózgu.

— Przecież ja nie mam siostry — parsknął zirytowany — a poza tym, dlaczego niby miałaby wychodzić za mąż za jaszczurkę?

Było to tylko pytanie retoryczne, a jednak z przeciwległego końca pomieszczenia, a dokładniej z ostatniego sedesu w drugim rzędzie, nadeszła niespodziewana odpowiedź.

— To nie ma oznaczać dokładnie tego, co znaczy, tylko czytając to, masz jeszcze bardziej nienawidzieć nieprzyjaciela.

Bill, przekonany, że jest zupełnie sam w latrynie, podskoczył, jak oparzony. Maszynka bzyknęła ze złośliwą uciechą i wyszarpała mu kawałek wargi.

— Kto to? Gdzie jesteś? — wykrzyknął, a potem dostrzegł spiętrzoną w najodleglejszym kącie stertę butów i pochyloną nad nimi, wymiętoszoną postać.

— A, to tylko ty, Jasiu. — Gniew momentalnie minął i Bill odwrócił się z powrotem do lustra. Gorliwy Jasio stanowił tak nieodłączną część latryny, że po prostu nie dostrzegało się jego istnienia.

Był to młodzian o twarzy jak księżyc w pełni i wiecznie rumianych policzkach, z przylepionym do tłustego oblicza uśmiechem, który to uśmiech był w obozie szkoleniowym tak nie na miejscu, iż pierwszym odruchem każdego rękruta było rozszarpać jego właściciela na kawałki. Pewnie tak by się stało, gdyby Jasia nie chroniło jego

szaleństwo. Musiał być szalony, zawsze bowiem bardzo chętnie służył pomocą swoim kolegom i zgłosił się na ochotnika do stałej obsługi latryny. Mało tego, wprost uwielbiał czyścić buty i proponował swoje usługi po kolei wszystkim rękrutom, tak że teraz czyścił już co wieczór buty całego oddziału. Gdy wszyscy szli do baraków, otoczony zwałami butów Jasio zasiadał w swym królestwie sedesów i rozpoczynał rozwiniętą już niemal na skale przemysłową działalność, z radosnym uśmiechem na twarzy pastując, glansując i pucując. Kiedy gaszono światła, pracował dalej przy lampce sporządzonej z pudełka po paście i domowej roboty knota, a kiedy rano rozbrzmiewała pobudka, on już uśmiechał się szeroko ze swego stałego miejsca, kończąc rozpoczętą. poprzedniego dnia pracę. Nieraz zdarzało się, że buty były wyjątkowo brudne i wtedy Jasio w ogóle nie kładł się spać. Brakowało mu najwyraźniej piątej klepki, ale nikt mu nie dokuczał, bo odwalał przecież kawał dobrej roboty i tylko modlono się powszechnie, żeby nie padł z wyczerpania przed końcem pobytu w obozie.

— Skoro tylko o to chodzi, to czemu po prostu nie napiszą: „Masz jeszcze bardziej nienawidzieć nieprzyjaciela”? — zdziwił się Bill. Wskazał kciukiem na przeciwległą ścian, na której przyklejono plakat zaopatrzony w podpis POZNAJ SWOJEGO WROGA. Przedstawiał on naturalnych rozmiarów wizerunek Chingersa, jaszczurkowatej istoty o siedmiu stopach wzrostu, przypominającej nieco czterorękiego kangura z głową aligatora.

— Zresztą, czyja siostra chciałaby wyjść za coś takiego? I co coś takiego miałoby po ślubie zrobić z tą siostrą? Zjeść ją chyba, czy jak?

Jasio skończył właśnie jeden but i wziął się za następny. Zmarszczył brwi dla okazania, jak skomplikowane proces myślowe zachodzą w jego czaszce, po czym odpowiedział:

— Eee… widzisz, to nie chodzi o prawdziwą siostrę. To tylko taki chwyt propagandowy. Musimy wygrać tę wojnę. Żeby wygrać tę wojnę, musimy walczyć jak diabli. Żeby walczyć jak diabli musimy mieć dobrych żołnierzy. Dobrzy żołnierze muszą nienawidzieć nieprzyjaciela. I tak to idzie. Chingersi są jedyną odkrytą przez nas niehumanoidalną rasą, która stworzyła cywilizację techniczną, wiec jest oczywiste, że musimy ich wymazać.

— Niby czemu to jest takie oczywiste, co? Ja tam nie chcę nikogo wymazywać, tylko wrócić do domu i zostać Operatorem Mechanicznych Roztrząsaczy Obornika.

— Eee… nie miałem akurat ciebie na myśli. — Jasio otworzył kolejną puszkę purpurowej pasty i wsadził w nią paluch dokładnie tego samego koloru. — Myślałem o ludzkości w ogóle. Jeśli my ich nie wymażemy, to oni nas wymażą. Twierdzą co prawda, że wojna jest sprzeczna z ich nakazami religijnymi i że walczą tylko w obronie własnej i faktycznie, nigdy nie zaatakowali jako pierwsi. Ale co

będzie, jak pewnego dnia strzeli im do głowy zmienić religię? Jak będziemy wtedy wyglądali? Najlepiej ich wymazać, póki jeszcze nie jest za późno.

Bill wyłączył maszynkę i opłukał twarz letnią, rdzawą wodą.

— Ciągle coś mi tu nie gra. No dobrze, więc ta siostra, której nie mam, nie wychodzi za żadnego z nich. Ale jaki sens ma na przykład to — NIECH TEN PRYSZNIC CZYSTY BĘDZIE, NIEPRZYJACIEL SŁUCHA WSZĘDZIE, albo to — pokazał na napis nad urynałem, głoszący: GDY ROZPOREK TU ROZPINASZ, WRÓG NOTOWAĆ JUŻ ZACZYNA. — Nie chodzi mi o to, że nie mamy tu nawet takich sekretów, po które komuś chciałoby się fatygować choćby jedną milę, a cóż dopiero 25 lat świetlnych, ale jak taki Chingers może być szpiegiem? Jaka charakteryzacja zmieni siedmiostopową jaszczurkę w rękruta? Wątpię czy dałoby się przebrać jakiegoś Chingersa za Kostucha, chociaż podobieństwo jest spore, a cóż dopiero…

Światło w latrynie nagle zgasło i starszy sierżant Kostucha Drang, niczym upiór wywołany z zaświatów dźwiękiem swego imienia, ryknął ochrypłym głosem:

— Do śpiworów! Do śpiworów, zawszone łachudry! To wojna, nie zabawa!

W ciemności rozjaśnionej tylko czerwonawym blaskiem bijącym z oczu Kostuchy Bill z trudem znalazł drogę do swojej pryczy. Zasnął od razu, kiedy tylko jego głowa dotknęła poduszki wykonanej chyba z jakiegoś spieku węglików krzemu i jak mu się zdawało, w chwilę później zerwał się na równe nogi, wyrzucony z łóżka uderzeniową falą pobudki. Podczas śniadania, kiedy pracowicie kroił podawany im substytut kawy na cząstki na tyle małe, że można je było w miarę bezboleśnie połknąć, telewizja podała informacje o okupionych poważnymi stratami ciężkich walkach w sektorze Bety Liry. W jadalni rozległ się ponury jęk, bynajmniej nie z nadmiaru patriotyzmu, tylko dlatego, że każda tego rodzaju zła wiadomość mogła tylko przyczynić się do pogorszenia ich sytuacji. Nie mieli pojęcia, w jaki sposób, ale byli przekonani, że tak właśnie się stanie. I mieli rację.

Ponieważ ranek był nieco chłodniejszy niż zwykle, poniedziałkową paradę przełożono na godziny południowe, kiedy to rozgrzana do przyjemnej temperatury żelazobetonowa nawierzchnia placu ćwiczeń przyczyni się wyraźnie do znacznego wzrostu liczby omdleń i udarów cieplnych. Nie było to jednak wszystko. Stojąc na baczność w jednym z ostatnich szeregów Bill dostrzegł, że nad trybuną honorową rozpięto klimatyzowany namiot. Mogło to oznaczać tylko jedno: przyjedzie jakaś szycha.

W bok wwiercała mu się osłona spustu jego atomowej strzelby, z nosa skapywały mu krople potu, a kątem oka mógł dostrzec, jak co chwila to tu, to tam ktoś pada jak ścięty i jak sanitariusze pośpiesznie

odciągają bezwładne ciała do czekających ambulansów. Tam układano delikwentów w cieniu pojazdów, a kiedy się ocknęli, kazano im natychmiast wracać do szeregu.

Nagle rozległy się dźwięki marsza „Gwiezdne oddziały unicestwią Chingersów" ukryte w obcasach igły wysłały hipnotyczny impuls i w tej samej chwili tysiące atomowych strzelb błysnęło w słońcu. Samochód ze sztabu — dwie gwiazdy na drzwiczkach — podjechał do trybuny i mała okrągła figurka pokonała szybkim krokiem kawałek rozgrzanego jak palenisko placu, by zniknąć w klimatyzowanym wnętrzu namiotu. Billowi nigdy nie zdarzyło się jeszcze widzieć generała z bliższej odległości, przynajmniej od przodu. Kiedyś, kiedy wracał w nocy ze służby w kuchni, przechodził koło oficerskiego kina i widział, jak generał wsiada do samochodu, ale trwało to tylko chwilę, a poza tym generał odwrócony był tyłem. Tak wiec ta wysoka szarża kojarzyła się Billowi albo z malutką, oglądaną z daleka figurką, albo z ogromnym, znikającym we wnętrzu samochodu, tyłkiem. Zresztą w ogóle o oficerach miał pojęcie raczej mętne, bo przecież zwykli rękruci nie mieli z nimi nic do czynienia. Raz tytko Bill przyjrzał się bliżej jakiemuś podporucznikowi i stwierdził z niejakim zdumieniem, że ten posiadał nawet jakąś twarz. A poza tym był jeszcze oficer medyczny, kiedy nie więcej niż o trzydzieści jardów od niego, prowadził wykład o chorobach wenerycznych. Tak się jednak szczęśliwie złożyło, że Billowi trafiło się miejsce za filarem i całe zajęcia słodko przespał.

Muzyka wreszcie umilkła i nad oddziałami pojawiły się antygrawitacyjne głośniki, z których rozległ się głos generała. Nie miał do powiedzenia nic, czego ktokolwiek chciałby słuchać i prędko zakończył stwierdzeniem, że z powodu ciężkich strat na froncie okres ich szkolenia zostanie znacznie skrócony i to było właśnie to, czego się spodziewali. Przy dźwiękach muzyki odmaszerowali do baraków, przebrali się w mundury polowe i wymaszerowali na strzelnicę, by odbyć dwukrotnie dłuższe, z racji przyśpieszenia tempa szkolenia, strzelanie do wyskakujących z dziur w ziemi plastykowych kukieł Chingersów.

Celność była jednak tragiczna, dopóki z jednej z dziur nie wychylił się Kostucha Drang. Każdy momentalnie przełączył broń na pełną samopowtarzalność i ze stuprocentową celnością władował w to miejsce całą zawartość magazynka, co stanowiło wyczyn niezwykły i bardzo rzadko spotykany. Kiedy jednak dym się rozwiał, ucichły rozradowane okrzyki, a rozległy pochlipywania, bowiem okazało się, że była to tylko plastykowa kukła, teraz rozbita w drzazgi, oryginał natomiast pojawił się z drugiej strony, zazgrzytał kłami i wlepił wszystkim miesiąc służby pomocniczej w kuchni.

— Ludzkie ciało to jednak wspaniała rzecz — powiedział Zadek

Brown miesiąc później kiedy siedzieli dokoła stołu w Klubie Dla Najniższych Rangą, jedząc plastykowe, wypchane odpadkami kiełbaski i popijając je wodnistym ciepławym piwem. Zadek Brown w cywilu pasł krowce i dlatego właśnie nazwano go Zadkiem, bo wiadomo przecież, co robią pasterze ze swymi krowcami. Był spalony słońcem jak stary rzemień, wysoki, chudy, o nogach prostowanych najprawdopodobniej na beczce. Rzadko kiedy się odzywał, przyzwyczajony do ciszy porośniętych trawą równin, przerywanej tylko od czasu do czasu niesamowitym krzykiem zaniepokojonej czymś krowcy. Był za to wielkim filozofem, jako że jedyną rzeczą, którą dysponował, była masa czasu na myślenie. Potrafił całymi dniami, tygodniami nawet, hołubić jakąś myśl, zanim uznał, że wystarczająco już dojrzała i zdecydował się z kimś nią podzielić. Przez ten czas nic nie było w stanie przerwać jego rozmyślań. Bez sprzeciwu przyjął imię, jakim ochrzcili go inni rękruci. Spróbowalibyście nazwać tak kogoś innego, a od razu dostalibyście po gębie. Bill, Jasio i cała reszta z dziesiątego plutonu powitała jego oświadczenie owacją, jak zawsze, kiedy Zadek uznawał za stosowne coś powiedzieć.

— Zadek, powiedź coś jeszcze! — Patrzcie, on mówi! A ja myślałem, że już nie żyje!

— No, gadaj! Czemu niby ciało jest taką wspaniałą rzeczą?

Czekali w napięciu, podczas gdy Brown z trudem odgryzł kawałek kiełbaski, pożuł chwilę bez widocznych efektów i wreszcie połknął, przy której to prostej, zdawałoby się, czynności oczy mało nie wyskoczyły mu z orbit. Pociągnął łyk piwa i powiedział:

— Ciało ludzkie jest wspaniałą rzeczą, ponieważ dopóki nie umrze, to żyje. Czekali na ciąg dalszy, ale to było wszystko, co miał do powiedzenia.

— Chłopie, ty żeś się chyba z krowcą na głowy zamienił! — Zgłoś się do szkoły oficerskiej!

— Co to ma właściwie znaczyć?

Bill wiedział, co to ma znaczyć, ale się nie odezwał. W ich plutonie było teraz dwa razy mniej ludzi, niż na początku szkolenia. Jednego przeniesiono, ale reszta przebywała albo w szpitalach, albo w domach wariatów, lub też została zwolniona ze służby, bo przecież ciężko okaleczeni inwalidzi do wojska się nie nadają. Część zaś po prostu nie żyła. Ci, którzy przetrwali, pozbyli się co do grama wszystkiego, co nie było kośćmi i absolutnie niezbędnymi do życia organami, a następnie odbudowali resztę w postaci twardych jak stal mięśni i teraz byli już całkowicie przystosowani do panujących w obozie szkoleniowym warunków. Nie zmieniało to jednak w niczym faktu, że ciągle i obozu, i tych warunków serdecznie nienawidzili. Bill podziwiał skuteczność tego systemu. Cywile przejmowali się takimi głupstwami, jak jakieś egzaminy, oceny, potem awanse, emerytury i

tysiące innych rzeczy, które zdecydowanie przyczyniały się do obniżenia efektywności pracy. A tutaj — jakież to było bajecznie proste! Wybito po prostu słabszych, pozostawiając silniejszych, nadających się już teraz do wszystkiego. Taki system trzeba było szanować, chociaż nie można było przestać go nienawidzieć.

— Wiecie, czego mi trzeba? Kobiety! — westchnął Brzydal.

— Nie gadaj świństw! — przywołał go do porządku dobrze wychowany Bill.

— Wcale nie gadam świństw! — zaprotestował Brzydal. — Nie powiedziałem przecież, że chciałbym zostać zawodowym żołnierzem, czy że Kostucha jest człowiekiem, tylko że potrzebuję kobiety. A wy nie?

— Ja tam potrzebuję się napić — powiedział Zadek Brown. Pociągnął spory łyk piwa, produkowanego ze sproszkowanego koncentratu, zatrząsł się od stóp do głów i wypluł je na betonową podłogę, skąd natychmiast wyparowało.

— A pewnie, pewnie — zgodził się Brzydal, kiwając energicznie głową. — Kobieta, a potem czegoś się napić. Czego jeszcze może chcieć rękrut na przepustce? — zaskomlał żałośnie.

Zastanawiali się nad tym przez dłuższy czas, ale rzeczywiście, nic innego nie przychodziło im na myśl. Tylko Jasio wystawił głowę spod stołu, gdzie ukradkiem zajmował się czyimś butem i oznajmił, że on osobiście chciałby więcej pasty, ale został zignorowany. Nawet Bill, chociaż starał się ze wszystkich sił, nie mógł wymyśleć nic innego oprócz tych dwóch nierozerwalnie związanych ze sobą rzeczy. Miał co prawda niejasne wrażenie; że będąc cywilem interesował się jeszcze innymi sprawami, ale co to właściwie było — tego nie mógł sobie za nic przypomnieć.

— Nie przejmujcie się, do przepustki już tylko siedem tygodni — odezwał się spod stołu Jasio, po czym stęknął z cicha, otrzymawszy od wszystkich na raz kopniaka.

Chociaż, według ich subiektywnego odczucia, czas wlókł się straszliwie, zachowujące pełen obiektywizm zegary odmierzały go nieustannie i minęły wreszcie jeden za drugim te najdłuższe z długich tygodni. W ciągu tego czasu z pewnością nie mogli narzekać na brak zajęć; walka na bagnety, ćwiczenia z bronią długą, bronią krótką, czyszczenie i jednej i drugiej, orientacja w terenie, musztra, śpiewy chóralne, a wreszcie Prawo Wojenne. Wykłady z tego ostatniego odbywały się z bezlitosną regularnością dwa razy w tygodniu i stanowiły najbardziej wyrafinowaną torturę, a to z racji nieprawdopodobnej senności, jaką wywoływały. Kiedy z głośnika magnetofonu rozlegały się pierwsze skrzypiące, wypowiadane doskonale monotonnym głosem słowa, głowy od razu zaczynały się kiwać. Każde miejsce w audytorium podłączone było do

elektroencefalografu, rejestrującego fale mózgowe rękrutów. Kiedy tylko wykres fali alfa wskazywał na to, że któryś ze słuchaczy zapadł w sen, natychmiast w drzemiące pośladki uderzał sporawy ładunek elektryczny, w tyleż bolesny, co skuteczny sposób przywołując ich właściciela do porządku. Nigdy nie wietrzona sala przypominała pogrążoną w półmroku komorę tortur, wypełnioną unoszącym się nad morzem kiwających się głów brzęczącym, jednostajnym głosem, zagłuszanym od czasu do czasu nagłym wrzaskiem podłączonego na chwilę do sieci nieszczęśnika.

Nikt nie słuchał, jakie to okrutne kary i wyroki grożą im za najniewinniejsze nawet wykroczenia. Zdawali sobie doskonale sprawę, że wstępując do wojska zrezygnowali z wszelkich, przysługujących człowiekowi praw i dokładne wyliczanie tego, co stracili, w najmniejszym stopniu ich nie interesowało. Zajęci byli wyłącznie liczeniem godzin dzielących ich od pierwszej przepustki. Rytuał przyznawania tego nad wyraz niechętnie udzielanego przywileju był niezwykle upokarzający, ale niczego innego przecież nie mogli się spodziewać, toteż z opuszczonymi głowami stali cierpliwie w długiej kolejce, gotowi w zmian za kawałek pogniecionej, zadrukowanej folii poświęcić resztki szacunku, jaki jeszcze do samych siebie żywili. Ceremonia wreszcie się skończyła, zaczęła natomiast bitwa o miejsca w jednotorowej kolejce, łączącej obóz z małym rolniczym miasteczkiem Leyville. Linia biegła po estakadzie wyniesionej w gór na słupach, które zawsze znajdowały się pod napięciem — najpierw nad trzydziestostopowej wysokości płotem z drutu kolczastego, a potem nad otaczającym obóz pasem lotnych piasków.

Dokładnie rzecz biorąc Leyville pozostało miasteczkiem rolniczym do czasu, kiedy w jego sąsiedztwie zbudowano obóz szkoleniowy. Od tamtej pory rolnictwem zajmowano się tutaj sporadycznie, tylko wtedy, kiedy nikt z żołnierzy nie był na przepustce. Normalnie sklepy i magazyny zbożowe zamknięte były na cztery spusty, działały natomiast bary i różnego rodzaju domy uciech. Bardzo często zresztą i sklepy i te nieco weselsze instytucje mieściły się pod jednym dachem — wystarczyło pchnąć specjalną dźwignie i skrzynie na zboże zamieniały się w łóżka, sprzedawczynie w rajfurki, kasy zachowywały swą pierwotną funkcje, aczkolwiek ceny znacznie rosły, na kontuarach zaś pojawiały się rzędy szklanek. Do jednego z takich właśnie przybytków, stanowiącego skrzyżowanie zakładu pogrzebowego z barem, zawitał Bill ze swymi przyjaciółmi.

— Co podać; chłopcy? — zapytał z szerokim uśmiechem na ustach właściciel Baru Wiecznego Spoczynku.

— Podwójny płyn do balsamowania zwłok — zażądał Zadek Brown.

— Tylko bez głupich dowcipów, bo wezwę żandarmerie —

ostrzegł już bez uśmiechu właściciel, sięgając po butelkę, na której krzykliwy napis PRAWDZIWA WHISKY niezbyt dokładnie przesłaniał znajdujący się pod spodem, a głoszący PŁYN DO BALSAMOWANIA ZWLOK. Kiedy jednak pieniądze zadźwięczały o kontuar, uśmiech wrócił na swoje miejsce.

— Co tylko chcecie, panowie.

Usiedli przy długim, wąskim stole w kształcie skrzyni z metalowymi okuciami i uchwytami po bokach i z rozkoszą pozwolili etylowemu alkoholowi przepłukać ich zakurzone gardła.

— Nigdy nie piłem zanim nie trafiłem do wojska — oznajmił Bill. Wlał w siebie szklaneczkę Starego Mordercy Nerek i podstawił ją po dolewkę.

— Bo nigdy nie musiałeś — uświadomił go Brzydal, rozlewając następną kolejkę. — A pewnie — zgodził się Zadek, po raz kolejny unosząc do ust butelkę.

— Eee… — odezwał się Jasio, siorbiąc niepewnie małymi łyczkami. — To smakuje jak mieszanina cukru, wiórków, różnych estrów i paru wyższych alkoholi.

— Wypij — powiedział trochę niewyraźnie Zadek nie odejmując od ust butelki. — To wszystko bardzo zdrowe.

— A teraz trzeba mi kobiety! — powiedział Brzydal i w jednej chwili znaleźli się przy drzwiach, usiłując wszyscy na raz przez nie się przedostać.

— Patrzcie! — krzyknął któryś.

Odwrócili się, by ujrzeć siedzącego niewzruszenie przy stole Jasia.

— Kobiety! — zawołał z entuzjazmem Brzydal, nadając swemu głosowi ton, jakim woła się psa na obiad. Zbita w drzwiach grupka mężczyzn zadrżała i przestąpiła niecierpliwie z nogi na nogę. Jasio ani drgnął.

— Eee… ja chyba tu zostanę — powiedział z jeszcze bardziej niż zwykle prostodusznym uśmiechem. Ale wy idźcie, chłopcy.

— Źle się czujesz, Jasiu?

— Eee… zupełnie dobrze.

— Może jeszcze nie dojrzałeś płciowo?

— Eee…

— A co tu będziesz robił?

Jasio sięgnął pod stół, wyciągnął sporych rozmiarów worek i otworzył go, pokazując im, że jest wypchany po brzegi żołnierskimi brudnymi buciorami.

— Pomyślałem, że może sobie trochę popastuje.

W milczeniu szli drewnianym chodnikiem.

— Co mu się mogło stać? — zapytał wreszcie Bill, ale nie otrzymał odpowiedzi. Wszyscy zapatrzeni byli przed siebie, na neon

płonący czerwonawym, kuszącym blaskiem. Głosił on: ZJAZD KOSMICZNY STRIP-TEASE NON STOP — NAJLEPSZE NAPOJE — POKOJE DLA GO$CI I ICH PRZYJACIÓŁ. Przyśpieszyli kroku. Frontowa ściana Zajazdu Kosmicznego zawieszona była gablotami ze szkła pancernego, w których widniały trójwymiarowe zdjęcia ubranych (w bransolety i cekiny) tancerek. Trochę dalej można było obejrzeć zdjęcia tancerek rozebranych (bez bransolet i cekinów). Koledzy Billa zaczęli podejrzanie szybko oddychać, lecz Bill przywołał ich do porządku, wskazując na mały, ledwie widoczny wśród wylewających się z gabloty piersistości, napis. TYLKO DLA OFICERÓW.

— No, jazda stąd! — pogonił ich żandarm. Posłusznie ruszyli dalej.

Do następnego domu mógł wejść każdy. Każdy, kto zapłacił 77 kredytek, to zaś było trochę więcej, niż mieli wszyscy razem. Potem znów zaczęły się tabliczki TYLKO DLA OFICERÓW, aż wreszcie chodnik skończył się i wszystkie światła zostały za nimi.

— A to co? — zdziwił się Brzydal, słysząc dochodzący z pobliskiej, ciemnej uliczki szmer przyciszonych głosów. Wytężyli wzrok i ujrzeli długą, niknącą za rogiem kolejkę żołnierzy.

— O co tu chodzi? — zapytał Brzydal ostatniego w kolejce.

— Burdel dla szeregowców. Tylko się nie próbuj wepchnąć, koleś. Kolejka jest za mną.

Natychmiast zajęli miejsca, Bill jako ostatni, ale wkrótce przyszli następni. Kolejka posuwała się powoli, noc była chłodna i Bill od czasu do czasu wspomagał zachodzące w nim procesy życiowe pociągając tęgiego łyka ze swej butelki. Rozmawiano niewiele, a i to wszystko ucichło, kiedy coraz bardziej zaczęli zbliżać się do czerwono oświetlonych drzwi. Otwierały się one i zamykały w równych odstępach czasu i jeden za drugim znikali w nich koledzy Billa. Wreszcie nadeszła jego kolej; drzwi zaczęły się otwierać, Bill zrobił krok do przodu, zawyły syreny i wielki żandarm z potężnym, grubym brzuchem wskoczył miedzy drzwi a Billa.

— Alarm! Wszyscy do bazy! — ryknął.

Bill wydał zduszony skowyt zawodu i skoczył naprzód, ale jedno muśniecie pałki odrzuciło go, zataczającego się, wstecz. Na pół ogłuszony dał się nieść fali pędzących ciał, podczas gdy syreny wyły bez przerwy, a na nie6ie pojawiło się wypisane płomienistymi stumilowej wysokości literami hasło „DO BRONI!!!”. Potknął się i ktoś chwycił go za rękę, ratując przed stratowaniem. Był to jego kumpel Brzydal, z rozanielonym uśmiechem na gębie i rozmarzonymi oczami. Bill spróbował walnąć go w ten uszczęśliwiony ryj, ale nim zdołał wziąć zamach znaleźli się w wagoniku kolejki, który na łeb na szyję ruszył z powrotem do obozu. Bill zapomniał o swym gniewie, kiedy

zakrzywione pazury Kostuchy Dranga wyciągnęły go z tłumu.

— Pakować manatki — zazgrzytał sierżant — wysyłają was.

— Nie mogą tego zrobić, jeszcze nie skończyliśmy szkolenia…

— Mogą zrobić co chcą i zwykle to robią. Zakończyliśmy właśnie zwycięsko najwspanialszą w historii bitwę kosmiczną. Cztery miliony zabitych, plus-minus sto tysięcy. Potrzebne są posiłki, czyli wy. Przygotować się do załadunku natychmiast, albo i wcześniej.

— Ale nie mamy skafandrów! Zaopatrzeniowcy…

— Zaopatrzeniowcy wysłani.

— Żywność…

— Żywność i kucharze wysłani. To alarm! Cały zbędny personel wysłany. Najprawdopodobniej na śmierć. — Obnażył kły w swoim obmierzłym uśmiechu. — A ja tu zostanę, by szkolić waszych następców.

Z otworu poczty pneumatycznej wyskoczył pojemnik. Kostucha otworzył go, a kiedy czytał przesłaną wiadomość, uśmiech powoli znikał z jego twarzy.

— Mnie też wysyłają — powiedział głucho.

3.

Z obozu szkoleniowego wysłano już w kosmos 89.672.899 rękrutów, toteż operacja ta przebiegała gładko i bez zakłóceń, aczkolwiek tym razem miała ona charakter samoniszczący, podobny do desperackiej decyzji potykającego własny ogon węża. Grupa, w której znalazł się ze swymi kolegami Bill była ostatnią, jaka opuszczała obóz i wąż, potknąwszy się już całkowicie, zaczął się trawić. Żołnierzom ogolono pokryte rzadką szczecinką głowy, wepchnięto ich do komory odwszawiającej, a w chwile potem fryzjerzy rzucili się na siebie nawzajem i w kłębowisku wymachujących nożyczkami rąk, strzępków włosów, resztek wąsów i kropli krwi ogolili się do gołej skóry, wciągając następnie za sobą do komory odwszawiającej obsługującego ją technika. Służba medyczna zaszczepiła się przeciwko gorączce rakietowej i melancholii kosmicznej, urzędnicy wydali samym sobie książeczki wojskowe, a kierujący załadunkiem wkopali się nawzajem do czekających wahadłowców. Ryknęły silniki rakietowe, szkarłatne kolumny ognia uderzyły w platformy startowe, unicestwiając ich wyposażenie w pięknym pirotechnicznym pokazie, jako że obsługa platform również znajdowała się już na pokładach promów. Niesione potężnym grzmotem statki zniknęły w nocnym niebie, pozostawiając w dole opustoszały obóz. Z tablic ogłoszeń wiatr począł zrywać strzępy dziennych rozkazów i list ukaranych rękrutów, miotając nimi po opustoszałych uliczkach, by wreszcie przylepić je do drżących od panującego wewnątrz zgiełku, rozświetlonych szyb Klubu Oficerskiego. Odbywała się tam właśnie wielka popijawa, której beztroski nastrój mąciły jedynie od czasu do czasu głośne narzekania, bowiem oficerowie musieli teraz sami się obsługiwać.

Wahadłowce tymczasem pędziły w górę, w stronę wielkiej floty statków dalekiego zasięgu, floty zupełnie nowej, tak wielkiej, że zasłaniała znaczną część nieba i tak nowej, że niektóre statki jeszcze w ogóle nie były ukończone. W wielu miejscach błyszczały oślepiająco punkciki spawarek, gorące nity wstrzeliwano w czekające na nie otwory. Światełka gasły, kiedy kolejny wieloryb kosmosu był już gotów i w kanałach łączności rozbrzmiewały cieniutkie wrzaski robotników, którzy zamiast wrócić do stoczni, wcielani byli przymusowo do służby na statku, który właśnie zbudowali. To była wojna totalna.

Bill niepewnie przelazł przez elastyczne rurowate połączenie między wahadłowcem a kosmicznym krążownikiem i rzucił swoje tobołki przed starszym sierżantem, siedzącym za biurkiem w śluzie przypominającej rozmiarami hangar.-To znaczy, miał zamiar je rzucić,

bowiem z powodu braku grawitacji bagaże zostały w powietrzu. Kiedy spróbował je zepchnąć na podłogę, sam uniósł się w górę. (Działo się tak dlatego, że każde ciało, które spada, znajduje się w stanie tak zwanego swobodnego spadania, a wszystko, co ma wagę, nie ma wtedy wagi, a dla każdej akcji istnieje równa jej, lecz przeciwna, reakcja, czy coś w tym guście). Sierżant spojrzał na niego, warknął coś pod nosem i ściągnął go w dół.

— Nie zgrywaj się na takiego szczura lądowego, żołnierzu. Imię? — Bill, przez dwa „l".

— Bil — wymruczał sierżant, a potem, polizawszy uprzednio końcówkę pióra, zapisał w rejestrze okrągłymi kulfonami świeżo poduczonego analfabety. — Dwa „l" jest tylko dla oficerów, dupku. Znaj swoje miejsce. Stopień i specjalność?

— rękrut, niewyszkolony, bez specjalności, zaraz będę rzygał…

— Tylko nie tu, masz od tego swoją kajutę. Teraz jesteś niewykwalifikowanym bezpiecznikowym szóstej klasy. Kajuta 34J-89T-001. Ruszaj się. I trzymaj przy gębie tę torebkę.

W momencie, kiedy Bill znalazł wreszcie przydzieloną mu kajutę i rzucił na pryczę swój tobołek, który zresztą zawisł o jakieś pięć cali nad swojskim materacem ze skamieniałej wełny, do niewielkiego pomieszczenia władował się Gorliwy Jasio, za nim zaś Zadek Brown i cały tłum jakichś zupełnie obcych ludzi. Niektórzy z nich mieli jeszcze w rękach spawarki, a na twarzach wściekłe miny.

— A gdzie Brzydal i reszta? — zapytał Bill.

Zadek wzruszył ramionami i rzucił się na swoją prycze, żeby choć na chwilę przymknąć oczy. Jasio otworzył jedną z sześciu ogromnych waliz, jakie ze sobą taszczył i wyciągnął kilka par butów do pastowania.

— Czy jesteście zbawieni? — zapytał głęboki, emanujący przejęciem głos z drugiego końca pomieszczenia. Bill spojrzał tam, zdumiony. Potężnie zbudowany żołnierz zauważył jego zainteresowanie i wyciągnął w jego stronę ogromny paluch.

— Bracie, czy jesteś zbawiony?

— To trudno wyczuć — mruknął Bill i zaczął z zapałem grzebać w swoim tłumoczku, mając nadzieję, że na tym się rozmowa zakończy. Tak się jednak nie stało, nawet wręcz przeciwnie, bowiem żołnierz podszedł do Billa i usiadł na jego pryczy. Bill starał się nie zwracać na niego uwagi, ale było to raczej trudne do wykonania, jako że osobnik ten miał sporo ponad sześć stóp wzrostu i odznaczał się wyjątkowo rozbudowaną muskulaturą oraz żelazną szczęką. Jego czarna skóra o pięknym, purpurowym odcieniu obudziła w Billu coś na kształt zazdrości, jego bowiem, Billowa, była różowa o odcieniu zdecydowanie szarym. Ponieważ mundury, jakie otrzymali, były koloru czarnego, żołnierz ów wyglądał jakby zrobiono go z jednego

kawałka, a jego olśniewająco biały uśmiech i przenikliwe spojrzenie prezentowały się nadzwyczaj efektownie.

— Witamy na pokładzie „Fanny Hill" — powiedział, z iście przyjacielską serdecznością miażdżąc Billowi większość kości dłoni — wielkiej damy naszej floty, już ponad tydzień w czynnej służbie. Jestem wielebny bezpiecznikowy szóstej klasy, Tembo i jak widzę na stempelku na twojej torbie, nazywasz się Bill, więc skoro jesteśmy towarzyszami broni, Bill, to mów mi po prostu Tembo, a w ogóle to jak tam z twoją duszą?

— Szczerze mówiąc, ostatnio nie miałem czasu, żeby się nad tym zastanawiać…

— No, myślę, podczas szkolenia rękruckiego, kiedy za wizytę w kaplicy trafia się pod sąd polowy. Ale to już za tobą i teraz masz szanse zostać zbawiony. Czy mogę cię zapytać, jakiej jesteś wiary?…

— Moi rodzice byli zoroastrianami starego obrzędu, więc przypuszczam…

— Och, to zabobony, mój drogi, tylko zabobony. Łaskawa ręka losu zetknęła nas na tym statku i dzięki temu twoja dusza będzie mogła zostać ocalona przed czekającymi ją piekielnymi mękami. Słyszałeś kiedyś o Ziemi?

— Ja tam nie lubię wymyślnych potraw…

— To planeta, chłopcze, kolebka całej ludzkości. Dom, z którego wszyscy wyszliśmy, popatrz tylko, zielony, uroczy świat, prawdziwy klejnot kosmosu.

Mówiąc to wyciągnął z kieszeni miniaturowy projektor i u wezgłowia koi pojawił się trójwymiarowy, barwny obraz otoczonej białymi obłokami planety, unoszącej się majestatycznie w czarnej nicości. Nagle uderzyła czerwona błyskawica, obłoki zagotowały się, a na powierzchni globu pojawiły się wielkie zniszczenia. Z głośnika wielkości łebka szpilki rozległ się odgłos przetaczającego się grzmotu.

— Wojny wybuchły wśród synów człowieczych i razić się poczęli atomowymi ciosami, aż wreszcie Ziemia jęknęła i straszna nadeszła zagłada. A gdy zgasły ostatnie błyskawice, śmierć była na północy, śmierć na zachodzie, śmierć na wschodzie, nic, tylko śmierć, śmierć, śmierć. Czy zdajesz sobie sprawę, co to znaczy? — Przepełniony uczuciem głos Tembo zadrżał i urwał w pół tonu, oczekując na odpowiedź na to niemal ostateczne pytanie.

— Nie bardzo — odparł Bill, buszując niezmordowanie w swojej torbie. — Ja jestem z Phireginadonu II, u nas jest bardzo spokojnie…

— Nie było śmierci na południu! Dlaczego, pytam ja ciebie? Ano dlatego, że wolą Samediego było, by zniknęli z powierzchni Ziemi wszyscy fałszywi prorocy, wszystkie fałszywe religie i wszyscy fałszywi bogowie, i by pozostała jedna tylko, prawdziwa wiara: Pierwszy Reformowany Kościół Szamański…

Rozległ się alarm, przeraźliwy gwizd o częstotliwości tak perfidnie dobranej, by wprawiała w rezonans kości czaszki, toteż żołnierzom zdawało się, że ich głowy umieszczono nagle w wielkich, rozkołysanych dzwonach, których każde uderzenie sprawia, że oczy ich rozlazły się w przeciwnych kierunkach. Wybiegli na korytarz, gdzie było odrobinę ciszej; a tam czekali już podoficerowie; by pognać ich na stanowiska. Bill znalazł się tuż za Jasiem i razem wspięli się po wymazanej smarem drabince do komory bezpieczników, by stanąć przed ciągnącymi się, wydawałoby się, bez końca, rzędami tych niezwykle ważnych urządzeń. Do wierzchołka każdego bezpiecznika przymocowany był gruby kabel, którego drugi koniec niknął w suficie komory. W podłodze widniały otwory o średnicy mniej więcej stopy, po jednym przed każdym bezpiecznikiem. — Na początek powiem krótko: jak któryś coś piśnie, to go poślę głową naprzód do tej dziury. Wysmarowany paluch wskazał jeden z ziejących w podłodze otworów. To przemówił ich nowy gnębiciel. Był niższy, szerszy i grubszy w pasie od Kostuchy, ale i tak podobieństwo było uderzające.

— Jestem bezpiecznikowy pierwszej klasy Chandra. Słuchajcie, wy nędzne, pełzające po ziemi karaluchy! Albo zrobię z was świetnie wyszkolonych, znakomitych bezpiecznikowych, albo pospuszczam jednego za drugim tymi dziurami. To praca wymagająca wysokich kwalifikacji i normalnie potrzeba roku, żeby wyszkolić dobrego fachowca, ale jest wojna i musicie się tego nauczyć zaraz, i to już. Teraz wam pokażę. Tembo — środek! Bierz 19j-9, jest wyłączony.

Tembo strzelił obcasami i stanął w postawie wyrażającej pełną gotowość przez rzędem bezpieczników. Były to białe, ceramiczne cylindry o końcówkach z metalu, każdy o średnicy jednej stopy i wadze dziewięćdziesięciu funtów. W połowie wysokości bezpieczniki przecięte były czerwonymi paskami. Chandra zastukał w jeden z nich.

— Każdy bezpiecznik ma taki czerwony pasek, który nazywa się paskiem bezpiecznika i jest koloru czerwonego. Kiedy bezpiecznik się przepala, pasek robi się czarny. Nie wymagam, żebyście to wszystko od razu zapamiętali, ale macie to w podręczniku i zanim z wami skończę, musicie to wykuć i to już. Teraz wam pokażę, co się robi z przepalonym bezpiecznikiem. Tembo — ten bezpiecznik jest przepalony. Już!

— Uffl — stęknął Tembo, chwytając bezpiecznik obiema rękami. — Uff! — stęknął ponownie wyciągając go z zatrzasków i jeszcze raz — Uff! — kiedy spuszczał go do najbliższego otworu. Potem, cały czas uffając, ściągnął ze stojaka zapasowy, wsadził go w miejsce przepalonego i z końcowym — Uff! — przyjął postawę zasadniczą.

— Tak to się robi, raz-dwa; po żołniersku, macie się tego nauczyć i to już.

Rozległ się przytłumiony brzęczyk, przypominający raczej czyjeś niepewne czkanie.

— To sygnał na żarcie, więc teraz was puszczę, a jak będziecie jeść, to macie myśleć o tym, czego będziecie się uczyć. Rozejść się.

Wraz z innymi żołnierzami ruszyli w głąb statku.

— Jak myślisz, może jedzenie będzie trochę lepsze, niż w obozie? — zapytał z nadzieją Jasio, oblizując nerwowo wargi.

— W każdym razie na pewno nie może być jeszcze gorszę — odparł Bill, kiedy stanęli w kolejce do drzwi z napisem MESA ZBIORCZA NUMER 2.

— Każda zmiana musi być na lepsze. Zresztą, teraz jesteśmy już żołnierzami, a w podręcznikach piszą, że żołnierz musi iść do boju w pełni przygotowany.

Kolejka posuwała się do przodu straszliwie wolno, ale po niespełna godzinie byli już na drzwiami. Wewnątrz zmęczony żołnierz ze służby pomocniczej ubrany w poplamiony czymś tłustym kombinezonie, wręczył Billowi żółty plastykowy kubek. Bill przeszedł dalej, a kiedy nadeszła jego kolej, znalazł się twarzą w twarz z pustą ścianą, z której sterczał jedynie samotny kurek. Stojący przy nim gruby kucharz w wielkiej, białej czapie i przepoconym podkoszulku pogonił go trzymaną w ręku warząchwią.

— Ruszaj się, ruszaj, nigdy żeś w życiu nie jadł? Kubek pod kran; karta do czytnika, gazem, gazem!

Bill podstawił kubek jak mu kazano i na wysokości oczu dostrzegł, w ścianie wąską szczelinę. Wcisnął w nią dyndającą mu na szyi kartę identyfikacyjną. Rozległo się głośne „bzzz” i z kranu pociekł cienki strumyk żółtawej cieczy, wypełniając kubek do połowy.

— Następny! — wrzasnął kucharz i odepchnął Billa, którego miejsce zajął natychmiast Jasio. — Co to jest? — zapytał Bill zaglądając do kubka.

— Co to jest, co to jest! — wściekł się czerwony jak burak kucharz. — To twój obiad, barani łbie! Doskonale czysta chemicznie woda z rozpuszczonymi osiemnastoma aminokwasami, szesnastoma witaminami, jedenastoma solami mineralnyni, estrem kwasu tłuszczowego i glukozą. Chciałbyś coś jeszcze?

— Obiad?… — powtórzył z niedowierzaniem Bill. W chwilę potem dostał w łeb warząchwią i zrobiło mu się czarno przed oczami. — A czy mógłbym prosić bez tego estru kwasu tłuszczowgo? — zapytał z nadzieją, ale został wyrzucony na korytarz, gdzie po chwili dołączył do niego Jasio.

— No, no — powiedział Jasio — tu są wszystkie niezbędne do życia składniki. Czy to nie cudowne?

Bill siorbnął ze swego kubka i westchnął rozdzierająco.

— Popatrz tutaj — odezwał się głos Tembo, a kiedy Bill się

odwrócił, na ścianie korytarza pojawił się trójwymiarowy obraz. Przedstawiał zamglony nieco firmament, na którym małe figurki zdawały się jeździć wierzchem na obłokach. — Jeśli się nie nawrócisz, mój chłopcze, czekają cię piekielne męki. Odrzuć swe przesądy na rzecz Pierwszego Reformowanego Kościoła Szamańskiego, który Przyjmie cię z otwartymi ramionami. Przytul się do jego łona i zajmij swe miejsce w niebie po prawicy Samediego, wraz z Mondogue, Bakalou i Zandore, którzy przywitają cię z radością i z nadzieją na ciebie czekają.

Obraz zmienił się, obłoki były teraz większe, a z głośniczka dobiegał śpiew niebiańskiego chóru z akompaniamentem sekcji perkusyjnej. Teraz figurki widać już było wyraźnie — wszystkie miały bardzo ciemną skórę, śnieżnobiałe szaty i ogromne czarne skrzydła. Wszystkie uśmiechały się i machały radośnie, kiedy ich obłoczki zbliżały się do siebie, wszystkie też śpiewały cały czas z zapałem, waląc co s w małe przenośne tam-tamy. Widok był doprawdy wzruszający i oczy Billa trochę nawet zwilgotniały.

— Baczność!!!

Ryk odbił się stukrotnym echem od ścian korytarza. Żołnierze wyprostowali plecy, strzelili obcasami i zamarli ze wzrokiem skierowanym prosto przed siebie. Tembo schował projektor do kieszeni, przerywając w pół słowa niebiańskiemu chórowi.

— Spocznij — rozkazał bezpiecznikowy pierwszej klasy Chandra.

Odwrócili się w jego stronę i ujrzeli, jak nadchodzi w towarzystwie dwóch żandarmów z gotowymi do strzału pistoletami. Żandarmi stanowili ochronę dla schowanego za ich plecami oficera. Bill poznał, że jest to oficer, ponieważ uczęszczał w obozie na Kurs Identyfikacji Oficerów a oprócz tego wśród wielu plakatów na ścianie latryny wisiał również jeden zatytułowany POZNAJ SWOICH OFICERÓW. Bill miał okazję przestudiować ten plakat bardzo dokładnie podczas epidemii biegunki, której był jedną z ciężej dotkniętych ofiar. Szczęka mu opadła, kiedy oficer przeszedł tak blisko, że prawie można go było dotknąć i zatrzymał się przed Tembo.

— Bezpiecznikowy szóstej klasy Tembo, mam dla was dobrą wiadomość. Za dwa tygodnie kończy się wasza siedmioletnia służba i z racji jej nienagannego przebiegu kapitan Zekial polecił zwiększyć waszą premię, będziecie mieli honorowe pożegnanie połączone z występem orkiestry i otrzymacie bezpłatny transport na Ziemie.

Tembo, spokojny i pewny siebie, spojrzał w dół na karzełkowatego porucznika o dobrze przeżutych jasnych wąsach:

— To niemożliwe, sir.

— Niemożliwe? — zaskrzeczał porucznik i zakołysał się na piętach. — A kim ty jesteś, żeby mi mówić, co jest niemożliwe?

— To nie ja mówię, sir — odparł z niewzruszonym spokojem

Tembo — to przepisy, Ustawa 13-9A, paragraf 45, strona 8923, tom 43 Ustaw, Przepisów i Praw Wojennych. „Żaden żołnierz, ani oficer nie może w czasie wojny zostać zwolniony z bazy, urzędu, statku, pojazdu, placówki czy obozu pracy inaczej niż tylko z wyrokiem śmierci i pozbawieniem wszelkich szarż i honorów.

— Czy jesteś prawnikiem, Tembo?

— Nie, sir. Jestem lojalnym żołnierzem, sir… pragnę tylko wykonywać moje obowiązki, sir.

— Z tobą jest coś nie tak, Tembo. Sprawdziłem w aktach, że zaciągnąłeś się na ochotnika, bez użycia hipnozy czy narkotyków. Teraz znowuż nie chcesz odejść ze służby. Niedobrze, Tembo, bardzo niedobrze. To nieładnie o tobie świadczy. To rzuca na ciebie cień podejrzenia. To robi z ciebie szpiega, czy coś takiego.

— Nie jestem szpiegiem, sir.

— Nie jesteś, Tembo, sprawdziliśmy to bardzo dokładnie. Ale dlaczego chcesz służyć w wojsku?

— Bo jestem lojalnym żołnierzem Cesarza, sir i chcę głosić moją wiarę. Czy został pan już zbawiony, sir?

— Uważaj, co mówisz, żołnierzu, bo inaczej z tobą pogadam! Tak, znamy tę historię — „wielebny”, he, he — ale nam nie zamydlisz nią oczu. Cwaniak z ciebie, ale jeszcze cię rozgryziemy…

Podrywając wszystkich na baczność ruszył majestatycznie z powrotem. Zniknął za zakrętem korytarza, a żołnierze popatrzyli na Tembo tak jakoś dziwnie; że i on zaraz sobie poszedł. Bill i Jasio wracali nieśpiesznie do kajuty.

— Zostać dobrowolnie w wojsku! — mruknął z niedowierzaniem Bill.

— Eee… może to wariat? — powiedział Jasio. — Innej możliwości nie widzę.

— Aż takich wariatów nie ma — odparł Bill. — Ciekawe, co tam jest — dodał, wskazując na drzwi z kobylastym napisem NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY.

— Eee…może jedzenie?

Natychmiast wtargnęli do środka, zamykając za sobą drzwi, ale jedzenia tam nie było. Znajdowali się w długim pomieszczeniu o łukowato wygiętej jednej ścianie, przy której zgrupowane były pokaźnych rozmiarów urządzenia pełne skal, wskaźników, przełączników, pokręteł i dźwigien. Oprócz tego znajdował się tu jeszcze ekran, a z zakrzywionej ściany sterczały grube, zasklepione na końcach rury. Bill pochylił się nad najbliższym urządzeniem i przeczytał napis na małej tabliczce: „Dezintegrator Atomowy, Typ IV”.

— Popatrz, jakie to duże! To pewnie główna bateria statku.

Odwrócił się i zobaczył, że Jasio uniósł rękę w taki sposób, że tarcza jego zegarka skierowana była na stanowiska ogniowe, zaś

palcem drugiej ręki naciska znajdujący się na boku koperty guziczek.

— Co robisz? — zapytał Bill.

— Eee… chciałem zobaczyć, która godzina.

— Jak możesz zobaczyć, która godzina, skoro patrzysz na zapięcie paska, a zegarek masz z drugiej strony?

Gdzieś na drugim końcu pomieszczenia z atomowymi działami rozległy się kroki, co przypomniało im o napisie na drzwiach. W mgnieniu oka znaleźli się z powrotem na korytarzu i Bill cichutko domknął drzwi. Kiedy rozejrzał się, Jasia już nie było, toteż musiał sam wracać do kajuty. Jasio już tam siedział pastując zawzięcie buty, ale nawet nie spojrzał, kiedy Bill przeciskał się do swojej pryczy.

Co on wtedy robił z tym zegarkiem?

4.

Pytanie to dręczyło Billa przez długie dni szkolenia, kiedy w trudzie i mozole uczyli się obsługi bezpieczników. Była to precyzyjna, wymagająca wielkiej dokładności praca, ale Bill i tak znajdował dość czasu, by się zastanawiać. Zastanawiał się stojąc w kolejce po jedzenie i w tych krótkich chwilach każdego wieczoru, kiedy zgaszono już światła, a jego zmęczone ciało nie pogrążyło się jeszcze w objęciach snu. Zastanawiał się, kiedy tylko miał ku temu okazję i chudł w oczach.

Chudł nie dlatego, że się zastanawiał, lecz z tego samego powodu, dla którego chudli wszyscy dookoła. Racje żywnościowe. Miały one za zadanie podtrzymywać tlące się w nich życie i to właśnie robiły, ale nikt jakoś nie pomyślał, co to miało być za życie, a było ono głodne, biedne i zmęczone. Bill jednak nie zwracał na to uwagi; miał większe problemy i coraz wyraźniej czuł, że sam nie jest w stanie im podołać. Kiedy niemal niesłyszalny brzęczyk zakończył specjalne, niedzielne ćwiczenia, zorganizowane na koniec drugiego tygodnia ich szkolenia specjalistycznego, zamiast dołączyć do reszty żołnierzy, którzy zataczając się ze zmęczenia ruszyli do mesy, podszedł do bezpiecznikowego pierwszej klasy Chand.

— Sir, mam pewien problem…

— Nie ty jeden, weź zastrzyk i po krzyku, a poza tym nie jesteś mężczyzną, póki przez to nie przeszedłeś.

— Właściwie… to trochę inny problem… Chciałbym… chciałbym widzieć się z kapelanem.

Chandra zbladł jak papier i oparł się o ścianę.

— Umówmy się, że nic nie słyszałem — powiedział słabo. — Dobra, idź jeść i jeśli nikomu o tym nie powiesz, to ja też nie.

Billowi wystąpiły na twarzy rumieńce.

— Przepraszam, ale nic nie mogę na to poradzić. Nie moja wina, że muszę się z nim widzieć, każdemu może się zdarzyć… — mówił coraz ciszej ze wzrokiem utkwionym w podłodze, przestępując niepewnie z nogi na nogę. Milczenie przeciągało się aż wreszcie przerwał je Chandra, ale tym razem już całkowicie oficjalnym tonem.

— W porządku, żołnierzu, skoro tego chcesz. Ale mam nadzieję, że żaden z chłopców się o tym nie dowie. Zamiast do stołówki, idź tam od razu. Tu masz przepustkę.

Nabazgrał coś na skrawku papieru, po czym celowo upuścił go na podłogę. Odwrócił się i odszedł, a Bill schylił się skwapliwie po wymięty świstek.

Według księgi adresowej statku, kapelan zajmował pomieszczenie 362-B na pokładzie 89. Bill dotarł tam wreszcie po długiej wędrówce

niezliczonymi pochylniami, szybami, korytarzami i drabinami i stanął przed nie wyróżniającymi się niczym drzwiami z połączonych nitami arkuszy blachy. W gardle zaschło mu zupełnie, a pot wielkimi kroplami wystąpił na czoło, kiedy zastukał drżącą ręką w metalową płaszczyznę. Drzwi zadudniły donośnie i po nieskończenie długim, jak mu się zdawało, czasie, z drugiej strony nadeszła przytłumiona odpowiedź:

— Wchodzić, wchodzić. Otwarte.

Bill wszedł i stanął na baczność przed oficerem w randze podporucznika, siedzącym za wypełniającym niemal cały pokój biurkiem. Oficer ten, aczkolwiek stosunkowo młody, łysiał gwałtownie, miał podkrążone oczy, był zdecydowanie nieogolony, a jego krawat wymagał nie tylko wyprasowania, ale i ponownego, porządnego zawiązania. W momencie, kiedy Bill wszedł do pokoju, oficer pochłonięty był grzebaniem w zawalających mu biurko stertach papieru. Od czasu do czasu wyławiał jakąś kartkę, coś na niej pośpiesznie skrobał, odkładał na bok, wyławiał następną, znowu coś na niej bazgrał, albo wyrzucał do wypełnionego już z czubem kosza. W trakcie tych operacji przesunął jeden ze stosów, odsłaniając wizytówkę z napisem OFICER PRALNICZY.

— Przepraszam, sir — powiedział Bill — ale chyba pomyliłem drzwi. Szukałem kapelana.

— To tutaj, ale kapelan przychodzi o trzynastej, czyli, jak nawet ktoś tak głupio wyglądający jak ty może się zorientować, za piętnaście minut.

— Dziękuje, sir. To ja… — Bill ruszył w kierunku drzwi.

— Zostaniesz tutaj i trochę popracujesz. — Oficer łypnął na niego przekrwionym okiem i zarechotał diabolicznie. — Mam cię. Przejrzyj te rachunki za chusteczki do nosa. Gdzieś mi się zapodziało 600 pasów kroczowych, może są tam. Myślisz, że to łatwo być oficerem pralniczym?

Wysmarkał się żałośnie i pchnął w stronę Billa chwiejący się stos papierów. Nie zdążyli jeszcze na dobre zacząć, kiedy rozległ się dzwonek na koniec wachty.

— Wiedziałem! — załkał bezsilnie oficer. — Ta robota nigdy się nie skończy! Gdzie tam, jest coraz gorzej. A tobie się zdaje, że masz problemy!

Drżącą dłonią przekręcił stojącą na biurku wizytówkę na drugą stronę. Pojawiło się wypisane wielkimi literami słowo KAPELAN. Następnie chwycił za swój kołnierzyk i przekręcił go o sto osiemdziesiąt stopni na wszytych w stójkę koszuli miniaturowych łożyskach kulkowych. Kołnierzyk znalazł się z tyłu, z przodu zaś zajaśniała nieskazitelna biel sztywnego paska, kojarzącego się nieomylnie z profesją duchownego.

Kapelan splótł dłonie, opuścił oczy i uśmiechnął się łagodnie.

— Czym mogę ci służyć, synu?

— Myślałem, że jest pan oficerem pralniczym… — wystękał zdumiony Bill.

— Bo jestem, mój synu, ale to tylko jeden z ciężarów, jakie musze dźwigać na mych barkach. W tych trudnych czasach niewielkie jest zapotrzebowanie na kapelanów, natomiast olbrzymie na oficerów pralniczych. Służę, jak mogę. — Schylił pokornie głowę:

— Ale… kim pan właściwie jest? Kapelanem, który od czasu do czasu jest oficerem pralniczym, czy oficerem pralniczym, który od czasu do czasu jest kapelanem?

— To tajemnica, mój synu. Są rzeczy, o których czasem lepiej nic nie wiedzieć. Widzę jednak, że gnębią cię jakieś troski. Czy wolno mi spytać, synu, czy wierzysz?

— Czy w co wierzę?

— To właśnie chcę od ciebie usłyszeć! — parsknął kapelan, w którym na moment doszedł do głosu oficer pralniczy. — Jak mogę ci pomóc nie wiedząc, jaką religię wyznajesz?

— Jestem zoroastsaninem.

Kapelan wyciągnął z szuflady obłożoną w przezroczysty plastyk kartkę i zaczął przesuwać po niej palcem.

— Z… Z… Zen… Zodomia… Zoroashanie, starego obrządku, tak?

— Tak, sir.

— No, to nie ma problemu… 2152 05 — z wprawą wystukał numer na wysuniętym z blatu biurka pulpicie i z ewangelicznym błyskiem w oku zamaszystym gestem zmiótł na podłogę wszystkie rachunki z pralni. Zamrugała ukryta maszyneria, część biurka zapadła się nagle, by po chwili pojawić się ponownie z czarnym, złoto zdobionym pudełkiem.

— Za chwileczkę będę gotów — powiedział kapelan otwierając pudełko.

Najpierw wyciągnął z niego długi pas białego materiału z wyszytymi na nim złotymi bykami i owinął go sobie dokoła szyi. Potem położył przy pudełku grubą, oprawną w skórę księgę, a następnie zamknął jego wieczko i ustawił na nim dwa niewielkie naczynka. Do jednego z nich nalał destylowanej wody z plastykowej buteleczki, a do drugiego oliwy, którą następnie podpalił. Bill radośnie obserwował te tak dobrze mu znane przygotowania.

— To cudowne — powiedział — że jest pan zoroastraninem. Łatwiej mi będzie wszystko panu wyznać.

— Nie ma w tym nic cudownego, mój synu, to, tylko kwestia inteligentnego planowania. — Kapelan wsypał do ognia szczyptę sproszkowanej haomy i nozdrza Billa zadrżały, kiedy dotarł do nich odurzający zapach. — Z łaski Ahura Mazdy jestem pomazańcem

Zoroastra, z woli Allaha wiernym muezinem, za wstawiennictwem jahwe obrzezanym rabbi i tak dalej, i tak dalej.

Jego emanująca dobrocią twarz wykrzywiła się nagle w paskudnym grymasie. — A z powodu braku wykwalifikowanych kadr jestem tym cholernym oficerem Pralniczym. — Na twarz wrócił mu błogi spokój. — Ale teraz słucham już, z czym do mnie przychodzisz…

— Hm, to nie takie proste. Może to tylko głupie podejrzenie z mojej strony, ale martwię się o jednego z kolegów. Coś z nim nie tak. Nie wiem, jak to powiedzieć…

— Miej ufność, mój synu. Wyzbyj się ze swego serca obaw i wyjaw mi nawet najskrytsze uczucia. Nic, co powiesz, nie wyjdzie poza te ściany, bowiem zobowiązany jestem do milczenia przysięgą mego powołania. Mów, co ci leży na sercu.

— To bardzo miłe z pana strony, od razu mi się raźniej zrobiło. Otóż ten kolega zawsze był trochę dziwny, czyścił nam wszystkim buty, zgłaszał się na ochotnika do sprzątania latryny, nie interesował się dziewczynami…

Kapelan pokiwał głową ze świątobliwą aprobatą i podwachlował w swoją stronę trochę aromatycznych oparów.

— Nie widzę w tym nic, co by cię mogło niepokoić, ten kolega wygląda na bardzo przyzwoitego gościa. Czyż nie jest bowiem napisane, że mamy pomagać bliźnim naszym, dzielić z nimi ich troski i strzec się wszetecznych cór ulicy?

Bill wydął wargi.

— To dobre w szkółce niedzielnej, ale nie w wojsku! Myśleliśmy zresztą, że on jest trochę stuknięty, ale teraz nie o to mi chodzi. Byłem z nim na stanowisku ogniowym i on wycelował zegarek, nacisnął guziczek, i usłyszałem takie „k1ik”. To mógł być aparat fotograficzny. Ja… ja myślę, że on jest szpiegiem Chingersów! — Spocony jak mysz Bill opadł na krzesło i ciężko łapał powietrze. Fatalne słowa zostały wypowiedziane.

Na pół odmłodzony oparami haomy, uśmiechnięty kapelan kiwał cały czas głową. W pewnej chwili otrząsnął się, wytarł nos i otworzył grubą księgę Awesty. Wymamrotał coś po staropersku, po czym, wyraźnie podniesiony na duchu, zatrzasnął ją głośno.

— Nie przedstawiaj nieprawdziwego świadectwa! — zadudnił, mierząc w Billa oskarżycielskim palcem i przeszywając go ostrym spojrzeniem.

— Źle mnie pan zrozumiał — jęknął Bill, wiercąc się na krześle. — On to zrobił, widziałem na własne oczy! A w ogóle, co to ma być za pomoc duchowa?

— To taki środek na wzmocnienie, mój synu, tchnienie starej religii, które ma obudzić w tobie poczucie winy i zachęcić do regularniejszego odwiedzania świątyni. Źle się prowadzisz synu!

— A czy to moja wina? W obozie nie wolno było chodzić do kościoła.

— Okoliczności nie są żadnym usprawiedliwieniem, ale to razem zostanie ci to wybaczone, bowiem nieskończona jest dobroć Ahura Mazdy.

— A co z tym moim kolegą-szpiegiem?

— Zapomnij o swoich podejrzeniach, niegodne są one bowiem wyznawcy Zoroastra. Ten nieszczęśnik nie może być szykanowany tylko dlatego, że zgodnie ze swą naturą odnosi się przyjaźnie do wszystkich, z którymi się styka, że pomaga swym towarzyszom, że nie bierze udziału we wszeteczeństwach, że ma stary zegarek, który głośno chodzi. A poza tym, jeżeli nie masz nic przeciwko wprowadzeniu do naszej rozmowy elementów logiki, to jak on w ogóle może być szpiegiem? Żeby być szpiegiem, musi być Chingersem, a Chingersi mają siedem stóp wzrostu i ogon. Kapujesz?

— Tak, tak… — mruknął nie do końca przekonany Bill. — Sam na bo wpadłem, ale to jeszcze nie wyjaśnia wszystkiego…

— Mnie to wystarcza i tobie też musi. Zdaje się, że twoją duszą zawładnął Aryman, który każe ci źle myśleć o twoich przyjaciołach, toteż lepiej odpraw prędko pokutę i Przyłącz się do mnie w krótkiej modlitwie, bo zaraz wraca oficer pralniczy.

Po chwili rytuał był już zakończony i Bill pomógł powkładać wszystko do pudełka, które zaraz zniknęło w biurku, po czym pożegnał się i skierował do drzwi.

— Jęszcze chwileczkę, mój synu — poprosił kapelan z najserdeczniejszym ze swych uśmiechów. Jednocześnie gwałtownym ruchem przekręcił z powrotem kołnierzyk, po czym uśmiech znikł, jak wymazany gąbką, a na jego miejscu pojawił się złowieszczy grymas.

— Dokąd to, łachudro? Sadzaj dupę na tym krześle, ale już!

— A… ale… — wyjąkał Bill — pan powiedział, że już mogę iść…

— To powiedział kapelan, a jako oficer pralniczy nie mam z nim nic wspólnego. A teraz szybko, nazwisko tęgo szpiega, którego ukrywasz!

— Przecież kapelan jest pod Przysięgą…

— I jej dotrzymuję, bo nie pisnął nawet słówka, tyle że ja przypadkiem to usłyszałem. — Nacisnął czerwony guzik na pulpicie. — Za chwilę będą tu żandarmi. Gadaj szybko, śmierdzielu, bo jak nie, to przeciągnę cię bez skafandra pod kilem, a potem na rok zabronię wstępu do kantyny. Nazwisko!

— Gorliwy Jasio — wychlipał Bill. Na korytarzu zadudniły ciężkie kroki i do pokoju wpadło dwóch żandarmów.

— Mam dla was szpiega, chłopcy — oznajmił triumfującym ton oficer pralniczy. Żandarmi obnażyli zęby, zawyli radośnie i rzucili się na Billa, który runął pod gradem zadawanych pałkami oraz pięściami

ciosów i krwawił już obficie, zanim oficerowi pralniczemu udało się odciągnąć dwóch nadmiernie umięśnionych kretynów, którzy i tak nawet na chwilę nie przestawali łakomie spoglądać na Billa.

— To nie ten — wyjaśnił oficer i rzucił Billowi ręcznik, żeby wytarł sobie krew z twarzy. — To nasz informator, lojalny patriota, bohater, który zdradził swego przyjaciela, niejakiego Gorliwego Jasia, po którego teraz pójdziemy, skujemy go i przesłuchamy. W drogę.

Żandarmi wzięli Billa między siebie i zanim doszli do żołnierskich kwater, powiew powietrza trochę go ocucił. Oficer pralniczy uchylił drzwi na tyle, żeby wsadzić do środka głowę.

— Cześć, chłopaki! — zawołał radośnie. — Jest tu Gorliwy Jasio!

Jasio podniósł głowę znad pastowanego właśnie buta, uśmiechnął się szeroko i pomachał ręką.

— Eee… to ja!

— Brać go! — ryknął oficer pralniczy, odskakując na bok i wskazując na Jasia. Żandarmi puścili Billa, który miękko klapnął na podłogę i wpadli do kajuty. Zanim Bill zdołał się unieść na uginające się pod nim nogi, Jasio był już obezwładniony, skuty i związany, ale wciąż się szeroko uśmiechał.

— Eee… wypastować wam buty, chłopcy?

— Bez Pyskowania, ty Podły szpiegu! — warknął oficer pralniczy i zdzielił go wprost w radosny uśmiech. To znaczy, chciał go zdzielić w radosny uśmiech, bowiem Jasio otworzył usta i zatopił zęby w próbującej go dosięgnąć ręce, zaciskając szczęki tak mocno, że oficer za nic nie mógł wyszarpnąć dłoni z powrotem.

— Ugryzł mnie! — zawył oficer pralniczy, starając za wszelką cenę się oswobodzić. Obydwaj żandarmi, każdy przykuty do jednej ręki więźnia, unieśli pałki, by sprawić Jasiowi porządne lanie.

W tej samej chwili szczyt jego czaszki otworzył się niczym klapa czołgu.

Gdyby wydarzyło się to kiedykolwiek indziej, zostałoby uznane za wydarzenie niezwykłe, biorąc jednak pod uwagę okoliczności, było niezwykłe w dwójnasób. Wszyscy, nie wyłączając Billa, z niebotycznym zdumieniem obserwowali, jak z otwartej czaszki Jasia wygramoliła się siedmiocalowa może jaszczurka i zeskoczyła na podłogę, robiąc w niej sporej wielkości wklęśnięcie. Miała czworo drobnych ramion, długi ogon, głowę małego aligatora i była koloru jasnozielonego. Wyglądała dokładnie jak Chingers, tylko że zamiast siedmiu stóp miała siedem cali wzrostu.

— Wszyscy ludzie śmierdzą — powiedziała piskliwą imitacją głosu Jasia. — Chingersi się nie dadzą. Niech żyją Chingersi!

Po czym popędziła w stronę pryczy Jasia.

Wszystkich jakby sparaliżowało. Bezpiecznikowi, którzy widzieli, co się stało, stali lub siedzieli bez ruchu, z oczami wybałuszonymi jak

jajka na twardo. Oficer pralniczy był ciągle przyszpilony wpijającymi się w rękę zębami, zaś obaj żandarmi usiłowali gwałtownie, lecz nieskutecznie odpiąć się od unieruchamiającego ich ciała. Jedyną osobą, która miała jaką taką swobodę ruchów, był ciągle jeszcze trochę zamroczony Bill. Schylił się, by chwycić małą istotę i poczuł, jak w skórę wbijają mu się ostre pazury, po czym został rzucony ze straszliwą siłą w powietrze, by rozpłaszczyć się na najbliższej ścianie.

— Eee… to dla ciebie, ty kablu! — zaskrzeczał cieniutki głosik.

Nim ktokolwiek zdołał zareagować, jaszczurka dopadła do sterty najróżniejszych toreb spiętrzonych na pryczy Jasia, otworzyła jedną z nich, leżącą na samym wierzchu i dała nurka do środka. Po chwili rozległo się wysokie, narastające brzęczenie i z torby wyłonił się statek kosmiczny o długości może ze dwóch stóp. Zawisł w powietrzu na środku kajuty, po czym obrócił się wokół swej pionowej osi, mierząc dziobem w ścianę. Brzęczenie nasiliło się i statek wystrzelił do przodu, przebijając ścianę z taką łatwością, jakby była zrobiona nie z metalu, a z nasiąkniętej wodą tektury. Słychać było jak przedziera się przez kolejne przegrody, aż wreszcie z donośnym hukiem przebija zewnętrzny pancerz statku i umyka w kosmos. Rozległ się świst uciekającego powietrza i jazgot dzwonków alarmowych.

— Do licha… — powiedział oficer pralniczy zatrzaskując rozdziawioną ze zdumienia szczękę. Syknął z bólu. — Zdejmijcie to z mojej ręki, bo zagryzie mnie na śmierć!

Żandarmi miotali się ciągle bezsilnie, skutecznie przykuci do nieruchomej postaci Gorliwego Jasia. Jasio przez cały czas trzymał w uśmiechniętej paszczy dłoń oficera pralniczego, który znalazł się na wolności dopiero wtedy, kiedy Bill wyjął swoją atomową strzelbę i jej lufą podważył zaciśnięte szczęki Jasia. Przy okazji przyjrzał się otwartej czaszce swego kolegi. Pokrywa, trzymająca się na małym, metalowym zawiasku, zaczynała się tuż nad linią uszu. Wewnątrz, zamiast kości, mózgu i różnych innych rzeczy, znajdowała się miniaturowa sterownia wyposażona w małe krzesełko, mikroskopijne urządzenia, ekrany i szafkę z napojami chłodzącymi. Jasio był tylko robotem, kierowanym przez istotkę, która uciekła swoim statkiem kosmicznym. Wyglądała na Chingersa, ale miała tylko siedem cali wzrostu.

— Hej! — powiedział Bill. — Jasio był tylko robotem, kierowanym przez tę istotkę, co uciekła swoim statkiem! Wyglądała na Chingersa, ale miała tylko siedem cali…

— Siedem cali, siedem stóp, co to w sumie za różnica — burknął oficer pralniczy, zawijając w chusteczkę od nosa swoją pogryzioną dłoń. — Może mamy mówić żołnierzom, że nieprzyjaciel nie sięga im nawet do kolan, albo tłumaczyć, że pochodzi z planety o ciążeniu 10 g? Musimy dbać o wysokie morale.

5.

Teraz, kiedy Gorliwy Jasio okazał się szpiegiem Chingersów, Billowi bardzo zaczęła doskwierać samotność. Zadek Brown, który nigdy przecież do rozmownych nie należał, teraz zamilkł zupełnie, toteż Bill nie miał się nawet przed kim wyżalić. Spośród żołnierzy mieszkających z nim w kajucie Brown był jedynym, którego Bill znał jeszcze z obozu szkoleniowego. Reszta trzymała się osobno, rozmawiając przyciszonymi głosami i rzucając na niego podejrzliwe spojrzenia, jeśli akurat znajdował się gdzieś w pobliżu. Jedyną rozrywkę tych ludzi stanowiło spawanie — każdą wolną chwilę spędzali przyspawając coś do podłogi, by za jakiś czas to coś odpiłować i przyspawać ponownie w innym miejscu. Wydawać by się mogło; że nie jest to zbyt pasjonujący sposób spędzania czasu, oni jednak sprawiali wrażenie osób, które nie potrafią sobie nawet wyobrazić nic przyjemniejszego. Bill, szczerze mówiąc, nie mógł się jakoś do tego spawania przekonać, toteż próbował umilać sobie czas prowadząc konwersacje z Gorliwym Jasiem. „

— Zobacz tylko, w coś ty mnie wpakował! — narzekał Bill.

Jasio uśmiechał się niewzruszenie, nieczuły na wszelkie żale i wyrzuty.

— Mógłbyś przynajmniej zamknąć sobie głowę, kiedy do ciebie mówię — żachnął się Bill, zatrzaskując wieko czaszki pucybuta. Niewiele to jednak zmieniło, Jasio bowiem wciąż się uśmiechał. Dla niego pastowanie już się skończyło. Stał sobie w kącie, a że był sztywny, ciężki i przymagnetyzowany do podłogi, żołnierze wieszali na nim brudne koszule i części spawarek. Stał tak przez trzy wachty, zanim ktoś na górze podjął decyzje, co z nim począć. Potem zjawił się oddział żandarmów z łomami, władowali go na wózek i wywieźli w nieznanym kierunku.

— Cześć! — pomachał mu Bill i wrócił do pastowania swoich butów. Jasio był oczywiście szpiegiem, ale był także dobrym kolegą.

Zadek ciągle się nie odzywał, a spawacze przecież nigdy z nim nie rozmawiali, toteż większość wolnego czasu zajmowało Billowi unikanie spotkania z wielebnym bezpiecznikowym Tembo. „Fanny Hill” — „wielka dama” kosmicznej floty znajdowała się ciągle na orbicie parkingowej, gdzie kończono montaż jej potężnych silników. Na pokładzie niewiele było do roboty, bowiem mimo tego, co mówił Chandra, opanowanie wszystkich niuansów pracy bezpiecznikowego zajęło im nieco mniej niż wymagany przepisami rok, a mianowicie dokładnie piętnaście minut. Bill włóczył się po całym statku, zapuszczając się wszędzie tam, gdzie pozwalały mu krążące patrole żandarmerii nawet zastanawiał się, czy nie odwiedzić kapelana,

któremu mógłby zwierzyć się z gnębiących go trosk. Jednak gdyby źle utrafił z czasem, to mógłby się nadziać na oficera pralniczego, a tego już by z pewnością nie wytrzymał. Łaził więc tak sobie i łaził, samotny jak palec, aż zajrzał przez uchylone drzwi do jednej z kajut i zobaczył leżący na łóżku but.

Bill zamarł w bezruchu, zaszokowany, przerażony, spięty, skonsternowany i walczył przez chwile z odmawiającymi mu nagle posłuszeństwa zwieraczami.

Znał ten but. Znał ten but, łącznie z numerem seryjnym i do śmierci go nie zapomni. Każdy szczegół tego straszliwego buta wrył mu się w pamięć z przerażającą dokładnością — począwszy od wężowatych sznurowadeł w zrobionych podobno z ludzkiej skóry cholewkach, a skończywszy na wytłaczanych podeszwach, pokrytych rdzawymi plamami ludzkiej krwi. Ten but należał do Kostuchy Dranga.

Z buta wystawała noga i Bill, jak sparaliżowany bezpośrednią bliskością węża ptak poczuł, że pochyla się coraz bardziej i bardziej, zaglądając do wnętrza kajuty, jego oczy wędrują w górę nogi, mijają pas, koszulę, szyję, by wreszcie spocząć na twarzy, która od momentu, kiedy znalazł się w wojsku, pojawiała się w każdym jego śnie, zamieniając go w niewyobrażalny koszmar. Wargi na twarzy poruszyły się…

— Czy to ty, Bill? Wejdź i siadaj.

Bill wszedł i usiadł.

— Weź sobie cukierka — powiedział uśmiechając się Kostucha.

Palce Billa same sięgnęły do podsuniętego pudełka i po chwili jego szczęki zaczęły po raz pierwszy od paru tygodni żuć kawałek stałego pożywienia. Połykał wzbierającą mu w ustach ślinę, czując, jak jego zdumiony żołądek drga konwulsyjnie, podczas gdy myśli gonią jedna drugą w szaleńczym pędzie, usiłując rozszyfrować wyraz twarzy Kostuchy. Wygięte ku górze kąciki ust, kurze stopki przy oczach… Nie, to było beznadziejne. Nie miał pojęcia, co to mogło być.

— Słyszałem, że Gorliwy Jasio okazał się szpiegiem Chingersów — powiedział Kostucha zamykając pudełko ze słodyczami i chowając je pod poduszkę. — Powinienem się był tego domyśleć. Czułem, że coś jest nie tak z tym jego czyszczeniem wszystkich butów i w ogóle, ale myślałem, że to po prostu świrus. A tu, okazuje się…

— Kostucha — odezwał się chrapliwym głosem Bill — ja wiem, że to niemożliwe, ale pan zachowuje się jak człowiek!

Kostucha zachichotał, ale nie tym swoim jeździmy-piłą-po-ludzkich-kościach chichotem, tylko prawie całkiem normalnie.

Bill zająknął się z przejęcia.

— Prze… przecież pan jest sadystą, zboczeńcem, bestią, dzikusem, łobuzem, mordercą…

— Dziękuje ci, Bill. Miło to słyszeć. Starałem się wykonywać swój zawód jak najlepiej, bo jestem człowiekiem w wystarczającym stopniu, by odczuwać potrzebę uznania. Z tym mordercą było trochę trudno, ale cieszę się, że to wreszcie dotarło nawet do takiego baraniego łba, jak twój.

— To… to pan nie jest…

— Spokój! — szczeknął Kostucha i była w tym wystarczająca dawka dawnego jadu i wściekłości, żeby temperatura ciała Billa spadła natychmiast o sześć stopni. Po chwili Kostucha znowu się uśmiechnął. — Trudno cię winić, synu, za twoje zachowanie — jesteś tylko przygłupim chłopakiem z prowincjonalnej planety, zamiast do szkoły poszedłeś do wojska i w ogóle… Ale ocknij się, człowieku! Wychowanie wojskowe jest zbyt poważną sprawą, żeby pozwolić, by zajmowali się tym amatorzy. Gdybyś przeczytał parę rozdziałów ze szkolnych podręczników, dopiero wtedy włosy stanęłyby ci dęba! W czasach prehistorycznych sierżanci od musztry, czy jak ich tam wtedy nazywano, to byli dopiero sadyści! Siły zbrojne pozwalały tym ludziom absolutnie pozbawionym jakiejkolwiek wiedzy dosłownie niszczyć rękrutów. Pozwalały im uczyć żołnierzy nienawidzieć służby zanim jeszcze nauczyli się jej bać, a wtedy diabli brali dyscyplinę. A straty! Zawsze przez pomyłkę zachodzili kogoś na śmierć albo utopili podczas przeprawy cały oddział, czy coś w tym rodzaju. Rozbeczałbyś się tylko czytając o tych stratach.

— Czy mogę wiedzieć, co pan studiował? — zapytał Bill nieśmiało.

— Dyscyplinę Wojskową, Łamanie Woli i Metodologię Działania. Skończyłem co prawda tylko pobieżny, czteroletni kurs, ale dostałem sigma cum, co jak na chłopaka z rodziny robotniczej nie było wcale źle. W wojsku robiłem błyskawiczną karierę i dlatego właśnie nie rozumiem, dlaczego te niewdzięczne dranie wpakowały mnie do tej cholernej puszki po konserwach!

Uniósł oprawione w złote druciki okulary, by otrzeć wzbierającą mu w oku łzę.

— Spodziewał się pan wdzięczności? — zapytał cicho Bill.

— Nie, no skąd, co za głupota. Dzięki za przypomnienie realiów, Bill, będzie jeszcze z ciebie dobry żołnierz. Wszystko, czego w gruncie rzeczy oczekuję, to możliwość plucia na wszelkie prawa, tak jak to robią Ci Na Górze. Wiesz, o czym mówię; przekupstwa, fałszywe zamówienia, operacje czarnorynkowe i tak dalej. Chodzi mi tylko o to, że tam, w obozie odwalałem kawał naprawdę dobrej roboty i miałem naiwną, jak się okazuje, nadzieję, że pozwolą mi to dalej robić. Teraz będę musiał zacząć załatwiać sobie przeniesienie.

Wstał z łóżka i schował pudełko z cukierkami i okulary do zamykanej na klucz szafki.

Bill, dosyć łatwo dający się wszelki szokującym wydarzeniom wytrącić z równowagi, do której długo potem nie mógł powrócić, kiwnął głową, od czasu do czasu waląc w nią wierzchem dłoni.

— Pewnie bardzo panu pomógł ten zbieg okoliczności, że jest pan tak szkaradnie zdeform… to znaczy, chciałem powiedzieć, że pan ma takie ładne zęby…

— Żaden zbieg okoliczności — odparł Kostucha, stukając paznokciem w jeden ze swych wystających kłów. — Drogie jak diabli. Masz pojecie, ile kosztuje specjalnie wyhodowany zestaw chirurgicznie wszczepianych kłów-mutantów? Założę się, że nie! Przez trzy lata pracowałem w czasie letnich wakacji, żeby na nie zarobić, ale mówię ci, warto było. Wygląd to wszystko. Przestudiowałem prehistoryczne filmy, w których zarejestrowano ówczesnych specjalistów od wdeptywania ludzi w błoto. Na swój niezgrabny sposób byli nawet nieźli. Dobierano ich oczywiście według wyglądu i niskiego ilorazu inteligencji, ale wiedzieli, na czym rzecz polega. Ogolone, pokryte bliznami głowy jak kule bilardowe, potężne szczęki, odrażające zachowanie, popędliwość, co tylko chcesz. Uznałem, że pewne poczynione na początku inwestycje mogą przynieść spore korzyści. A było to poświęcenie, mogę cię zapewnić! Spotkałeś może jeszcze kogoś z wszczepionymi kłami? Nie! A dlaczego? Jest masa powodów. Co prawda takie kły znakomicie nadają się do gryzienia surowego mięsa, ale do czego poza tym? Spróbuj na przykład pocałować dziewczynę… No, dobra. Znikaj, Bill, mam parę rzeczy do zrobienia. Jeszcze się zobaczymy…

Jego ostatnie słowa Bill ledwo dosłyszał, jako że powodowany dobrze wyrobionym odruchem znalazł się na korytarzu w tej samej chwili, w której polecono mu odejść. Kiedy spontaniczny strach minął, Bill ruszył przed siebie długo trenowanym, zataczającym się krokiem, przypominającym nieco chód kaczki, której ktoś przetrącił staw kolanowy. Według jego mniemania po tym właśnie poznawało się starego kosmicznego wygę. Zaczynał się czuć trochę jak doświadczony weteran i przez chwil wydawało mu się nawet, że więcej wie o wojsku, niż ono o nim. Te patetyczne złudzenia rozpłynęły się bez śladu, kiedy umieszczone w suficie głośniki czknęły nagle, po czym przemówiły chrapliwym, nosowym głosem:

— Słuchajcie wszyscy, są rozkazy od naszego Staruszka, kapitana Zekiala, rozkazy, na które wszyscy z niecierpliwością czekaliście. Idziemy do akcji, przyśpieszenie dziób-rufa, wszystko ma być porządnie umocowane.

W kajutach i korytarzach ogromnego statku rozległ się głęboki, bolesny jęk.

6.

W latrynach aż huczało od plotek na temat celu i długości trwania dziewiczego lotu „Fanny Hill", jednak żadna z nich nie okazała się prawdziwa. Rozsiewano je zresztą na polecenie dowództwa i jako takie nie mogły zawierać choćby ziarenka prawdy. Jedyną rzeczą, której mogli być pewni było to, że najprawdopodobniej jednak gdzieś polecą, bowiem wszystko wskazywało na to, że przygotowują się do tego, żeby gdzieś polecieć. Nawet Tembo musiał się z tym zgodzić, kiedy układali zapasowe bezpieczniki w magazynie.

— Chociaż z drugiej strony — dodał — może to być tylko działanie maskujące dla zmylenia szpiegów. My tu udajemy, że gdzieś lecimy, a tymczasem leci tam zupełnie kto inny.

— To znaczy gdzie? — zapytał poirytowany Bill, odrywając sobie z palca wskazującego kawałek paznokcia.

— No, gdziekolwiek, to i tak nie ma większego znaczenia. — Tembo nie przejmował się niczym, co nie miało bezpośredniego związku z jego wiarą. — Za to wiem doskonale, gdzie ty wylądujesz, Bill.

— Gdzie? — wstrzymał oddech Bill. Był bardzo łasy na wszelkie tego typu plotki.

— Prosto w piekle, chyba że ktoś zbawi twoją duszę.

— Nie, już wystarczy… — jęknął Bill.

— Spójrz tylko — szepnął kuszącym tonem Tembo i uruchomił kieszonkowy projektor. Pojawiły się złote wrota, obłoczki i rozległo się dyskretne dudnienie tam-tamów.

— Skończ to pieprzone zbawianie! — wrzasnął bezpiecznikowy pierwszej klasy Chandra i obraz zniknął.

Coś drgnęło Billowi w żołądku, ale wziął to za kolejny sygnał alarmowy wysyłany przez jego wnętrzności, którym zdawało się ciągle, że próbuje się je zagłodzić na śmierć, a do których nie dotarło jeszcze w pełni, że po prostu zostały skazane na płynną dietę. Tembo jednak przerwał pracę, przechylił głowę i stuknął się próbnie w żołądek.

— Lecimy — oznajmił po chwili — i to gdzieś daleko. Włączyli napęd gwiezdny:

— Czy to znaczy, że właśnie przebijamy się do podprzestrzeni i że za chwilę straszliwe konwulsje wstrząsną naszymi jestestwami?

— Nie, już się nie używa starego napędu podprzestrzennego. Sporo statków przebiło się do podprzestrzeni z tymi konwulsjami i tak dalej, ale jak dotąd żaden z nich nie wybił się z powrotem. Czytałem w Życiu Żołnierza" artykuł jakiegoś matematyka, że w obliczeniach był niewielki błąd i że owszem, czas biegnie w podprzestrzeni

zupełnie innym tempem, tyle że dużo szybszym, a nie dużo wolniejszym, więc te statki mogą wrócić ho, ho, albo i później.

— W takim razie jesteśmy w nadprzestrzeni?

— Nic z tych rzeczy.

— A może zostaliśmy rozbici na atomy i wprogramowani do wielkiego komputera, który myśli sobie, że gdzieś jesteśmy i wtedy tam jesteśmy?

— Hej! — powiedział Tembo unosząc wysoko w górę brwi. — Jak na zoroastrańskiego wieśniaka masz dosyć niezwykłe pomysły. Piłeś może czy paliłeś niedawno jakieś świństwo?

— Powiedz mi! — błagał Bill. — Skoro to żadna z tych rzeczy, to co? Żeby walczyć z Chingersami, musimy przebyć przestrzeń międzygwiezdną. Jak to zrobimy?

— To bardzo proste. — Tembo rozejrzał się dookoła, czy nie ma gdzieś w zasięgu wzroku bezpiecznikowego pierwszej klasy Chandry, po czym złożył dłonie w kształt kuli. — Wyobraź sobie, że moje dłonie to statek. Kiedy włączy się Napęd Dmący…

— Jaki?

— Dmący, bo działa na zasadzie rozdymania. Widzisz, wszystko jest zbudowane z takich małych kawałeczków zwanych elektronami, protonami, neutronami, trontronami, czy jak tam jeszcze i te kawałki trzymają się w kupie dzięki takiej energii wiążącej. Teraz, jeśli się tę energie zmniejszy — a zapomniałem ci powiedzieć, że te kawałeczki cały czas wirują wokół siebie jak głupie, ale może już o tym słyszałeś — więc, kiedy się zmniejszy te energię, to te kawałeczki, właśnie dlatego, że wirują, zaczynają się od siebie oddalać i im mniejsza będzie ta energia, tym dalej od siebie pouciekają. Nadążasz?

— Chyba tak, ale nie jestem pewien, czy to mi się podoba.

— Tylko spokojnie. Widzisz moje dłonie? Kiedy energia się zmniejsza, statek robi się coraz większy. Rozsunął ręce. — Większy i większy, aż w końcu robi się taki jak planeta, potem jak słońce, wreszcie jak cały system planetarny. Dzięki Napędowi Dmącemu możemy osiągnąć taką wielkość, jaką chcemy, a potem się go wyłącza, kurczymy się do normalnych rozmiarów i jesteśmy.

— Gdzie jesteśmy?

— Tam, gdzie mieliśmy być — wyjaśnił cierpliwie Tembo.

Chandra zbliżał się powolnym krokiem przyglądając im się podejrzliwie, toteż Bill zaczął z furią polerować błyszczący już i tak jak lustro bezpiecznik. Kiedy Chandra zniknął za rzędem porcelanowych walców, Bill nachylił się w stronę Tembo i syknął:

— Jak możemy być gdzieś indziej niż na początku? Nadymając się i kurcząc nigdzie nie zalecimy.

— Nie bój się, sprytnie to wymyślili. To tak jak z gumą — bierzesz ją w dłonie, a potem, nie ruszając lewej, odsuwasz prawą tak

daleko, jak tylko możesz. Kiedy teraz puścisz ten koniec, który trzymasz lewą ręką, guma znajdzie się tam, gdzie twoja prawa ręka. Rozumiesz? Nie przesuwałeś jej, tylko napinałeś, a jednak się przemieściła. Tak samo jest z naszym statkiem. Robi się coraz większy, ale tylko w jedną stronę. Kiedy dziób znajdzie się tam, dokąd lecimy, rufa będzie ciągle jeszcze tam skąd wylecieliśmy. Potem kurczymy się i bang! już jesteśmy na miejscu. Do nieba, mój drogi, możesz dostać się równie łatwo, jeśli tylko…

— Kazania na koszt rządu, co, Tembo — ryknął z drugiej strony stosu bezpieczników Chandra, podglądając wszystko za pomocą przymocowanego do metalowego pręta lusterka. — Tak cię załatwię, że przez rok będziesz polerował te bezpieczniki! Ostrzegałem cię już!

Pucowali w milczeniu aż do chwili, kiedy przez ścianę wpłynęła do pomieszczenia planetka wielkości tenisowej piłki. Było na niej wszystko: polarne czapy lodowe, fronty atmosferyczne, chmury, oceany i cała reszta.

— Co to?! — stęknął zdumiony Bill.

— Błąd w nawigacji — skrzywił się Tembo. — Mały poślizg, zamiast iść cały czas do przodu, statek obsunął się trochę wstecz. Hej, gdzie z łapami! Czasem to się może źle skończyć. To ta planeta, którą dopiero co opuściliśmy, Phireginadon II.

— Mój dom — rozczulił się Bill i łzy wezbrały mu w oczach, kiedy miniaturowy glob skurczył się do rozmiarów kamyczka.

— Pa, mamusiu! — pomachał planetce, która zmalała jeszcze bardziej, a w końcu znikła.

Poza tym podróż była bardzo nudna, jako że nie wiedzieli, czy w ogóle się poruszają, kiedy i gdzie się zatrzymają, a szczególnie — gdzie w ogóle są. Kiedy jednak kazano im zdjąć mocowania zapasowych bezpieczników wiedzieli, że gdzieś wreszcie dotarli. Potem przez trzy wachty nie działo się kompletnie nic, aż wreszcie ogłoszono Alarm Bojowy. Pędzący na swoje stanowisko Bill po raz pierwszy od chwili, w której rozpoczął swą służbę, poczuł coś na kształt szczęścia. Wszystkie poświecenia i niewygody nie poszły jednak na marne. Nareszcie brał udział w akcji przeciwko wstrętnym Chingersom.

Zastygł w pozycji numer jeden, ze wzrokiem utkwionym w czerwonych paskach, zwanych paskami bezpieczników. Przez podeszwy butów czuł lekkie, ale wyraźne drżenie.

— Co to? — zapytał nie otwierając prawie ust.

— Napęd główny — odparł w podobny sposób Tembo. Silniki atomowe. Pewnie gdzieś skręcamy.

— Ale gdzie?

— Uważać na paski! — krzyknął bezpiecznikowy pierwszej klasy Chandra.

Bill zaczął się pocić, a po chwili stwierdził, że zrobiło się wręcz straszliwie gorąco. Tembo, ani na moment nie odrywając spojrzenia od pasków bezpieczników, wyskoczył z ubrania i ułożył je elegancko za sobą.

— Jesteś pewien, że można? — zapytał Bill szarpiąc za kołnierzyk. — Co się w ogóle dzieje?

— To wbrew przepisom, ale musisz się rozebrać, albo się ugotujesz. Dalej, synu, bo zdechniesz marnie. Musimy być w akcji, bo działają wszystkie tarcze. Siedemnaście ekranów siłowych, jeden elektromagnetyczny, podwójnie zbrojony pancerz i pływająca wokół tego wszystkiego cienka warstwa pseuożywej galarety, która klajstruje momentalnie wszelkie dziury. Dzięki temu statek w ogóle nie traci energii i nie ma żadnego sposobu, żeby się jej pozbyć. Ciepła zresztą też. Kiedy pracują silniki i wszyscy się pocą, robi się naprawdę gorąco. A co dopiero, kiedy zaczniemy strzelać…

Temperatura oscylowała wokół granicy tolerancji przez wiele godzin, które spędzili gapiąc się na paski bezpieczników. W pewnej chwili przyklejone do gorącej podłogi bose stopy Billa wyczuły leciutkie szarpnięcie.

— A to co było?

— Wystrzeliliśmy torpedy.

— Do czego?

W odpowiedzi Tembo wzruszył tylko ramionami, nie spuszczając czujnego spojrzenia z pasków bezpieczników. Bill dosłownie skręcał się z niepewności, nudów, gorąca i zmęczenia, kiedy po mniej więcej godzinie z wentylatorów wionął wreszcie strumień chłodnego powietrza i zrobiło się nawet znośnie. Kiedy Bill wciągał na siebie mundur, czarny misjonarz gdzieś się zawieruszył, toteż Bill ciężkim, zmęczonym krokiem samotnie wracał do kabiny. Na tablicy w korytarzu wisiało jakieś ogłoszenie, więc nachylił się, by odcyfrować zamazaną, niewyraźną treść:

> Od: Kapitan Zekial
> Do: Cała Załoga
> Dotyczy: Obecna Sytuacja
> Dnia 23
> 11 — 8956 nasz statek uczestniczył w akcji zniszczenia atomową torpedą nieprzyjacielskiej instalacji 17KL-345 i we współdziałaniu z pozostałymi statkami flotylli „Skrwawione Krocze” zakończył swą misję pełnym sukcesem, w związku z czym ogłasza się, że każdy członek załogi może do baretki Orderu Służby w Oddziałach Pierwszej Linii dodać Obłok Atomowy — oraz, chociaż jest to pierwsza misja tego

rodzaju; będzie upoważniony do noszenia Orderu Walki w Oddziałach Pierwszej Linii. Uwaga:

Cześć załogi przyczepiła sobie obłok Atomowy do góry nogami. Jest to wykroczenie przeciwko Prawu Wojennemu i jako takie będzie karane śmiercią.

7.

Po heroicznej bitwie o 17KL — 345 nastąpiły długie tygodnie szkolenia i musztry, w celu przywrócenia steranym walką weteranom ich dawnej świeżości. Gdzieś w trakcie tych przygnębiających miesięcy z głośników rozległ się sygnał, którego Bill nigdy dotąd nie słyszał, przypominający odgłos, jaki uzyskuje się potrząsając metalową beczką pełną gwoździ i żelaznych prętów. Nic to dla niego czy dla innych nowicjuszy nie znaczyło, ale Tembo zerwał się na równe nogi i przy akompaniamencie tam-tamu, w którego roli wystąpiła szafka na ubranie, odtańczył krótki Taniec Śmierci.

— Gorzej ci? — zapytał posępnie Bill znad mocno już zużytego egzemplarza komiksu zatytułowanego „Miłośnicy seksu! Tylko dla was szokujące przeżycia prawdziwych wampirów! Efekty dźwiękowe!" Ze strony, na którą akurat patrzył, wydobywał się upiorny jęk.

— Nie wiesz? — zdumiał się Tembo. — Naprawdę nie wiesz? To najpiękniejszy sygnał w całym kosmosie! Poczta przyszła, synu!

Reszta wachty minęła na najszybszym jak tylko się dało robieniu tego, co było do zrobienia, a potem na nieskończenie długim oczekiwaniu w kolejce. Pocztę starano się rozdzielać żołnierzom z absolutnym maksimum nieporadności i kompletnym brakiem organizacji, wreszcie jednak, pomimo niezliczonych przeszkód uporano się z tym zadaniem i oto Bill ściskał w dłoni bezcenną kartkę od swojej matki. Zdjęcie na widokówce przedstawiało znajdujący się tuż za jego miasteczkiem Zakład Przerobu Śmieci i Innych Cuchnących Odpadków. Znajomy widok sprawił, że kłębek wzruszenia utkwił mu mocno w gardle. Na małym skrawku, przeznaczonym na korespondencję, matka nagryzmoliła z wysiłkiem: „zbiory złe w długach robomuł ma nosacizne mam nadzieję że ty też pamiętasz całuję mama". Była to jednak wiadomość z domu i stojąc w kolejce po jedzenie czytał ją raz po raz. Czekający tuż przed nim Tembo także dostał kartkę, a jakże, całą w kościoły i anioły. Bill doznał niemal szoku, kiedy zobaczył, jak Tembo czyta ją raz jeszcze, po czym wpycha do kubka z obiadem.

— Czemu to robisz? — zapytał zdumiony.

— A do czego, według ciebie, jest poczta? — mruknął Tembo, wpychając kartkę głębiej. — Patrz tylko.

Na oczach Billa i ku jego niewyobrażalnemu zdumieniu kartka zaczęła puchnąć. Biała powierzchnia popękała i odpadła w drobniutkich strzępkach, natomiast brązowy środek rósł i rósł, aż wreszcie wypełnił cały kubek. Tembo wyłowił ociekającą jeszcze trochę obiadem tabliczkę i odgryzł kawałek.

— Odwodniona czekolada — stwierdził. — Dobre! A ty co

dostałeś?

Zanim jeszcze Tembo skończył mówić, Bill wepchnął swoją pocztówkę do kubka i patrzył zafascynowany, jak puchnie. Powierzchnia także się złuszczyła, ale środek, zamiast brązowego, miał kolor biały.

— Cukierek… albo może chleb… — powiedział, starając się powstrzymać gwałtowny ślinotok.

Biała masa puchła coraz bardziej, zaczynając już wyłazić z kubka. Bill chwycił za jej koniec i ciągnął, a ona wciąż rosła, wsysając w siebie całą ciecz, jaka była w naczyniu, aż wreszcie Bill trzymał w rozstawionych szeroko rękach dwumetrowej prawie długości pas grubych, połączonych ze sobą liter. Tworzyły one napis następującej treści: GŁOSUJ-NA-UCZCIWEGO-KUGLARZA-PRZYJACIELA-ŻOŁNIERZY. Bill odgryzł potężny kęs jednego z A, pożuł trochę, po czym wypluł mokre strzępy na podłogę.

— Tektura — powiedział głucho. — Mama zawsze lubiła kupować na wyprzedażach. Nawet odwodnioną czekolade…

Sięgnął po kubek, by spłukać czymś ohydny, gazetowy smak, ale naczynie było puste…

Gdzieś na bardzo wysokim szczeblu rozwiązano problem, podjęto decyzję, wydano rozkaz. Wielkie wydarzenia mają zwykle bardzo niepozorne początki; ptasie gówienko ląduje na pokrytym śniegiem zboczu, turla się w dół, przylepia się do niego coraz więcej śniegu, kula robi się większa i większa, pociąga za sobą coraz to nowe masy białego puchu, aż wreszcie zamienia się w grzmiącą lawinę, okrutną, bezlitosną śmierć, która spada na drzemiącą u stóp góry wioskę. Wielkie wydarzenie… Kto wie, jaki był tym razem początek? Może bogowie, ale oni tylko się śmieją… Być może jakiejś zarozumiałej, pawiej samicy jakiegoś Bardzo Wysoko Postawionego Dygnitarza spodobała się jakaś błahostka i wkrótce jej pawi małżonek, by uwolnić się od zrzędliwych, jędzowatych nagabywań, obiecał jej ją kupić, a potem zaczął się zastanawiać, skąd wziąć na to pieniądze. Wymyślił, że dzięki szepniętemu do ucha Cesarza słówku mogłoby dojść do wznowienia dawno już zapomnianej kampanii w rejonie 77

7. Odniesione tam zwycięstwo (czy nawet możliwość ogłoszenia nowego zaciągu, jeżeli straty okazałyby się wystarczająco wysokie), oznaczałoby jakiś medal, nagrodę, pieniądze… I tak przez kobiecą chciwość, niczym przez ptasie gówienko, ruszyła lawina działań wojennych, poczęły się grupować potężne floty gwiezdne, wyposażono pośpiesznie statki i nikt nie mógł pozostać na uboczu, bowiem gdy wrzuci się do wody kamień, rozchodzące się kręgi nie omijają niczego, co znajdzie się w ich zasięgu…

— Idziemy do akcji — oświadczył Tembo powąchawszy zawartość swego kubka. — W żarciu jest pełno stymulatorów,

środków przeciwbólowych, saletry potasowej i antybiotyków.

— Czy dlatego ciągle nadają te patriotyczną muzyke? — wrzasnął Bill, usiłując przekrzyczeć nie milknący nawet na chwile ryk trąb i łoskot bębnów. Tembo skinął głową.

— Niewiele czasu pozostało, by zatroszczyć się o przyszłość swojej duszy i zapewnić sobie miejsce w legionach Samediego…

— Dlaczego nie pogadasz o tym na przykład z Zadkiem? — jęknął Bill. — Ja już przez cały dzień słyszę tam-tamy! Gdzie nie spojrzę, widzę anioły na chmurkach. Daj mi wreszcie spokój! Popracuj nad Zadkiem — każdy, kto robi z krowcami to co on, dołączy do tej waszej szamańskiej bandy bez zastanowienia.

— Rozmawiałem z Brownem o jego duszy, ale nie jestem pewien, z jakim rezultatem. On nigdy nic nie odpowiada, więc nie wiem nawet, czy mnie słyszał, czy nie. Ty jesteś inny, mój synu, okazujesz gniew, to zaś znaczy, że gnębią cię wątpliwości, a wątpliwości są pierwszym krokiem, jaki robimy na drodze do wiary…

Muzyka urwała się nagle i przez trzy sekundy dźwięczała im w uszach niespodziewana cisza. Potem rozległ się głos:

— A teraz słuchajcie… Uwaga, uwaga… Za chwilę znajdziemy się na okręcie flagowym, by na gorąco przeprowadzić wywiad z naszym Admirałem… Uwaga… — Zabrzmiały ogłuszające dźwięki „Marsza Generałów”, a kiedy i one przebrzmiały, głos rozległ się ponownie:

— …i oto jesteśmy na mostku gigantycznego pogromcy kosmosu, dwudziestomilowej długości, doskonale opancerzonego, świetnie uzbrojonego okrętu bojowego „Czarodziejska Królowa”… Wachtowi rozstępują się na boki i oto w swym skromnym mundurze z platynowej przędzy zmierza w moją stronę Wielki Admirał Floty, Czcigodny Lord Archeopteryz… Czy Wasza Lordowska Mość mogłaby: … Cudownie! Głos, który teraz usłyszycie…

To, co teraz usłyszeli okazało się kolejną dawką muzycznego jazgotu, toteż skupili się ponownie na obserwacji pasków bezpieczników, ale następny głos pobrzękiwał już znajomymi tonami tak charakterystycznymi dla sposobu mówienia Najdostojniejszych.

— Idziemy do akcji, chłopcy! Nasza flota, najpotężniejsza, jaką kiedykolwiek widziała galaktyka, kieruje się wprost na wroga, by zadać mu cios, po którym już się nie podniesie. Na trójwymiarowym planie sytuacyjnym widzę niezliczone punkciki światła, jest ich tak wiele, że nie sposób ich nawet objąć jednym spojrzeniem. Każdy z tych punkcików jest jak dziurka w kocu i powiadam wam, to nie jeden statek, nie skrzydło nawet, ale cała flotylla! Pędzimy nieustraszenie naprzód, zbliżając…

Powietrze wypełniło dudnienie tam-tamów i zamiast paska bezpiecznika, na który się gapił, Bill ujrzał przed sobą złote, na pół uchylone wrota.

— Tembo! — zawył Bill. — Wyłącz to! Chce usłyszeć coś o bitwie…

— Głupoty — parsknął Tembo. — Wykorzystaj lepiej tych kilka ostatnich chwil życia, jakie ci zostały, by odszukać dróg ku zbawieniu. Nie ma żadnego admirała, to tylko nagrana taśma. Słyszałem ją już pięć razy — puszczają to dla podniesienia morale przed bitwami, w których zanosi się na naprawdę ciężkie straty. Nigdy zresztą nie było żadnego admirała, nagranie wzięli ze starego widowiska telewizyjnego…

— Oooo! — krzyknął Bill i rzucił się naprzód. Bezpiecznik, na który akurat patrzył, przepalił się z pięknym wyładowaniem na obu stopkach, a pasek bezpiecznika zmienił momentalnie kolor z czerwonego na czarny.

— Uff! — stęknął Bill, potem jeszcze. — Uff! Uff! Uff! — w krótkich odstępach czasu, kiedy sparzył sobie dłonie o gorącą jeszcze powierzchnię bezpiecznika, upuścił go sobie na palec, a wreszcie cisnął do otworu w podłodze. Kiedy się odwrócił, Tembo wstawiał właśnie na miejsce nowy bezpiecznik.

— To był mój bezpiecznik! Nie powinieneś… — łzy stanęły Billowi w oczach.

— Przykro mi — odparł Tembo — ale według przepisów muszę pomóc, jeśli akurat nie jestem zajęty. — No, wreszcie jesteśmy w akcji — mruknął po jakimś czasie Bill, usiłując ulżyć trochę stłuczonemu palcowi.

— Gdzie tam, jeszcze tu za chłodno. Bezpiecznik przepalił się po prostu dlatego, że był stary. Widać to po wyładowaniu na stopkach.

— …potężna armada statków z niezwyciężonymi żołnierzami na pokładach…

— Ale mogliśmy być w akcji — zauważył urażonym tonem Bill.

— …ryk atomowych silników i świetlne trajektorie pędzących ku celowi torped…

— Zdaje się, że teraz już jesteśmy. Chyba zrobiło się trochę cieplej, co, Bill? Lepiej się rozbierzmy, bo jak się zacznie bitwa, możemy już nie mieć czasu.

— Żywo, żywo, do golasa! — pokrzykiwał przyodziany tylko w brudne skarpetki bezpiecznikowy pierwszej klasy Chandra, kłusując jak gazela wzdłuż rzędów ceramicznych cylindrów. Na skórze wytatuowaną miał odpowiednią ilość belek i przepalony bezpiecznik, oznakę jego specjalności. W powietrzu rozległy się jakieś trzaski i Bill poczuł, jak króciutkie włoski, którymi zdążył porosnąć, jeżą i mrowią mu się na głowie.

— Co jest? — stęknął.

— wtórne wyładowania — wyjaśnił Tembo. — Wszystko jest oczywiście ściśle tajne, ale słyszałem, że to oznacza, że jeden z

ekranów znajduje się pod wpływem bardzo silnego promieniowania. Kiedy się przeładowuje, idzie w widmie do zieleni, błękitu, potem ultrafioletu, aż wreszcie dochodzi do czerwieni i już go nie ma.

— To brzmi niewesoło.

— To tylko plotki. Wszystkie informacje na ten temat Są ściśle tajne, więc…

— Uwaga!!!

Potężny łoskot rozdarł duszne powietrze i cały rząd bezpieczników błysnął wyładowaniem, zadymił i sczerniał. Jeden z nich rozerwał się na drobne kawałki, siejąc wokół odłamkami jak granat. Żołnierze rzucili się po zapasowe i wciskali je na miejsce spoconymi rękami, pracując niemal po omacku w gęstych kłębach dymu. Zapadła cisza, w której tym donośniej zabrzmiało natarczywe brzęczenie dochodzące z pulpitu łączności.

— Sukinsyn! — wycedził z uczuciem Chandra, odtrącił kopnięciem leżący mu na drodze bezpiecznik i runął w stronę pulpitu. Jego marynarka wisiała tuż obok na haku i wbił się w nią pośpiesznie, zanim nacisnął guzik odbioru. W momencie, kiedy ekran się rozjaśnił, kończył już zapinanie ostatniego guzika. Zasalutował, więc pewnie rozmawiał z oficerem; Bill stał z boku i nie widział ekranu, ale dobiegający go głos był z lekka skowyczący i pełen zębów, a po tym, miedzy innymi, rozpoznawało się oficerów.

— Niezbyt szybko się zgłaszacie, bezpiecznikowy pierwszej klasy Chandra. Może bezpiecznikowemu drugiej klasy trochę bardziej by się śpieszyło?

— Błagam o wybaczenie, sir, stary już jestem… — Chandra runął na kolana, dzięki czemu zniknął oficerowi z ekranu.

— Wstawaj, idioto! Zreperowaliście już te bezpieczniki po ostatnim przeciążeniu?

— My nie reperujemy, sir, my wymieniamy. — Tylko bez tego waszego technicznego żargonu, ty świnio! Odpowiadaj, tak, czy nie?

— Wszystko w porządku, sir. Gotowość zielona. Żadnych skarg, wasza miłość.

— Dlaczego nie jesteś w mundurze?

— Jestem w mundurze, sir — zaskomlał Chandra przysuwając się do ekranu, by jego goły tyłek i trzęsące się ze strachu nogi zniknęły z pola widzenia.

— Nie próbuj mnie oszukać! Masz na czole pot. W mundurze nie wolno się pocić. Czy ja jestem spocony? W dodatku mam czapkę. Pod przepisowym kątem, rzecz jasna. Tym razem ci daruję, bo mam serce ze złota. Koniec połączenia.

— Cholerny sukinsyn! — wydarł się na cały głos Chandra ściągając mundurową marynarkę ze swego na pół ugotowanego ciała. Temperatura osiągnęła już 120 stopni Fahrenheita i ciągle rosła. —

Nie poci się, dobre sobie! Na mostku mają klimatyzację, a gdzie kierują gorące powietrze? Tutaj! Aooouu!

Dwa rzędy strzeliły na raz, trzy bezpieczniki eksplodowały jak bomby. W tej samej chwili podłoga skoczyła im pod nogami na tyle wyraźnie, że wszyscy to poczuli.

— Kłopoty! — krzyknął Tembo. — Coś, co można poczuć mimo włączonego pola statycznego musi być wystarczająco silne, żeby rozpłaszczyć ten statek jak naleśnik. O, znowu! — Rzucił się do przepalonego bezpiecznika, wrzucił go do dziury, wstawił na miejsce nowy.

To było prawdziwe piekło. Bezpieczniki eksplodowały jak szrapnele, siejąc wokół ceramiczną pokruszoną śmiercią. Strzeliła błyskawica, nastąpiło spięcie między tablicą rozdzielczą a metalową podłogą i rozległ się nieludzki (na szczęście krótki) krzyk żołnierza, który znalazł się na jej drodze. Gęsty dym kłębił się nad podłogą, sięgając stopniowo coraz wyżej, aż w końcu nic już nie było widać. Bill wyszarpnął z zacisków resztki spalonego bezpiecznika i dał nura po zapasowy. Chwycił przed sobą odmawiającymi posłuszeństwa rękami 90-funtowy cylinder i odwracał się właśnie, by ruszyć z nim z powrotem, kiedy wszechświat eksplodawał…

Wszystkie bezpieczniki poszły naraz i przez powietrze runęła z trzaskiem potężna błyskawica. W jej błysku trwającym jeden, nieskończenie długi moment Bill zobaczył, jak płomień pędzi przez szeregi żołnierzy, spopielając ich jednego po drugim niczym wdmuchnięte w palenisko pieca nieważkie cząstki pyłu. Tembo zachwiał się i jeszcze zanim dotknął podłogi był już tylko ochłapem zwęglonego mięsa. Jakaś ciśnięta siłą wybuchu metalowa belka jednym bezlitosnym uderzeniem rozpłatała Chandrę od czubka głowy do pachwin.

— Popatrz, jaką ma dziurę! — zawołał Zadek, po czym zawył nieludzko, kiedy przetoczyła się po nim kula ognia, zamieniając go w poczerniałe truchło.

Za sprawą zwykłego zbiegu okoliczności w momencie, kiedy uderzył płomień, Bill trzymał przed sobą ceramiczny cylinder bezpiecznika. Ogień sięgnął tylko jego ramienia, którym przyciskał cylinder do piersi, zaś impet uderzenia rzucił go w kierunku stosu zapasowych bezpieczników i tam przeturlał po podłodze, podczas gdy płomień szalał dosłownie o kilka cali nad jego głową. Po chwili ogień zgasł równie nagle, jak się pojawił; pozostawiając po sobie dym, żar, smród spalonego mięsa, zniszczenie i śmierć, śmierć, i jeszcze raz śmierć. Bill doczołgał się z trudem do luku i był to jedyny ruch w martwym, wypalonym pomieszczeniu.

O poziom niżej panował podobny żar, a powietrze tak samo pozbawione było pożywienia dla jego płuc jak tam, skąd udało mu się

wypełznąć. Czołgał się uparcie dalej, nieświadom faktu, że czyni to na zmiażdżonych kolanach i jednej, pokrwawionej ręce. Druga wisiała bezwładnie, będąc już tylko skręconym, zwęglonym kikutem i tylko dzięki błogosławieństwu głębokiego szoku nie wył z niesamowitego bólu.

Przewalił się przez próg, przedostał jakoś przez korytarz, potem przez następny próg. Tutaj powietrze było już znacznie czystsze, a przede wszystkim chłodniejsze; usiadł pod ścianą i wdychał głęboko jego cudowną świeżość. Pomieszczenie, w którym się znalazł, wydawało mu się jakby znajome. Zamrugał, usiłując sobie przypomnieć; dlaczego. Długie, z zakrzywioną ścianą i sterczącymi z niej łożami olbrzymich dział… Oczywiściet Główne stanowisko ogniowe, które tak dokładnie obfotografował Gorliwy Jasio. Teraz wyglądało trochę inaczej — sufit, pogięty i popękany, znajdował się znacznie bliżej podłogi, jakby z zewnątrz uderzył weń potężnych rozmiarów młot. W krześle celowniczego najbliższej baterii siedział skulony człowiek.

— Co tu się stało? — zapytał Bill podciągając się w górę i chwycił żołnierza za ramię. Artylerzysta spadł z krzesła niczym wyschnięta łupina; ważył nie więcej niż kilka funtów. Twarz miał pergaminową, pomarszczoną i wyglądało na to, że w jego ciele nie było ani kropli wody.

— Promienie Odwadniające — mruknął Bill. — Myślałem, że mają je tylko na filmach.

Fotel był miękko wyścielany i sprawiał wrażenie bardzo wygodnego, znacznie bardziej w każdym razie niż pogięta, stalowa podłoga. Bill zajął opuszczone przez odwodnionego artylerzystę miejsce i zagapił się mętnymi oczyma w ekran. Latały po nim małe kolorowe punkciki.

Tuż nad ekranem widniał ułożony z dużych liter napis: NASZE STATKI ZIELONE, NIEPRZYJACIELA CZERWONE. ZAPOMINANIE 0 TYM STANOWI WYKROCZENIE PRZECIWKO PRAWU WOJENNEMU.

— Nie zapomnę — wymamrotał Bill; po czym zaczął gramolić się z fotela. Żeby sobie pomóc, chwycił sterczący przed nim pokaźnych rozmiarów uchwyt, a gdy to uczynił, na ekranie poruszyło się kółko z krzyżykiem w środku. Bardzo interesujące. Wziął w kółko jeden z zielonych punkcików, ale przypomniał sobie coś o wykroczeniu przeciwko Prawu Wojennemu. Ruszył odrobinę uchwytem i w kółku, tuż poniżej krzyżyka, znalazła się czerwona plamka. Na uchwycie znajdował się duży czerwony guzik i Bill nacisnął go, bowiem wyglądał on na taki właśnie guzik, który należy nacisnąć. Działo odezwało się bardzo stłumionym „pff ”, a czerwone światełko zgasło. Nic ciekawego. Puścił uchwyt.

— A niech cię, ty waleczny draniu! — zawołał z podziwem jakiś

głos i Bill z wysiłkiem odwrócił głowę. Stał za nim jakiś człowiek w mundurze ze strzępami złotych galonów.

— Widziałem! — wykrzyknął człowiek. — Do śmierci nie zapomnę! Co za waleczny drań! Jakie nerwy! Nieustraszony! Naprzód na wroga, nie ma straconych pozycji, bronić statku…

— O czym ty pieprzysz, do cholery? — spytał zachrypniętym głosem Bill.

— Jesteś bohaterem! — zawołał oficer i poklepał go po ramieniu. Ból, jaki tym spowodował, stanowił dla świadomości Billa ostatnią kroplę goryczy. Świadomość obraziła się, a Bill zemdlał.

8.

— No, bądź dobrym żołnierzykiem i wypij zupkę…

Ciepłe tony głosu wślizgnęły się do zdecydowanie odrażającego snu; toteż Bill skwapliwie skorzystał z tego pretekstu, by się obudzić. Z wielkim wysiłkiem uniósł powieki. Najpierw nie widział nic, potem gdy wzrok mu się wyostrzył, ujrzał kubek. Kubek stał na tacy. Tacę trzymała biała dłoń. Biała dłoń łączyła się z białym ramieniem. Białe ramię wyrastało z białego munduru. Mundur wypchany był kobiecymi piersiami. Ze zwierzęcym skowyten Bill odtrącił tacę i spróbował rzucić się na biały mundur, ale nie udało mu się to, ponieważ jego lewa ręka spowita była w jakiś kokon i wisiała na przymocowanych do sufitu linkach, toteż wydając ciągle dzikie okrzyki zatoczył się tylko w łóżku jak schwytana w pajęczynę mucha. Pielęgniarka wrzasnęła i uciekła.

— Miło widzieć cię w pełni sił — powiedział lekarz, po czym doskonale wyćwiczonym ciosem umieścił go z powrotem w łóżku, a następnie obezwładnił jego wolne ramię zgrabnym chwytem judo.

— Teraz dam ci obiad, wypijesz go grzecznie, a potem będziesz miał gości. Twoi koledzy czekają na odsłonięcie.

Bill odzyskał już czucie w ręce i mógł zacisnąć palce na kubku.

— Jacy koledzy? Jakie odsłonięcie? Co tu się w ogóle dzieje? — pytał podejrzliwie w przerwach między łykami.

Otworzyły się drzwi i do pokoju weszła spora grupa żołnierzy. Bill szukał wśród nich znajomej twarzy, ale nie mógł znaleźć. I wtedy sobie przypomniał.

— Zadek upieczony! — krzyknął. — Tembo ugotowany! Bezpiecznikowy pierwszej klasy Chandra wypatroszony! Wszyscy nie żyją!

Schował się pod kołdrę i zaczął straszliwie jęczeć.

— Nie wypada tak się zachowywać bohaterowi — powiedział z naganą w głosie lekarz, wyciągając go na powierzchnię i wygładzając kołdrę. — Jesteś bohaterem, żołnierzu, człowiekiem, którego opanowanie, pomysłowość, prawość, zdolność koncentracji, duch bojowy i pewne oko ocaliły przed zagładą cały statek. Nie działały już ochronne tarcze, maszynownia była zniszczona, artylerzyści zabici, zdolność manewru zerowa i wrogi krążownik przymierzał się już do zadania ostatecznego ciosu, kiedy ty, niczym anioł zemsty, ranny i bliski śmierci, pojawiłeś się w głównej baterii i ostatkiem sił oddałeś jeden, jedyny strzał, który rozbił flotę nieprzyjaciela i ocalił „Fanny Hill", wielką damę naszej armady. — Lekarz wręczył Billowi kartkę papieru. — Oczywiście czytam to z oficjalnego raportu, bo ja osobiście uważam, że był to po prostu szczęśliwy przypadek.

— Zazdrość przez pana przemawia — wydął pogardliwie wargi Bill, który już zdążył zakochać się w swym nowym wizerunku.

— Nie zgrywaj się na psychoanalityka! — wrzasnął lekarz, po czym dokończył płaczliwie:

— Zawsze chciałem być bohaterem, a skończyłem służąc bohaterom na dwóch łapach. Dobra, dawaj te bandaże.

Odwiązał podtrzymujące lewą rękę Billa linki i zaczął odwijać bandaże. Żołnierze stanęli tuż za nim ciasnym kręgiem i przypatrywali się w napięciu.

— Co z moją ręką, doktorze? — zapytał tknięty jakimś niedobrym przeczuciem Bill.

— Usmażona jak frytka. Musiałem ją odciąć.

— Więc co to jest? — wyskrzeczał Bill z przerażeniem.

— Inna ręka, którą ci przyszyłem. Po bitwie została ich cała masa. Było 42% ofiar, więc tylko szyłem, ciąłem i rąbałem, mówię ci.

Opadł ostatni zwój bandaża i żołnierze aż westchnęli z zachwytu.

— Świetna ręka!

— Poruszaj nią trochę, co?

— Szew też bardzo ładny — kapitalny ścieg, no nie?

— A jakie mięśnie! Nie ma porównania z tym suchym patykiem po drugiej stronie.

— Dłuższa, ciemniejsza, naprawdę bardzo ładny kolor skóry.

— To ręka Tembo! — zawył Bill. Weźcie ją!

Rzucił się na drugą stronę łóżka, ale ręka uczyniła to samo. Momentalnie przyduszono go do poduszek.

— Masz fart, Bill, żeś dostał taką rękę. I to twojego kolegi!

— Wiesz przecież, że on by nie miał nic przeciwko temu.

— Teraz będziesz miał po nim pamiątkę.

W gruncie rzeczy to rzeczywiście nie była zła ręka. Bill, co prawda przyglądając się jej jeszcze podejrzliwie, poruszył nią, a potem zgiął Palce. Działała. Chwycił i ścisnął ramie stojącego przy łóżku żołnierza, czując, jak gną się kości miaucczącego z bólu nieszczęśnika. Potem przyjrzał się jej jeszcze dokładniej i wybuchnął stekiem wyzwisk.

— Ty głupi łamignacie_! Ty weterynarzu! Przecież to prawa ręka!

— I co z tego?

— To z tego, że odciąłeś mi lewą! Teraz mam dwie prawe ręce!

— Po prostu zabrakło lewych. Nie jestem cudotwórcą, staram się jak mogę, a wszyscy i tak narzekają. Ciesz się, że nie przyszyłem ci nogi. — Uśmiechnął się złośliwie. — Albo i czego innego.

— To naprawdę bardzo dobra ręka, Bill — powiedział żołnierz, rozcierając sobie ramię. — A poza tym masz cholerne szczęście. Teraz możesz salutować, którą ręką chcesz, nikt inny tego nie potrafi.

— Masz rację — powiedział ponuro Bill. — Nie pomyślałem o

tym. Rzeczywiście nikt inny tego nie potrafi. Zasalutował na próbę swą lewą — prawą ręką. Łokieć zgrabnie podskoczył w górę a palce zatrzymały się pół cala od skroni. Żołnierze strzelili obcasami i oddali salut. W tym momencie huknęły otwierane drzwi i do pokoju zajrzała głowa oficera.

— Spocznij, spocznij… Staruszek chce złożyć tylko nieoficjalną wizytę.

— Kapitan Zekial!

— Jeszcze nigdy go nie widziałem… — rozszczebiotali się żołnierze, stremowani niczym dziewice przed obrzędem defloracji.

Do pokoju weszło jeszcze trzech oficerów, a za nimi pielęgniarz prowadzący dziesięcioletniego kretyna w kapitańskim mundurze i ze śliniakiem na szyi.

— Mmm… Cześć, chłopaki — powiedział Kapitan.

— Kapitan pozdrawia wszystkich obecnych — przetłumaczył jeden z oficerów.

— Czy to ten chłopczyk w łóżeczku?

— A szczególnie serdecznie pragnie pozdrowić naszego bohatera.

— Eee. Coś jeszcze miałem, ale zapomniałem…

— Oprócz tego Kapitan pragnie poinformować nieustraszonego żołnierza, któremu zawdzięczamy ocalenie naszego statku, że zostaje on awansowany do stopnia bezpiecznikowego pierwszej klasy, z czym wiąże się przedłużenie okresu jego służby o dalszych siedem lat, oraz że natychmiast po wypisaniu ze szpitala ma on się udać pierwszym dostępnym środkiem transportu na Planetę Imperialną Helior, gdzie z rąk Cesarza otrzyma order Purpurowej Rzutki z Gwiazdą Mgławicy Węglowej.

— Chyba muszę do łazienki…

— Teraz jednak nie cierpiące zwłoki obowiązki wzywają go na mostek, toteż życzy wam wszystkim wszystkiego najlepszego.

— Czy Staruszek nie jest trochę młody, jak na tę funkcję? zapytał Bill.

— Niektórzy są jeszcze młodsi — odparł lekarz, szukając możliwie tępej igły, by zrobić Billowi zastrzyk. — Musisz pamiętać, że wszyscy kapitanowie są członkami arystokratycznych rodów, a nawet najliczniejsza arystokracja nie wystarczyłaby na całą galaktykę. Jak się nie ma, co się lubi… — znalazł wreszcie igłę nie tylko tępą, ale i pogiętą jak poskręcany ze starości konar.

— No wiec dobrze, młody, bo młody. Ale czy przypadkiem nie jest trochę za głupi?

— Tylko nie obrażaj majestatu, ty szmato! Imperium ma już tych parę tysięcy lat, arystokracja cały czas krzyżuje się między sobą, więc od czasu do czasu ujawnia się parę genów z defektami i mamy ludzi zachowujących się troszkę bardziej ekscentrycznie od najdzikszych

nawet pacjentów szpitali psychiatrycznych. Zresztą, założę się, że opracowane specjalnie dla niego testy na inteligencję. Staruszek rozwiązuje śpiewająco! Gdybyś zobaczył kapitana statku, na którym poprzednio służyłem… — wzruszył ramionami i z mściwym błyskiem w oku wbił w Billa wybrakowaną igłę. Bill wrzasnął dziko, a potem przyglądał się ponuro, jak z dziury po zastrzyku kapie powoli krew.

Drzwi zamknęły się i Bill został sam, kontemplując pustą ścianę i swoją przyszłość. Był teraz bezpiecznikowym pierwszej klasy i to było miłe. Jednak tych dodatkowych siedem lat służby już wcale takie miłe nie było. W głowie kłębiły mu się czarne myśli. Chciałby pogadać z którymś ze starych przyjaciół, ale przypomniał sobie, że wszyscy nie żyją i myśli poczerniały jeszcze bardziej. Starał się jakoś pocieszyć, ale nie za bardzo miał czym, dopóki nie odkrył, że może sam ze sobą wymienić uścisk dłoni. To go trochę podniosło na duchu.

Leżał tak w pustym pokoju i wymieniał sam ze sobą krzepkie uściski dłoni, aż wreszcie zmorzył go sen.

9.

Przód przypominającego gruby cylinder promu stanowiło wielkie okno ze specjalnie zbrojonego szkła, za którym kłębiły się pędzące im na spotkanie obłoki Rozparty wygodnie w antyprzeciążeniowym fotelu Bill podziwiał wspaniały widok. Pękaty prom mógł pomieścić dwudziestu pasażerów, ale teraz, łącznie z Billem, było ich tylko trzech. Na jednego z nich, siedzącego tuż przy nim, Bill starał się zbyt często nie patrzeć. Był to artylerzysta pierwszej klasy, który wyglądał tak, jakby wystrzelono go z jednej z jego armat. Jego twarz, o jednym tylko, nabiegłym krwią oku, wykonana była z plastyku, cztery brakujące kończyny zastępowała mu plątanina błyszczących tłoków, drutów i elektronicznych podzespołów, zaś dystynkcje artylerzysty przyspawane miał do zastępującej mu bark metalowej kraty. Trzeci pasażer, przysadzisty sierżant piechoty o twarzy zbója, zasnął natychmiast po zajęciu miejsca.

— O, kurczę! Popatrz tylko! — wykrzyknął Bill, kiedy prom przebił ostatnią warstwę obłoków i pod nimi zabłysła złota kula Helioru, Planety Imperialnej, stolicy Cesarstwa 10 000 słońc.

— Co za albedo — mruknął gdzieś z wnętrza swej plastykowej twarzy artylerzysta. — Aż mi razi oko.

— No, myślę! Czyste złoto, wyobrażasz sobie? Planeta pokryta czystym złotem!

— Nie, nie wyobrażam sobie. I, szczerze mówiąc, nie wierzę. Zbyt drogo by to kosztowało. Ale mogę sobie bez problemu wyobrazić planetę pokrytą anodyzowanym aluminium. Taką jak ta.

Bill przyjrzał się dokładniej i rzeczywiście to nie było złoto. Znowu ogarnęło go przygnębienie. Nie! Nie podda mu się! Może zabraknąć złota, ale nigdy nie zabraknie chwały! Helior wciąż jeszcze był Planetą Imperialną, wiecznie czujnym, wszystkowidzącym okiem w sercu galaktyki. Tu meldowano o każdym wydarzeniu na każdej planecie i na każdym statku, a następnie informacje te były klasyfikowane, kodowane, wprowadzane, komentowane, oceniane, gubione, odnajdywane, opracowywane. Z Helioru wychodziły rozkazy decydujące o losach całych cywilizacji i powstrzymujące wszeteczne zakusy najeźdźców. Helior był planetą do końca podporządkowaną człowiekowi; morza, góry i kontynenty pokryte zostały rozbudowywanymi bez ustanku metalowymi kondygnacjami, a mieszkający tam ludzie poświęcali swe życie jednemu tylko ideałowi: Władzy. Błyszcząca powierzchnia najwyższego poziomu pokryta była niczym kropkami statkami kosmicznymi najróżniejszych rozmiarów, zaś ciemne niebo migało światełkami tych, które już wystartowały, bądź też czekały na lądowanie. Obraz wraz bardziej się powiększał, aż

w pewnej chwili błysnął oślepiającym światłem, po czym zniknął.

— Katastrofa! — jeknął Bill. — Już po nas…

— Zamknij dziób. Po prostu film się rwał. Nie ma na pokładzie żadnych szych, więc pewnie nie będzie im się chciało naprawiać.

— Film?…

— A cóżeś myślał? Nikt nie jest na tyle szalony, żeby budować promy z wielkimi oknami na dziobie; tam, gdzie tarcie atmosferyczne jest największe. To film. Projekcja. I tak lądujemy na nocnej stronie planety.

Pilot przygwoździł ich przy lądowaniu 1Sg (on także wiedział, że na pokładzie nie ma żadnych szych) i kiedy wpychali sobie na miejsce poprzestawiane kręgi szyjne i przywracali gałkom ocznym ich zwykły, kulisty kształt, śluza otworzyła się z sykiem. Rzeczywiście, była noc, a w dodatku padało. W drzwiach pojawiła się profesjonalnie uśmiechnięta twarz stewarda drugiej klasy.

— Witamy na Heliorze, Planecie Imperialnej, gdzie tysiące wrażeń czeka na… — jego twarz przybrała wrodzony, pogardliwy grymas. — Co jest, nie ma z wami żadnych oficerów? Dobra, wyłazić, tylko z życiem, musimy trzymać się rozkładu.

Zignorowali go, kiedy przepychał się do przodu, by obudzić chrapiącego jak zepsuty wirnik sierżanta piechoty, którego taka drobnostka jak piętnastokrotne przeciążenie nie była w stanie wyrwać z objęć głębokiego snu. Chrapanie zmieniło się w gardłowy pomruk, przerwany po chwili cienkim wrzaskiem kopniętego w krocze stewarda. Wciąż gniewnie pomrukując, sierżant zszedł wraz z dwoma pozostałymi pasażerami na śliską jak lód powierzchnię lądowiska. Wspólnie z Billem ustawili artylerzyście rozklekotane, metalowe nogi, a potem z rezygnacją obserwowali, jak ich skromne tłumoczki wylatują z przedziału bagażowego prosto w głęboką kałużę wody. W ostatnim akcie zemsty steward wyłączył chroniące ich przed deszczem pole. W mgnieniu oka byli przemoczeni do suchej nitki i zziębnięci, bowiem wiało też nie najgorzej. Zarzucili na plecy bagaże — tylko artylerzysta ciągnął swój na małych kółeczkach — i skierowali się w stronę najbliższych świateł, które znajdowały się o jakąś milę od nich i co chwila niknęły za zasłoną deszczu. W połowie drogi artylerzysta doznał zwarcia w obwodach i stanął jak słup soli. Przymocowali mu kółeczka do pięt, załadowali na niego bagaże i okazało się, że znakomicie się on nadaje na ręczny wózek.

— Znakomicie się nadaję na ręczny wózek — warknął artylerzysta.

— Nie narzekaj — uspokoił go sierżant. — Jak wrócisz do cywila, masz fach w ręku.

Otworzył kopniakiem drzwi i weszli, a częściowo wtoczyli się do rozkosznie ciepłego wnętrza kancelarii.

— Macie butelkę rozpuszczalnika? — zapytał Bill człowieka za kontuarem.

— Macie papiery podróżne? — zapytał człowiek za kontuarem, ignorując pytanie Billa.

— Mam butelkę w torbie — powiedział artylerzysta.

Bill otworzył torbę i zaczął w niej grzebać.

Wręczyli urzędnikowi papiery (artylerzysta swoje miał przypięte do piersi), a ten wrzucił je do stojącej za nim olbrzymiej maszyny. Maszyna huczała i błyskała światełkami, Bill zaś tymczasem przepłukiwał rozpuszczalnikiem wszystkie styki artylerzysty, aż wreszcie udało mu się usunąć z nich resztki wody. Zabrzmiał donośny brzęczyk, maszyna wypluła ich papiery i przy wtórze głośnego klekotu z wąskiego otworu w jej ścianie zaczęła wysuwać się papierowa zadrukowana taśma. Urzędnik chwycił ją i pośpiesznie przeczytał.

— Wpadliście jak śliwki w kompot — powiedział z sadystycznym zadowoleniem. — Wszyscy trzej macie otrzymać z rąk Cesarza order Purpurowej Rzutki, uroczystość będzie filmowana i zacznie się za trzy godziny. W życiu się nie wyrobicie.

— Nie twój zakichany interes — zgrzytnął zębami sierżant. — Dopiero co wylądowaliśmy. Dokąd mamy iść?

— Obszar 14S7 — D, poziom K9, blok 823 — 7, korytarz 492, komora Flm 34, pokój 62, pytać o producenta Ratta.

— Jak się tam dostać? — zapytał Bill.

— Nie wiem, ja tylko pracuję w kancelarii. — Urzędnik cisnął na ladę trzy opasłe tomiszcza, każde na stopę wysokie i niemal równie grube, każde z przynitowanym do grzbietu łańcuchem. — Poszukajcie sobie, tu macie Plan, ale musicie mi się podpisać. Zagubienie Planu stanowi wykroczenie przeciwko Prawu Wojennemu i karane jest…

Urzędnik zorientował się nagle, że został w pokoju sam jeden z trzema weteranami. Zbladł jak trup i sięgnął do alarmowego przycisku. Zanim jednak zdołał go dotknąć, metalowe ramie artylerzysty krzesząc iskry przyszpiliło go do kontuaru. Sierżant nachylił się nad nim tak, że niemal stykali się nosami i powiedział cichym, mrożącym krew w żyłach głosem.

— Sami rady nie damy. Ale ty nam pomożesz. Dasz nam Przewodnika.

— Przewodnicy są tylko dla oficerów — zaprotestował słabo urzędnik, po czym przez chwilę łapał jak ryba powietrze, ugodzony w żołądek stalowym palcem artylerzysty.

— Więc potraktuj nas tak, jak oficerów — doradził mu sierżant. — Nie mamy nic przeciwko temu. Dzwoniąc ze strachu zębami urzędnik wezwał Przewodnika. Drzwiczki w przeciwległej ścianie otworzyły się z trzaskiem i pojawił się Przewodnik. Miał obłe, metalowe ciało, głowę podobną trochę do psiej, sprężynowy ogon i

poruszał się na sześciu ogumowanych kółkach.

— Tutaj, chłopcze — wezwał go sierżant.

Przewodnik podjechał do nich, wysunął czerwony plastykowy język i z cichym rzężeniem trybów zaczął emitować dźwięk mający naśladować dyszenie. Sierżant zerknął dla pewności na papierową taśmę, po czym wystukał na klawiaturze zdobiącej głowę Przewodnika kod: 14S7 — D K9 823 — 7 492 Flm — 34 62. Rozległy się dwa krótkie szczeknięcia, czerwony język zniknął, ogon zadrżał i Przewodnik ruszył przed siebie korytarzem. Weterani nie zwlekając podążyli za nim.

Do pokoju 62 dotarli po godzinie, korzystając po drodze z wind, ruchomych schodów, pochylni, poduszkowca, kolejki jednotorowej, ruchomego chodnika, własnych nóg i łapanych „na łebka" kołowych środków transportu. Zjeżdżając po wyjątkowo długiej pochylni przypięli łańcuchami do pasków swoje Plany, bowiem nawet Bill zaczął sobie zdawać sprawę, że bez nich nie sposób było żyć w tym pokrywającym całą planetę mieście. Przy drzwiach pokoju 62 Przewodnik zaszczekał trzy razy, po czym uciekł, zanim zdołali się na niego rzucić.

— Powinienem się pośpieszyć — mruknął sierżant. — Wart był swojej wagi w złocie.

Popchnęli drzwi i znaleźli się twarzą w twarz z siedzącym za biurkiem tłustym mężczyzną, który darł się co sił do wizjofonu.

— Guzik mnie obchodzą wasze usprawiedliwienia! Takich usprawiedliwień to ja mam na kopy! Wiem tylko tyle, że mam plan zdjęć, kamery czekają, tylko nie ma kogo kręcić! Pytam się, a ty mi… — spojrzał na nich i ryknął jeszcze głośniej. — Woń! Won! Nie widać, że jestem zajęty?! Sierżant zrzucił wizjofon na podłogę i rozdeptał na drobne, dymiące kawałki.

— Ma pan dosyć bezpośredni sposób zwracania na siebie uwagi — powiedział Bill.

— Po dwóch latach na froncie każdy robi się bezpośredni — odparł sierżant i donośnie zazgrzytał zębami. — No, to jesteśmy, Ratt. Co mamy robić?

Producent Ratt kopnięciem utorował sobie drogę przez zalegające podłogę rumowisko i otworzył drugie drzwi.

— Przygotować się! Światła! — krzyknął.

Coś się zakotłowało i po chwili zapłonęły potężne reflektory. Przeznaczeni do odznaczenia weterani weszli za nim do ogromnego, wypełnionego zorganizowaną bieganiną studia. Kamery na motorowych wózkach krążyły wokół sceny, na której podparte byle jak makiety udawały cesarską salę tronową. Przez witrażowe szyby przeświecało sztuczne słońce, a na tron padał z reflektora punktowego złoty promień światła. Poganiany wrzaskami reżysera tłumek szlachty

i wyższych oficerów zajął miejsca po obu stronach siedziska władcy. — Nazwał ich durniami! — wyszeptał wstrząśnięty Bill. — Rozstrzelają go!

— Aleś ty głupi — powiedział artylerzysta, wyciągając sobie z nogi przewód i wsadzając wtyczkę do kontaktu w ścianie. Akumulatory prawie mu się już rozładowały. — To wszystko aktorzy. Skąd by wzięli do takiego czegoś prawdziwą arystokracje?

— Przed przybyciem Cesarza starczy nam czasu, aby tylko raz to przećwiczyć, więc nie chcę żadnych błędów. — Producent Ratt wspiął się po stopniach i zasiadł na tronie. — Ja robię za Ceśka. Słuchajcie, szlachta, macie najłatwiejsze role, więc lepiej, żebyście niczego nie spieprzyli. Nie mamy czasu na powtórki. Ustawiacie się tutaj, w rządku i kiedy powiem „kręcimy", stajecie na baczność tak, jak was tego uczyli, a jak nie potraficie, to znaczy, że podatnicy niepotrzebnie na was płacą. Ty tam, po lewej, no, ty, obudowany tym żelastwem! Wyłącz te swoje cholerne silniczki, bo wejdą na ścieżkę dźwiękową! Zgrzytnij jeszcze raz biegami, to powykręcam ci bezpieczniki. No! Wy tam, czekajcie, póki was nie wywołają, potem krok naprzód i baczność! Cesarz przypina wam medal, wy salut i krok w tył. Zrozumieliście, czy to za skomplikowane dla waszych nędznych, zindoktrynowanych móżdżków?

— Trzeba to było wysmarkać nosem — poradził mu sierżant.

— Bardzo śmieszne. Dobra, lecimy!

Jednak zdążyli dwukrotnie przećwiczyć przebieg ceremonii, nim rozległy się fanfary i na scenę szybkim krokiem wmaszerowało sześciu generałów z bronią gotową do strzału, ustawiając się półkolem przed tronem. Kamerzyści, technicy, nawet producent Ratt skłonili się nisko, a weterani stanęli na baczność. Cesarz, powłócząc trochę nogami, wspiął się po stopniach i ciężko klapnął na tron.

— Nie przerywajcie… — powiedział znudzonym tonem i beknął z cicha.

— Kręcimy! — ryknął z całych sił reżyser i umknął pośpiesznie z pola widzenia kamery. Muzyka uderzyła wezbraną falą i uroczystość rozpoczęła się. Podczas gdy pełniący obowiązki szefa protokołu oficer odczytywał, jakich to heroicznych czynów dokonali bohaterowie czekający na wręczenie najwyższego z odznaczeń, orderu Purpurowej Rzutki z Gwiazdą Mgławicy Węglowej, Cesarz dźwignął się z tronu i dostojnym krokiem ruszył naprzód. Pierwszy był sierżant piechoty. Bill zerkał kątem oka, jak Cesarz wyjmuje z podsuniętego mu pudełka złoto — srebrno — rubinowo — platynowy order i przypina go do piersi żołnierza. Sierżant zasalutował, zrobił krok wstecz i teraz przyszła już kolej na Billa. Jak przez mgłę usłyszał grzmiący głos wypowiadający jego imię i wystąpił krok w przód, wkładając w ten ruch wszystkie umiejętności, jakie nabył w obozie szkoleniowym. Stał

twarzą w twarz z najbardziej uwielbianym człowiekiem w całej galaktyce! Zdobiący miliardy banknotów długi, spuchnięty nos skierowany był prosto *w niego*, Billa, końska szczęka i sterczące jak kołki zęby wymawiały *jego*, Billa, imię, a jedno z zezowatych cesarskich oczu patrzyło prosto na *niego*! Wzruszenie wezbrało mu w piersi jak pędzący ku brzegowi grzywacz i Bill zasalutował najpiękniej, jak potrafił.

W rzeczywistości był to chyba w ogóle najpiękniejszy z możliwych salutów, jako że niewielu jest przecież ludzi z dwiema prawymi rękami. Obie górne kończyny Billa strzeliły jednocześnie do góry, obydwa łokcie zadrżały pod przepisowym kątem, obie dłonie zatrzymały się tuż przy skroniach. Zostało to wykonane zaiste po mistrzowsku i zaskoczony Cesarz zdołał nawet przez jedną krótką chwilę skoncentrować na Billu spojrzenie obu swoich oczu, zanim znowu nie rozeszły się mu w przeciwnych kierunkach. Wciąż jeszcze trochę wytrącony z równowagi niezwykłym salutem wyjął z pudełka order i udekorował nim Billa, wbijając mu w ciało całą długość szpilki.

Bill nie poczuł bólu, ale ukłucie podziałało jak nagły impuls, wyzwalający wezbrane w nim emocje. Padł na kolana w dobrym pańszczyźnianym stylu, niczym aktor w telewizyjnym przedstawieniu stamtąd zresztą jego niewolnicza podświadomość wzięła ten pomysł — i chwycił poskręcaną, pokrytą wątrobianymi plamami dłoń Cesarza.

— Tyś ojcem nas wszystkich! — wykrzyknął i złożył na dłoni wiernopoddańczy pocałunek.

Goryle w generalskich mundurach rzucili się naprzód i przez chwilę nad Billem załopotały skrzydła śmierci, ale Cesarz uśmiechnął się tylko i wytarł zaślinioną dłoń o jego mundur. Małe kiwnięcie palcem wystarczyło, bo goryle powrócili na swoje miejsca, Cesarz zaś podszedł do artylerzysty, przypiął mu ostatni z medali i cofnął się o krok.

— Koniec! — zawołał reżyser Ratt. — Scenę z tym składającym hołd ćwokiem też zostawcie, to nawet naturalnie wyszło.

Kiedy Bill wstał na nogi zobaczył, że Cesarz nie wrócił na tron, tylko wmieszał się w tłum gadających jeden przez drugiego aktorów. Goryle gdzieś zniknęli. Bill zamrugał, nie wierząc własnym oczom, kiedy jakiś człowiek zdjął Cesarzowi z głowy koronę, wsadził ją do kartonowego pudełka i gdzieś z nią pokłusował.

— Cholera, ramię mi się zacięło! — zaklął salutujący wciąż artylerzysta. — Szarpnij mocno, jeśli możesz. Zawsze coś nawala, jak za wysoko je podniosę.

— Ale… Cesarz… — wystękał Bill, mocując się z metalową kończyną. Coś zgrzytnęło przeraźliwie i ramię opadło na swoje miejsce.

— Aktor, oczywiście. A co, myślałeś, że prawdziwy Cesarz będzie wręczał odznaczenia niższym szarżom? Generałom, to może. Trochę poudawali, żeby podpuścić takiego prostaczka jak ty. Byłeś wspaniały.

— To dla was — powiedział jakiś człowiek wręczając im blaszane kopie orderów, a zabierając oryginały.

— Na miejsca! — zadudnił wzmocniony głos reżysera. — Mamy tylko siedem minut, żeby przelecieć Cesarzową całującą dzieci w obecności delegacji septupletów z Aldebarana z okazji Godziny Płodności. Dawać tu te plastykowe bachory i usunąć tych cholernych gapiów!

Bohaterów wypchnięto na korytarz, a drzwi za nimi zatrzaśnięto i zamknięto na trzy spusty.

10.

— Jestem zmęczony — powiedział artylerzysta — a poza tym bolą mnie oparzeliny.

(Podczas zabawy w Wesołym Domku dla żołnierzy doznał zwarcia w obwodach i podpalił łóżko, w którym przebywał).

— Daj spokój — nalegał Bill. — Mamy trzydniowe przepustki i jesteśmy na Heliorze, Planecie Imperialnej! Jakież cuda na nas czekają: Wiszące Ogrody, Tęczowe Fontanny, Rubinowe Pałace… Nie możesz tego stracić!

— Popatrz tylko, jak ja wyglądam. Teraz muszę się przespać, a potem wracam do Wesołego Domku. Jeśli koniecznie chcesz trzymać kogoś za rękę podczas zwiedzania, weź sierżanta.

— On jest ciągle pijany.

Sierżant piechoty był pijakiem — samotnikiem, nie uznającym ani przesadnych oszczędności, ani wyrzucania pieniędzy na ozdobne butelki z mocno rozcieńczoną zawartością. Całą gotówkę, jaką posiadał, przeznaczył na przekupienie pewnego sanitariusza, który zaopatrzył go w dwa gąsiory 99 — procentowego alkoholu, baniaczek glukozy wymieszanej z roztworem soli fizjologicznej, igłę i parę stóp plastykowych rurek. Gąsior z alkoholowo — glukozową mieszanką powieszono nad jego łóżkiem, połączono za pomocą plastykowej, giętkiej rurki z igłą, którą następnie wbito w żyłę na jego ramieniu. Leżał teraz bez ruchu pod tą kroplówką, doskonale odżywiany i pijany w trupa, i jeżeli nic nie zakłóci tempa skapywania zawartości gąsiora, miał szansę pozostać w stanie upojenia alkoholowego jeszcze przez dwa i pół roku.

Bill skończył pucować buty i schował szczotkę do szatki, którą następnie starannie zamknął. Możliwe, że wróci dosyć późno, bowiem nie dysponując Przewodnikiem mógł się bardzo łatwo zgubić. Droga ze studia do kwater zajęła im prawie cały dzień, chociaż prowadzący ich sierżant wiedział o mapach absolutnie wszystko; co tylko można było wiedzieć. Dopóki nie oddalali się zbytnio od miejsca zakwaterowania, nie było problemu, ale Billowi nie wystarczały rozrywki, jakie przygotowano dla przybyłych z frontu żołnierzy; on chciał zobaczyć Helior, prawdziwy Helior, najwspanialsze miasto galaktyki. Jeśli nikt nie chce z nim iść, to nie. Pójdzie sam.

Nawet rozporządzając planem Helioru bardzo trudno było ustalić odległość dzielącą od jakiegoś punktu miasta, bowiem wszystkie plany i mapy sporządzono bardzo schematycznie, a co najważniejsze nie miały one podanej skali. Wycieczka, jaką zamierzał odbyć Bill, zanosiła się jednak na dosyć długą, bowiem trasa środka lokomocji, który chciał wykorzystać, a mianowicie próżniowej kolejki

magnetycznej, przebiegała przez co najmniej 84 karty Planu. Jego cel równie dobrze mógł się znajdować po drugiej stronie planety! Miasto wielkości planety — tego niemal nie można było sobie wyobrazić. Po chwili zastanowienia musiał przyznać, że tego w ogóle nie można było sobie wyobrazić.

Kanapki skończyły mu się zanim jeszcze przebył połowę drogi i jego żołądek, przystosowawszy się znowu do stałego pokarmu, zaczął tak głośno przypominać o swoim istnieniu, że wreszcie na Obszarze 9266 — 1, Poziomie którymś tam, Bill wysiadł z wagoniku kolejki i wyruszył na poszukiwanie kantyny. Znajdował się najwyraźniej na Obszarze Maszynopisania, bowiem wypełniające korytarze tłumy składały się wyłącznie z kobiet o przygarbionych plecach i mocnych, długich palcach. Jedyna kantyna, jaką udało mu się odnaleźć, była zapchana takim właśnie tłumem. Z trudem znalazł sobie miejsce wśród piskliwego jazgotu i zmusił się do przełknięcia serwowanego tu posiłku — kanapek z pastą serdelową i starym serem, pasty pomidorowej z rodzynkami i sosem cebulowym, a po tym wszystkim ledwie letniej herbaty ziołowej w kubeczku wielkości kciuka. Nie byłoby to jeszcze takie złe, gdyby automat dystrybucyjny nie polewał wszystkiego obficie mazią z roztopionych krówek. Żadna z dziewcząt nawet nie zauważyła obecności Billa, wszystkie bowiem pracowały pod lekką hipnozą, dzięki czemu robiły mniej błędów. Bill walczył z jedzeniem, czując się niemal jak duch, podczas gdy one jazgotały nad i obok jego osoby, wystukując bezwolnie to, co mówiły, na krawędzi stołu swoimi długimi palcami, o ile akurat nie trzymały w nich sztućców. Uciekł w końcu stamtąd, ale przygnębiające wrażenie pozostało i chyba właśnie wtedy popełnił błąd i wsiadł do złego wagonika.

Ponieważ numery Poziomów i Bloków powtarzały się w każdym Obszarze, bez trudu można było zajechać zupełnie nie tam, gdzie się chciało i spędzić dłuższy czas błąkając się tu i ówdzie zanim dostrzegło się swoją pomyłkę. Tak właśnie stało się z Billem, który po astronomicznej liczbie przesiadek z jednego środka transportu do drugiego wsiadł wreszcie do windy, która według jego obliczeń, powinna go zawieźć do słynnych na całą galaktykę Wiszących Ogrodów. Wszyscy pasażerowie wysiedli na niższych poziomach i winda, już tylko z Billem na pokładzie, popędziła w górę. Podczas gwałtownego hamowania uniósł się trochę w powietrze, uszy zatkała mu zmiana ciśnienia, otworzyły się drzwi i Bill wyszedł prosto w śnieżną zadymkę. Szczeka opadła mu ze zdumienia, a drzwi za nim zamknęły się i winda zniknęła.

Znajdował się na tworzącej najwyższy poziom miasta metalowej równinie, teraz przesłoniętej zasłoną z wirujących płatków śniegu. Sięgnął po omacku do guzika, by przywołać windę, kiedy

gwałtowniejszy podmuch wiatru zmiótł gdzieś zacinający śnieg i z bezchmurnego nieba zaświeciło cieplutkie słońce. Było to absolutnie niemożliwe.

— To jest absolutnie niemożliwe — oświadczył ze szczerym oburzeniem Bill.

— Nic nie jest niemożliwe, jeżeli ja tego pragnę — gdzieś za jego plecami odezwał się skrzeczący głos. Jam jest bowiem Duchem Życia.

Bill wierzgnął jak homeostatyczny robomuł, odwracając się w podskoku i stając twarzą w twarz z małym człowieczkiem o czerwonych oczach, siwych wąsach i zmarszczonym, drgającym nosie.

— Chyba masz dziurę w mózgu — prychnął Bill, zły na siebie, że okazał się tak strachliwy.

— Też byś zwariował przy tej robocie — chlipnął człowieczek i otarł dyndającą mu u nosa kroplę. — Albo mróz, albo upał, albo ulewa, a cały czas za dużo tlenu. Jam jest Duch Życia, moja jest Siła… — zaintonował drżącym głosem.

— Gdy już wspomniałeś o tym tlenie — powiedział Bill, łykając kilka garści sypiącego znowu śniegu — to rzeczywiście, sam czuję się trochę nabuzowany. Juhuuuuu! — Powiał wiatr, odganiając śniegowe chmury i Bill zagapił się na widok, jaki nagle ukazał się jego oczom.

Równina aż po horyzont pokryta była na pół stajałym śniegiem i kałużami wody. Złocona, zewnętrzna warstewka zniknęła, zaś osłonięty metal miał kolor brudnoszary, gdzieniegdzie wyraźnie rdzawy, a tu i ówdzie dostrzec można było sporych rozmiarów dziury. Niedaleko ziały lejkowate wyloty grubych jak człowiek rur niknących gdzieś za widnokręgiem. Z otworów wydobywały się z sykiem kolumny pary i wirującego śniegu. W chwili, kiedy Bill akurat na nią patrzył, jedna z kolumn zachwiała się, po czym zniknęła.

— Numer osiemnaście poszedł! — wykrzyknął człowieczek do mikrofonu, chwycił wielgachny notes w twardej oprawie i rozchlapując wodę pokłusował w stronę pordzewiałego, klekoczącego, ruchomego chodnika biegnącego równolegle do rur. Bill pognał za nim, ale człowieczek zupełnie przestał go zauważać. Kiedy jechali już trzęsącym niemiłosiernie chodnikiem, Bill zaczął się zastanawiać, dokąd też mogą te rury prowadzić, a po chwili doszło do tego jeszcze zainteresowanie, co to za tajemnicze huki dochodzą z kierunku; w którym zmierzali. Po jakimś czasie zza horyzontu wyłonił się rząd gigantycznych statków kosmicznych. Każdy z nich podłączony był do jednej z rur. Z zaskakującą zwinnością człowieczek zeskoczył z chodnika i popędził w stronę stanowiska numer osiemnaście, gdzie pracujące na dużej wysokości figurki robotników odłączały właśnie od statku wylot grubej rury. Człowieczek spisał wskazania przepływomierzy, a Bill obserwował, jak potężny dźwig wyciąga w górę wyrosły nagle z metalowej powierzchni duży, giętki rękaw.

Rękaw podłączono do zaworu z boku statku i po chwili miękki materiał szarpnął się pod wpływem działającego od wewnątrz wysokiego ciśnienia, a przez nieszczelności przy zaworze zaczęły wydobywać się kłęby czarnego dymu, odpływając wraz z wiatrem nad bezkresną równinę.

— Czy mógłbym wiedzieć, co tu, u diabła, się dzieje? — zapytał żałośnie Bill.

— Życie! Wiecznie trwające życie! — zawołał człowieczek, wspinając się momentalnie z nizin psychicznego załamania na szczyty ekstatycznego uniesienia.

— Czy mógłby pan wyjaśnić to trochę dokładniej?

— Ta planeta cała pokryta jest metalową skorupą. — Tupnął nogą. Odpowiedział mu głuchy odgłos.

— Co to znaczy?

— Że ta planeta pokryta jest metalową skorupą.

— Zgadza się. Jesteś dosyć bystry; jak na zwykłego żołnierza. Bierzemy więc planetę, pokrywamy ją całą metalem i otrzymujemy planetę, na której żywe, zielone rośliny można zobaczyć wyłącznie w Wiszących Ogrodach i kilku skrzynkach balkonowych. Jaki może być tego rezultat?

— Same trupy — odpowiedział Bill. W końcu pochodził ze wsi i słyszał to i owo o fotosyntezie, chlorofilu i takich innych.

— Zgadza się. Ty, ja, Cesarz i par milionów innych gamoni funkcjonujemy przetwarzając tlen na dwutlenek węgla i jeżeli nie ma roślin, które dwutlenek węgla przetworzyłyby z powrotem na tlen, to po jakimś czasie efekt jest taki, że wszyscy dusimy się własnymi oddechami.

— Więc te statki przywożą ciekły tlen?

Człowieczek kiwnął głową i wskoczył na chodnik. Bill uczynił to samo.

— Zgadza się. Mają go pełno na planetach rolniczych. Wyładowują go tutaj, a na to miejsce biorą odzyskiwany z CO_2 węgiel i zawożą go z powrotem wieśniakom, którzy używają go jako opału, nawozu, robią sobie z niego plastyk i licho wie, co jeszcze…

Bill zeskoczył z chodnika w pobliżu windy, zaś skrzeczący głos zniknął wraz ze swym właścicielem w kolejnej zadymce. Billowi kręciło się już trochę w głowie od nadmiaru tlenu, ale czekając na windę udało mu się według przymocowanej do ściany tabliczki z kodem ustalić swoje położenie i wertując zajadle opasły Plan zdołał wytyczyć nowy kurs do Ogrodów Pałacowych.

Tym razem nie pozwolił sobie nawet na moment dekoncentracji. Jadł wyłącznie sprasowane koncentraty i pił gazowane napoje z automatów, dzięki czemu uniknął niebezpieczeństw związanych z poszukiwaniem, a następnie przebywaniem w jadłodajniach, a

odmawiając sobie nawet odrobiny snu nie przegapił ani jednej przesiadki. Wreszcie z podkrążonymi oczami i głową jak bania zszedł chwiejnym krokiem z platformy grawitacyjnej i serce zabiło mu żywiej, kiedy ujrzał przed sobą ukwiecony, pachnący napis WISZĄCE OGRODY. U wejścia stał kołowrót, a nad wybitym w ścianie okienkiem widniał nieco mniejszy napis KASA.

— Jeden proszę. — Dziesięć imperialnych.

— To trochę drogo — zauważył nieśmiało Bill, odliczając jeden po drugim banknoty z cieniutkiego rulonika.

— Jak jesteś biedny, to nie przyjeżdżaj na Helior.

Robot w kasie miał cały program tego rodzaju odpowiedzi. Bill zignorował go i wszedł do Ogrodów. Było tutaj wszystko, o czym marzył, a nawet trochę więcej. Kiedy szedł nieśpiesznie żwirową ścieżką, od zielonych krzaczków i świeżutkiej trawy oddzielała go jedynie gruba tytanowa siatka. Nie więcej niż sto jardów dalej, tuż za trawą, unosiły się w powietrzu egzotyczne rośliny i kwiaty z najodleglejszych zakątków Imperium. A tam… Hen, w oddali, ale niemal widoczne gołym okiem, były Tęczowe Fontanny! Bill wrzucił pieniążek do jednego z teleskopów i z zachwytem obserwował ich pulsujące barwy. Jakość obrazu była niemal tak dobra, jak w telewizji. Potem powędrował dalej, ciesząc się ciepłem sztucznego słońca, zawieszonego pod sklepieniem ogromnej kopuły.

Jednak nawet uderzająca do głowy uroda Ogrodów okazała się niczym wobec obezwładniającego zmęczenia, które chwyciło go w swoje żelazne szpony. Do okalającej ogrody ściany przymocowane były żelazne ławki. Przysiadł na jednej z nich na chwilkę, a potem na momencik zamknął oczy. Głowa opadła mu od razu na pierś i nim się zorientował, co się dzieje, spał już jak suseł. Kroki innych zwiedzających szurały po żwirowej ścieżce nie przeszkadzając mu we śnie, nie usłyszał też, jak jeden z turystów usiadł koło niego na ławce.

Billowi nigdy nie było dane ujrzeć tego człowieka, nie ma więc sensu dokładnie go opisywać. Wystarczy tylko powiedzieć, że miał ziemistą cerę, złamany czerwony nos, dzikie oczy skryte pod małpimi brwiami, szerokie biodra, wąskie barki, nierównej wielkości stopy, długie, guzowate, brudne palce i że jego twarzą wstrząsał nerwowy tik.

Sekundy upływały z wolna, a obcy siedział ciągle bez ruchu. W pewnej chwili wokół ławki zrobiło się zupełnie pusto, nie widać też było, żeby ktoś nadchodził. Szybkim, wężowym ruchem mężczyzna wyciągał z kieszeni miniaturowy atomowy palnik i przytknął go do łączącego Plan z paskiem Billa łańcucha, dokładnie w miejscu, w którym luźno zwisające ogniwa dotykały żelaznej ławki. Błysnął mały, nieprawdopodobnie gorący płomień i po chwili łańcuch był już przyspawany do ławki. Bill nawet nie drgnął.

Tak jak skaczący do ściekowego kanału szczur wywołuje na jego powierzchni rozchodzące się powoli kręgi, tak przez twarz mężczyzny przepłynęła fala diabolicznego uśmiechu. Atomowy płomień przeciął łańcuch tuż przy okładce grubego tomu. Złoczyńca wsadził palnik do kieszeni, wyjął Plan z objęć Billa i oddalił się szybkim krokiem.

11.

Początkowo Bill nie docenił rozmiarów swojej straty. Kiedy powoli, z ciężką głową wynurzał się z objęć głębokiego snu, miał niejasne wrażenie, że coś jest nie tak. Dopiero po kilku bezowocnych szarpnięciach przekonał się, że łańcuch jest przyspawany do ławki, a Plan zniknął. Musiał odpiąć łańcuch odpaska i zostawić go, dyndający przy ławce, bo inaczej musiałby tam siedzieć nie wiadomo jak długo i czekać, aż ktoś do odkuje. Wrócił do wejścia do Ogrodów i zapukał w okienko kasy.

— Nie zwracamy pieniędzy — oświadczył robot. — Chciałem zgłosić kradzież.

— Przestępstwami zajmuje się policja. Z policją możesz porozmawiać przez telefon. Telefon jest obok. Numer 1l1 — 11 — 111.

W ścianie otworzyły się drzwiczki i wyskoczył z nich na wysięgniku aparat telefoniczny, uderzając Billa w pierś na tyle silnie, że ten aż zachwiał się lekko. Wykręcił podany mu numer.

— Policja — odezwał się jakiś głos i na ekranie pojawiła się buldogowata, skrzywiona twarz sierżanta w pruskim błękitnym mundurze.

— Chciałem zameldować o kradzieży.

— Drobna czy poważna?

— Nie wiem. Chodzi o mój Plan.

— Drobna. Udaj się na najbliższy posterunek. To jest telefon pogotowia alarmowego i blokujesz go bez uzasadnienia. Kara za blokowanie bez uzasadnienia telefonu pogotowia alarmowego wynosi… — Bill wdusił czym prędzej przycisk i ekran zgasł.

— Nie zwracamy pieniędzy — powiedział kasjer.

— Zamknij się — parsknął zniecierpliwiony Bill.

— Chcę tylko wiedzieć, gdzie jest najbliższy posterunek policji.

— Jestem robotem kasjerskim, a nie informacyjnym. Tej informacji nie ma w mojej pamięci. Najlepiej sprawdź w swoim Planie.

— Kiedy właśnie mi go ukradziono!

— Więc zgłoś się na najbliższy posterunek policji.

— Ale… — Bill poczerwieniał ze złości i kopnął z całych sił ścianę pod okienkiem kasjera.

— Nie zwracamy pieniędzy — usłyszał jeszcze, kiedy zachowując resztki godności ruszył przed siebie.

— Może łykniem, bo odwykniem?… — wyszeptał mu kusząco do ucha przesuwający się bezszelestnie na swych kółkach zrobotyzowany barek, po czym wyemitował odgłos, jaki wydają. grzechoczące w

oszronionej szklance kostki lodu.

— Cholernie dobry pomysł. Piwo. Duże piwo.

Bill nakarmił barek kilkoma monetami, po czym chwycił w locie puszkę, która wystrzeliła z otworu podajnika niczym granat z moździerza. Piwo nie tylko przyniosło ochłodę jego ciału, ale i ostudziło gniew. Przed sobą ujrzał strzałkę z napisem DO RUBINOWEGO PAŁACU.

— Najpierw rzucę okiem na Pałac, a potem poszukam kogoś, kto wskaże mi drogę do posterunku. Auu! — Zrobotyzowany barek wyszarpnął mu puszkę z ręki, omal nie urywając palców i z niebywałą celnością cisnął ją do ziejącego w ścianie otworu szybu odpadkowego.

Rubinowy Pałac okazał się równie mało dostępny jak Wiszące Ogrody, toteż Bill zrezygnował z kupienia biletu, uprawniającego go do zbliżenia się do otaczającego Pałac w przeraźliwej odległości płotu, tylko postanowił od razu zgłosić się na policję. Niedaleko wejścia, wywijając niedbale pałką, stał gruby stróż porządku publicznego. Ten powinien chyba wiedzieć, gdzie jest posterunek.

— Przepraszam, gdzie jest posterunek?

— Nie jestem budką informacyjną. Zajrzyj sobie do Planu.

— Kiedy nie mogę — wyznał przez zaciśnięte zęby Bill. — Ktoś ukradł mi mój Plan i dlatego właśnie chcę eep!

Bill powiedział „eep", ponieważ policjant wyćwiczonym ruchem wbił mu koniec pałki pod pachę i przepchnął go przez róg.

— Wiesz, koleś, sam kiedyś byłem żołnierzem, zanim udało mi się wykupić.

— Wysłuchałbym pańskich wspomnień ze znacznie większą przyjemnością, gdyby zechciał pan wyjąć tę pałkę spod mojej pachy — wystękał Bill, po czym westchnął z. wdzięcznością, kiedy pałka zniknęła.

— Ponieważ sam byłem kiedyś żołnierzem, to nie chcę, żeby koleś z Purpurową Rzutką i Gwiazdą Mgławicy Węglowej napytał sobie biedy. Jestem uczciwym gliną i nie biorę łapówek, ale czułbym się zobowiązany, gdyby jakiś koleś zechciał mi pożyczyć 2S imperialnych. Tylko do najbliższej wypłaty, oczywiście.

Co prawda Bill urodził się idiotą, ale uczył się dosyć szybko. Pieniądze zmieniły właściciela i gliniarz wyraźnie się odprężył, postukując końcem pałki w swoje pożółkłe zęby.

— No więc powiem ci coś, chłopie, zanim zechcesz mi coś oficjalnie zgłosić, bo na razie to sobie rozmawiamy jak kumpel z kumplem. Istnieje cała masa różnych sposobów, żeby tu, na Heliorze, wdepnąć w bagno, ale najbardziej niezawodnym jest zgubić swój Plan. Na Heliorze to największe z możliwych wykroczeń. Znałem kiedyś faceta, który przyszedł — na posterunek, żeby zgłosić, że ktoś ukradł mu Plan i w przeciągu dziesięciu, może nawet pięciu sekund wszyscy

gliniarze z posterunku połamali na nim pałki. No, a teraz, co mi chciałeś powiedzieć?

— Ma pan zapałki?

— Nie palę.

— W takim razie, do widzenia.

— Cześć, koleś.

Bill umknął za najbliższy zakręt korytarza i dysząc ciężko oparł się o ścianę. I co teraz? Nawet mając do dyspozycji Plan z trudem tylko był w stanie się poruszać, jak więc ma sobie radzić bez niego? Gdzieś w sobie czuł ołowiany ciężar, ale starał się go zignorować. Na strach będzie miał jeszcze dosyć czasu, teraz trzeba myśleć. Myślenie jednak wcale nie było taką łatwą sprawą. Jego myśli niewzruszenie kierowały się w stronę jednej tylko rzeczy, to jest jedzenia, a że zdawało mu się, że już lata całe minęły od chwili, kiedy po raz ostatni miał okazję spożyć coś konkretnego, jego gruczoły zaczęły wydzielać ślinę w takiej ilości, że o mało się w niej nie utopił. Jedzenie, oto czego potrzebował. Kiedy odpręży się przy soczystym steku i zaspokoi już potrzeby ciała, wtedy dopiero będzie mógł zebrać myśli i znaleźć wyjście z tej nieciekawej sytuacji. Jakieś wyjście musi przecież istnieć. Miał jeszcze prawie cały dzień wolnego, a to była masa czasu. Minął kolejny zakręt i wszedł na wysoko sklepiony korytarz, rzęsiście oświetlony niezliczoną ilością reklam. Najjaśniej świecił neon POD ZŁOTYM SKAFANDREM.

— „Pod Złotym Skafandrem” — mruknął Bill. — To już coś. Słynna na całą galaktyk restauracja, pokazywana na okrągło w telewizji… Gdzie jak gdzie, ale tam będzie można sobie odbudować morale. Pewnie będzie drogo, ale co tam…

Ścisnął się mocniej pasem, podniósł kołnierz munduru wstąpił na szerokie, kapiące od złota schody. Przeszedł przez imitujące śluzę kosmicznego statku drzwi, szef sali uśmiechnął się serdecznie, zabrzmiały łagodne dźwięki muzyki i nagle podłoga otworzyła mu się pod nogami. Próbując znaleźć bezskutecznie jakiś punkt oparcia, sunął w dół złoconą zjeżdżalnią, aż wreszcie siłą rozpędu został wyrzucony w powietrze i rozciągnął się jak długi a brudnym, metalowym chodniku. Na ścianie vis a vis wielkimi literami wypisano: ZNIKAJ CHAMIE. Otrzepywał się już z kurzu, kiedy podjechał do niego robot i zamruczał głosem młodej dziewczyny:

— Pewnie jesteś głodny, kochanie? A może spróbujesz nowoindyjskiej pizzy Giuseppe Singha przyprawionej curry? To tylko parę kroków stąd, plan znajdziesz na odwrocie tej wizytówki.

Robot wyjął wizytówkę ze szczeliny w swojej piersi i delikatnie włożył ją Billowi w usta. Był to bardzo tani i bardzo rozregulowany robot. Bill wypluł rozmiękły karteluszek i próbował go osuszyć chustką do nosa.

— Co się stało? — zapytał.

— Pewnie jesteś głodny, kochanie grzhrzup! — nakierowany pytaniem Billa robot z pewnym opóźnieniem przełączył się na inną, zarejestrowaną wcześniej informację. — Wyrzucono cię ze Złotego Skafandra, słynnej na całą galaktyk restauracji, ponieważ jesteś chamem bez forsy. Przy wejściu zostałeś prześwietlony, a zawartość twoich kieszeni dokładnie przeliczona. Ponieważ zawartość twoich kieszeni kształtowała się zdecydowanie poniżej minimum, to znaczy nie wystarczała nawet na jednego drinka z zakąską, zostałeś wyrzucony. Ale pewnie ciągle jeszcze jesteś głodny, prawda, kochanie? — robot kusicielsko łypnął na Billa i przemówił ponownie uwodzicielskim, emanującym płciowością głosem. Odwiedź Singha, u którego jedzenie jest smaczne i tanie. Skosztuj pysznej zapiekanki z liściem dahl i sokiem limonowym…

I Bill poszedł, nie dlatego, że zapragnął koniecznie skosztować jakiejś ohydnej, indyjsko — włoskiej potrawy, ale dlatego, że na odwrocie wręczonej mu wizytówki narysowana była niewielka mapka. Świadomość, że jednak skądś dokądś idzie była bardzo pokrzepiająca, toteż bez wahania stosował się do zamieszczonych obok mapki instrukcji, zbiegając krętymi schodami, zjeżdżając pochylniami, czy walcząc o miejsce na krzesełku zatłoczonego wyciągu. Wreszcie buchnął mu w twarz odór stęchłego tłuszczu, starego czosnku oraz przypalonego mięsa, i wiedział, że dotarł na miejsce.

Jedzenie było nieprawdopodobnie drogie i znacznie gorsze, niż się tego można było spodziewać, niemniej jednak uciszyło fanaberie jego żołądka, jeżeli nie przez stopniowe nasycenie, to przynajmniej przez. zmasowany atak. Po skończonym posiłku Bill zabrał się do wydłubywania spomiędzy zębów potężnych kawałków niedokładnie zmielonych chrząstek, jednocześnie jednak zerkał co chwila w stronę siedzącego po drugiej stronie stołu mężczyzny, który pojękiwał z cicha, wlewając w siebie łyżką jakąś trudną do określenia substancję. Mężczyzna odziany był w kolorowe, wakacyjne ubranie i sprawiał wrażenie tłustego, jowialnego, serdecznego osobnika.

— Cześć! — powiedział uśmiechnięty Bill.

— Spadaj.

— Powiedziałem tylko cześć…

— I wystarczy. W ciągu szesnastu godzin, które spędziłem na tej cholernej planecie każdy, kto pofatygował się, by otworzyć do mnie usta, zrobił to tylko po to, żeby mnie okpić, oszukać, ukraść mi forsę albo coś w tym rodzaju. Jestem bliski załamania, a jeszcze zostało mi całych sześć dni wycieczki „Używaj życia na Heliorze”. Tak ją nazwali, niech ich szlag trafi.

— Chciałem tylko zapytać, czy nie pozwoliłby mi pan zerknąć do swojego Planu…

— Już ci powiedziałem, każdy chce mnie tutaj nabrać. Spadaj.

— Bardzo pana proszę…

— Dobra. Dwadzieścia pięć baksów, płatne z góry i tylko dopóki nie skończę jeść.

— Zgoda!

Bill wręczył sąsiadowi pieniądze, dał nura pod stół i usiadłszy tam po turecku zaczął w szaleńczym pośpiechu wertować gruby tom, najszybciej jak tylko potrafił ustalając trasę i spisując wszystkie instrukcje. Na górze tłuścioch wciąż jadł i jęczał, a kiedy trafił na porcję o szczególnie wstrętnym smaku, szarpał konwulsyjnie za przymocowany do Planu łańcuch i Bill musiał wszystko zaczynać od początku. Udało mu się ustalić mniej więcej połowę trasy do Punktu Tranzytowego, kiedy grubas skończył jeść, wyszarpnął spod stołu swój Plan i wyszedł z restauracji.

Kiedy Odyseusz powrócił do domu z pełnej niebezpieczeństw wędrówki, oszczędził Penelopie nieprawdopodobnych szczegółów swej podróży. Kiedy Ryszard Lwie Serce wydostał się z lochów i wrócił po latach z awanturniczych wypraw krzyżowych, doceniając wrażliwość królowej Berengani nie opowiadał jej przesyconych grozą anegdot, tylko powitał ją i nie zwlekając rozpiął jej pas cnoty. Także i ja, miły Czytelniku, oszczędzę ci opisów niebezpieczeństw i zwątpień, jakie stały się udziałem Billa podczas jego wędrówki, jako że i tak byś nie dał im wiary. Powiem tylko tyle, że jednak mu się udało. Dotarł do Punktu Tranzytowego.

Bill zamrugał oprawionymi w czerwone obwódki oczami i przeczytał napis: PUNKT TRANZYTOWY. Kolana ugięły się pod nim z radości i ulgi. A jednak udało mu się! Co prawda spóźnił się o osiem dni, ale to nie miało większego znaczenia. Wkrótce znów znajdzie się w czułych objęciach armii, z dala od bezkresnych korytarzy, przewalających się tłumów, pochylni, zjeżdżalni, szybów, wind, wyciągów i całej reszty. Schla się w trupka z kolesiami, pozwalając, by alkohol rozpuścił wspomnienia koszmarnych dni wypełnionych beznadziejną, zdawałoby się, wędrówką bez kropli wody, bez kęsa pożywienia, bez choćby jednej bratniej duszy, do której można by się odezwać. To wszystko było już za nim. Otrzepał z grubsza mundur, z zażenowaniem dostrzegając szpecące go plamy, dziury i pourywane guziki. Gdyby udało mu się przedostać niepostrzeżenie do koszar, zmieniłby mundur na nowy i dopiero wtedy zameldowałby się w kancelarii.

Kilka głów odwróciło się w jego stronę z zainteresowaniem, ale nikt go nie zatrzymywał i dotarł bez kłopotów do baraku, tylko po to jednak, by się przekonać, że jego materac jest zwinięty, koc zniknął, a szafka jest pusta. Wyglądało na to, że będzie miał kłopoty, a kłopoty w wojsku to naprawdę nic miłego.

Starając się nie poddawać ogarniającej go rozpaczy, obmył się z grubsza w latrynie, łyknął spory haust zimnej wody i powlókł się do kancelarii. Za biurkiem siedział sierżant — potężnie zbudowany sadysta, o skórze tego samego koloru, jak dawny kolega Billa, Tembo. W jednej ręce trzymał lalkę ubraną w mundur kapitana, a drugą wbijał w nią wyprostowane spinacze. Nie unosząc głowy spojrzał spode łba na Bill i skrzywił się z niesmakiem.

— Najwyraźniej szukasz kłopotów, żołnierzu, skoro przychodzisz do kancelarii w takim mundurze.

— I tak jestem w większych kłopotach, niż to się panu zdaje, sierżancie — odparł Bill, opierając się ciężko o biurko.

Sierżant przyjrzał się podejrzliwie różnokolorowym dłoniom Billa.

— Skąd masz tę rękę, żołnierzu? Gadajże! Ja ją znam!

— To mojego kolegi. Dłoń i cała ręka.

Korzystając z nadarzającej się okazji do rozmowy o czymś innym, niż o swoich wyczynach, Bill wyciągnął rękę, demonstrując ją sierżantowi. Jakież jednak było jego przerażenie, kiedy palce tej jego nie jego ręki zacisnęły się w stalową pięść, napięte mięśnie nadały jej olbrzymie przyśpieszenie i pięść rąbnęła sierżanta w szczękę, zwalając go z krzesła na podłogę.

— Sierżancie! — wyskrzeczał Bill, chwytając zbuntowaną rękę drugą i zmuszając ją, nie bez wysiłku, do posłuszeństwa.

Sierżant podniósł się niespiesznie z podłogi i Bill, drżąc na całym ciele, zaczął wycofywać się w stronę drzwi. Nie wierzył własnym oczom, kiedy sierżant usiadł za biurkiem i uśmiechnął się szeroko.

— Tak mi się zdawało, że to musi być łapa tego starego drania Tembo. Zawsze — tak sobie żartowaliśmy. Opiekuj się dobrze tą ręką, słyszysz? Masz jeszcze jakiś jego kawałek?

— Kiedy usłyszał, że nie, wystukał palcami szybki rytm. — No cóż, chłopak jest już u wielkiego Ju Ju w niebie… — Uśmiech zniknął równie niespodziewanie, jak się pojawił, ustępując miejsca naturalnemu grymasowi. — Narobiłeś sobie kłopotów, żołnierzu. Pokaż no dokumenty.

Wyjął je z odrętwiałych palców Billa i wrzucił do szczeliny w biurku. Zamigotały światełka, coś zahuczało, zadygotało i wreszcie ekran wyświetlił informację. Sierżant przeczytał ją uważnie i kwaśny grymas a jego twarzy ustąpił miejsca wściekłemu. Zwrócił się na powrót do Billa, przeszywając go spojrzeniem, które mogłoby w okamgnieniu zamienić mleko w kefir czy zabić na miejscu jakieś mniejsze żyjątko, mysz na przykład albo karalucha. Krew skrzepła Billowi w żyłach, a jego ciałem wstrząsnął niemal epileptyczny dreszcz.

— Gdzie żeś ukradł te dokumenty? Kim naprawdę jesteś?

Dopiero trzecia próba wydania jakiegoś w miarę artykułowanego

dźwięku zakończyła się dla Billa sukcesem.

— To… to ja… to… to moje dok… dokumenty… to ja, bezpiecznikowy pierwszej kla… klasy Bill…

— Kłamiesz! — Dostosowany specjalnie do rozszarpywania szyjnych żył paznokieć zastukał w kartę identyfikacyjną Billa. — Musiałeś to ukraść, bo bezpiecznikowy pierwszej klasy Bill odleciał z Helioru osiem dni temu. Tak mówi komputer, a komputer nie kłamie. Doigrałeś się, cwaniaczku. — Nacisnął czerwony guzik podpisany ŻANDARMERIA i gdzieś w oddali rozległ się alarmowy dzwonek. Bill, tocząc dziko oczami w poszukiwaniu jakiejś drogi ucieczki, postąpił krok wstecz.

— Trzymaj go, Tembo — polecił sierżant. — Chcę to wyjaśnić do końca.

Lewa-prawa ręka Billa chwyciła ze straszliwą siłą za krawędź biurka. Próbował jeszcze rozewrzeć jej chwyt, kiedy za jego plecami zadudniły ciężkie kroki.

— Co jest? — warknął znajomy głos.

— Posługiwanie się skradzionymi dokumentami i jeszcze parę: innych rzeczy, które i tak nie mają znaczenia, bo już za tą pierwszą grozi lobotomia i ciężka chłosta.

— Och, sir! — zawołał z radością Bill, odwracając się na pięcie i stając twarzą w twarz z doskonale znaną, znienawidzoną postacią. — Kostucha Drang! Niech mu pan powię; że mnie pan — zna!

Jeden z dwóch żandarmów był zwyczajnym, wypolerowanym brutalem z hełmem zamiast głowy, z pałką i rewolwerem u boku, ale drugi mógł być tylko Kostuchą Drangiem.

— Znacie tego więźnia? — zapytał sierżant.

Kostucha zmarszczył brwi i zmierzył Billa wzrokiem od stóp do głów.

— Znałem kiedyś bezpiecznikowego szóstej klasy imieniem Bill, ale tamten miał obie ręce takie same. Coś mi się tu nie podoba. Trącimy go parę razy w dyżurce i zameldujemy, co wyśpiewa.

— Dobra. Tylko uważajcie na jego lewą rękę. Należy do mojego przyjaciela.

— Nawet jej nie dotkniemy.

— Ale to jestem ja, Bill! — wrzasnął Bill. — To moje dokumenty, mogę to udowodnić!

— Kradzione — powtórzył z przekonaniem sierżant i wskazał na ekran. — Zapis w pamięci komputera mówi, że bezpiecznikowy pierwszej klasy Bill odleciał osiem dni temu. Zapisy w pamięci komputera nie kłamią.

— Nie mogą kłamać, bo gdyby kłamały, to nie byłoby porządku we wszechświecie — dodał Kostucha i wbił Billowi pałkę w żołądek, popychając go w kierunku drzwi. — Czy przysłali już te nowe

wyłamywaczki do palców? — zapytał drugiego żandarma.

To, że Bill zrobił, co zrobił, było spowodowane wyłącznie zmęczeniem. Zmęczenie, rozpacz i strach połączyły swoje siły i zawładnęły nim całkowicie, bo przecież w głębi serca był dobrym żołnierzem i nauczył się być Dzielny, Dbający o Higienę Osobistą, Posłuszny, Heteroseksualny i tak dalej, i tak dalej. Dla każdego jednak człowieka istnieje jakaś granica wytrzymałości i Bill właśnie osiągnął swoją. Wierzył co prawda w sprawiedliwość wymiaru sprawiedliwości — nikt mu nigdy nie powiedział, że można w to nie wierzyć — ale kroplą, która przepełniła czarę, był strach przed torturami. Kiedy jego oszalałe oczy dostrzegły na ścianie napis PRALNIA, odpowiednie złącza połączyły się bez udziału jego świadomości i Bill skoczył naprzód, wyrywając się z uścisku trzymających go rąk. Uciekać! Otwór pod napisem musi być początkiem zsypu pralniczego, u którego wylotu czeka już, by złagodzić jego upadek, mięciutka sterta brudnych koszul i prześcieradeł. Uciekać! Nie zwracając uwagi na dzikie wrzaski żandarmów rzucił się głową naprzód w ziejący czernią otwór.

Przeleciał może ze cztery stopy i rąbnął czaszką, mało jej sobie przy tym nie rozwalając, w twarde, metalowe dno: Zsyp okazał się pojemnikiem na brudną bieliznę.

Żandarmi walili pięściami w uchyloną ściankę, bezskutecznie jednak; bowiem nogi Billa zablokowały ją od wewnątrz.

— Zamknięte! — zawył Kostucha. — Wykiwał nas! Dokąd prowadzi ten zsyp? — zapytał, popełniając ten sam błąd, co Bill.

— Nie mam pojęcia, dopiero co mnie tutaj przenieśli — odparł drugi głos.

— Jak go nie znajdziemy, to przeniosą cię jeszcze raz, ale tym razem prosto na krzesło elektryczne. Głosy, wraz z dudnieniem ciężkich kroków, ścichły w oddali i Bill odważył się poruszyć. Skręcony pod dziwacznym kątem kark bolał jak diabli, kolana miał zagwożdżone pod własną brodą i o mało co się nie udusił jakąś pchającą mu się do ust szmatą. Próbując wyprostować nogi zaparł się nimi o metalową ścianę, rozległ się donośny trzask i pojemnik otworzył się na oścież.

— Jest tutaj! — ryknął znajomy, znienawidzony głos i Bill nie tracąc ani chwili rzucił się do ucieczki. Pościg był tuż za nim, kiedy jeszcze raz skoczył głową naprzód, tym razem do prawdziwego, antygrawitacyjnego zsypu. Zdyszany żandarm skoczył za nim, a specjalne czujniki ustawiły ich w odległości mniej więcej piętnastu stóp od siebie. Podtrzymywani polem siłowym opadali powoli, a kiedy Billowi ustąpiły sprzed oczu czerwone plamy i spojrzał do góry, ujrzał wyszczerzoną fizjonomię Kostuchy.

— Stary druhu! — wychlipał Bill, składając błagalnie ręce. —

Czemu mnie prześladujesz?

— Tylko nie druhu, ty przeklęty chingerski szpiegu! Nawet nie jesteś dobrym szpiegiem — ręce masz nie do pary! — Cały czas spadając, Kostucha wyciągnął z pochwy rewolwer i wycelował go między oczy Billa. — Zastrzelony podczas próby ucieczki.

— Miej litość! — zaskamlał Bill.

— Śmierć Chingersom!

I nacisnął spust.

12.

Pocisk przeorał się przez obłok rozprężającego się gazu i przeleciał jeszcze jakieś dwie stopy w kierunku Billa, po czym pole siłowe chwyciło go w swe stalowe objęcia. Niezbyt inteligentne czujniki uznały pocisk za jeszcze jeden obiekt, który wrzucono do zsypu i przydzieliły mu odpowiednie miejsce, nadając mu prędkość identyczną, jak wszystkim innym znajdującym się w zsypie ciałom. Kula zajęła miejsce między Billem a Kostuchą, za którym z kolei spadał dostojnie drugi żandarm, a że odstępy pomiędzy poszczególnymi obiektami musiały wynosić co najmniej piętnaście stóp, odległość między Billem a jego prześladowcami zwiększyła się dwukrotnie. Bill nie omieszkał wykorzystać tego faktu, opuszczając zsyp na najbliższym poziomie. Jednym susem znalazł się w czekającej akurat na pasażera windzie i zanim, klnący na czym świat stoi, Kostucha zdołał wygramolić się na korytarz, drzwi windy zasunęły się bezszelestnie.

Teraz ucieczka polegała już tylko na maksymalnym gmatwaniu swego śladu. Bill na oślep przesiadał się z jednego środka transportu na drugi, cały czas kierując się jednak ku niższym poziomom, niczym kret, który usiłuje zgubić swych prześladowców ryjąc coraz głębszy tunel w głąb ziemi. W końcu dopadło go wyczerpanie, rzuciło o ścianę i zostawiło tam, dyszącego niczym zgrzany w jurajskim słońcu dinozaur. Rozglądając się dookoła stwierdził, że dotarł głębiej, niż zdarzyło mu się kiedykolwiek dotąd. Korytarze, wykonane ze spojonych nitami arkuszy blachy, oświetlone były znacznie skromniej, niż na wyższych poziomach. Jednostajną gładkość ścian zakłócały potężne, stustopowej nieraz średnicy filary. Większość drzwi, jakie mijał, starannie pozamykano, a kłódki i skoble zaopatrzone były w wymyślne pieczęcie. Wstał z trudem na nogi i ruszył w poszukiwaniu czegoś do picia, gardło miał bowiem wyschnięte jak stara podeszwa. Automat, który wreszcie udało mu się znaleźć, — wbudowany był w ścianę i w niczym nie przypominał znanych mu urządzeń. Obudowany był metalowymi sztachetami, a zdobiący jego płytę czołową napis głosił, co następuje: UWAGA! AUTOMAT WYPOSAŻONY JEST W ANTYWŁAMANIOWY SYSTEM „ŁAPAJ ZŁODZIEJA”. KAŻDY, KTO BY USIŁOWAŁ DOBRAĆ SIĘ DO POJEMNIKA Z MONETAMI, ZOSTANIE PORAŻONY PRĄDEM O NAPIĘCIU 100 000 VOLT. Drobne, które Bill wygrzebał z kieszeni, wystarczyły na podwójną heroin — colę. Kiedy kubek wypełniał się smakowitym napojem, Bill na wszelki wypadek odsunął się od śmiercionośnej maszyny.

Po chwili poczuł się znacznie lepiej, ale trwało to bardzo krótko, dokładnie do momentu, w którym zajrzał do swego portfela: Zostało

mu osiem imperialnych; co będzie, kiedy je wyda? Wielki żal nad samym sobą ogarnął jego wycieńczony, odurzony narkotykiem umysł i Bill, skuliwszy się pod ścianą, rozpłakał się rzewnie nad własnym losem. Zdawał sobie mętnie sprawę z obecności innych ludzi, ale nie zwracał na nich uwagi. Dopiero kiedy nie opodal niego przystanęło czterech mężczyzn, a po chwili jeden z nich padł jak worek na podłogę korytarza, Bill zerknął przelotnie w ich kierunku. Trzej teraz już tylko mężczyźni rozmawiali ze sobą z ożywieniem; Bill słyszał dokładnie wszystko, ale jego pogrążony w rozpaczy mózg rejestrował tylko wychwytywane przez narządy słuchu fale dźwiękowe, nie próbując ich zrozumieć czy zanalizować.

— Biedny Golph. Wygląda na to, że już z nim koniec.

— Nawet na pewno. Ma najładniejsze drgawki przedśmiertne, jakie kiedykolwiek widziałem. Zostawimy go robotom sanitarnym.

— Dobra, ale co z robotą? Przecież potrzebujemy czterech.

— O patrzcie, tam leży jakiś zdeplanowany.

Ciężki but, który przetoczył Billa na plecy, przywrócił mu także zainteresowanie rzeczywistością. Spojrzał w górę, na trzech obdartych, brudnych, brodatych mężczyzn. Różnili się od siebie wzrostem i tuszą, ale łączyło ich jedno: żaden z nich nie miał ze sobą Planu. Bez ciężkich, opasłych tomów wyglądali dziwnie nago.

— Gdzie masz swój Plan? — zapytał Billa najobficiej owłosiony i kopnął go jeszcze raz.

— Ukradli… — wychlipał Bill.

— Jesteś żołnierzem?

— Zabrali mi dokumenty…

— Masz forsę?

— Nic… ani grosza… jak pusty kosz na śmieci…

— A więc jesteś jednym ze Zdeplanowanych — oznajmili chórem mężczyźni i pomogli mu wstać na nogi.

— Teraz przyłączysz się do nas w Pieśni Zdeplanowanych.

I drżącymi głosami zaśpiewali:

Razem stawajmy w jednym szeregu
Bracia Bez Planów, bo walczyć nam trzeba,
By Przemoc upadła, a Prawda wygrała,
Byśmy ponownie wolni się stali,
Niebios przestrzenie znów oglądali
I mogli znowu usłyszeć
Szeptanie płatków śniegu.

— Coś to się nie bardzo rymuje — zauważył Bill.

— Cóż robić, tu, na dole, nie jest łatwo o literackie talenty — powiedział najmniejszy i najstarszy zarazem Zdeplanowany i zaniósł

się piskliwym kaszlem.

— Stul pysk — warknął największy i szturchnął starego oraz Billa w okolice nerek. — Ja jestem Litvok, a to moja paka. Ty, nowy, jesteś teraz z nami. Nazywasz się Golph 28169 minus.

— Skądże znowu, nazywam się Bill, poza tym to łatwiejsze do… — urwał, szturchnięty ponownie.

— Stul pysk. Bill to trudniejsze imię, bo to nowe imię, a ja nigdy nie mogę zapamiętać nowych imion. Zawsze miałem w pace Golpha 28169 minus. Jak się nazywasz?

— Bill… Auu! To znaczy, Golph!

— No, już lepiej. Tylko nie zapomnij, że masz jeszcze nazwisko!

— Jeść się chce — jęknął stary. — Kiedy robimy skok?

— Teraz. Idziemy.

Przeszli przez ciało starego Golpha, który tak szybko znalazł zastępcę i ruszyli pośpiesznie ciemnym, wilgotnym pasażem. Bill zastanawiał się, w też znowu udało mu się wpakować, ale był zbyt zmęczony, żeby się tym rzeczywiście przejmować. Poza tym, ci ludzie mówili coś o jedzeniu. Kiedy już coś zje, będzie mógł spokojnie się nad wszystkim zastanowić, ale tymczasem był szczęśliwy, że ktoś się nim zajął i zwolnił go z obowiązku myślenia. Zupełnie jak w wojsku, a nawet trochę lepiej, bo nie musiał się golić.

Zmrużyli oczy, nagle oślepieni, wychodząc na jasno oświetlony korytarz. Litvok machnął ręką, by stanęli, po czym przyłożył brudną dłoń do swego kalafiorowatego ucha i zmarszczywszy czoło nasłuchiwał przez dłuższą chwilę.

— W porządku. Schmutzig, zostajesz tutaj i dajesz znak, gdy ktoś będzie szedł, ty Sporco, stajesz przy pierwszym zakręcie z tamtej strony i robisz to samo, a ty, Golph, idziesz ze mną.

Dwaj strażnicy stanęli na swoich stanowiskach, a Bill wszedł za Litvokiem do niszy w ścianie korytarza, kryjącej metalowe zamknięte drzwi. Krzepki przywódca otworzył je jednym uderzeniem młota, wyciągniętego gdzieś spomiędzy fałd wymiętego stroju. Przez pomieszczenie, do którego wkroczyli, biegły pionowo liczne rury najróżniejszych rozmiarów. Każda oznaczona była innym symbolem.

— Musimy znaleźć k1 — 92S6 — B — powiedział Litvok.

Bill znalazł ją dość szybko — miała mniej więcej średnicę przegubu jego ręki. Właśnie zamierzał zameldować o tym Litvokowi, kiedy na korytarzu rozległ się ostrzegawczy gwizd.

— Wyłaź! — rzucił Litvok — i wypchnął Billa na zewnątrz, po czym wśliznął się za nim, zamknął drzwi i stanął tak, by zasłonić sobą rozwalony zamek. Zbliżał się do nich jakiś dziwny, grzechocząco — świszczący odgłos. Litvok schował młot za plecami. Hałas narastał coraz bardziej, aż wreszcie pojawił się robot sanitarny i skierował na nich swoje teleskopowe oczy.

— Uprzejmie proszę o przesunięcie się, robot ma zamiar sprzątać w miejscu, w którym państwo stoją — przemówił grzecznym tonem głos z taśmy. Robot z nadzieją zaszurał swymi szczotkami.

— Znikaj stąd — warknął Litvok.

— Przeszkadzanie robotowi sanitarnemu w wykonywaniu jego obowiązków nie tylko stanowi wykroczenie przeciwko prawu ale jest także wysoce aspołeczne. Zastanówmy się przez chwilę, co by było, gdyby Departament Sanitarny nie…

— Głupie gadanie! — prychnął Litvok i zdzielił robota młotem w pojemnik mózgowy.

— Krrhrrk! — zaskrzeczał robot i ruszył przed siebie, zataczając się od ściany do ściany i roniąc wodę z otworów zraszacza.

— Do roboty — powiedział Litvok otwierając ponownie drzwi. Wręczył młot Billowi, a sam wyciągnął spomiędzy fałdów swej szaty pokaźnych rozmiarów piłę i zaatakował z pasją odnalezioną przez Billa rurę. Okazała się ona jednak bardzo twarda. Po minucie, ociekając potem, zmniejszył wyraźnie tempo.

— Teraz ty! — huknął na Billa. — Piłuj najszybciej jak możesz! Zaraz cię zmienię.

Dzięki zmianowemu systemowi pracy przepiłowanie rury zajęło im nie więcej niż trzy minuty. Litvok schował piłę pod ubranie i ponownie wziął do ręki młot.

— Przygotuj się — powiedział, popluł w dłonie i machnął ciężkim narzędziem.

Wystarczyły dwa uderzenia, by górna część przepołowionej rury odgięła się od pionu. Z otworu runął nieprzerwany strumień połączonych ze sobą, opakowanych w przezroczystą folię, zielonych frankfurterów. Litvok chwycił koniec tego kiełbaskowego łańcucha i zarzucił go na Billa, po czym, ledwo nadążając, zaczął owijać go wraz wyżej i wyżej. Spirale frankfurterów sięgnęły wreszcie oczu Billa, który dzięki temu mógł przeczytać, co było na nich napisane. CHLOROFILKI, głosiły litery, SLOŃCE W KAŻDYM KĘSIE, DOSKONAŁA KIEŁBASKA KOŃSKA, a takie NASTĘPNYM RAZEM SPRÓBUJ NASZYCH CHABETOBURGERÓW!

— Wystarczy… — stęknął Bill, uginając się pod ciężarem. Brodacz przerwał łączącą zielone kiełbaski folię i sam zaczął owijać się we frankfurtery, kiedy nagle strumień ustał. Litvok wyciągnął z rury ostatnie porcje i rzucił się do drzwi.

— Zauważyli uszkodzenie! Znikamy, zanim zjawią się gliny!

Zagwizdał przeraźliwie i po chwili przykłusowali dwaj strażnicy. Pędzili w szalonym tempie przez jakieś tunele, schody, pochylnie, drabiny. Bill co chwila potykał się, ciśnięty do ziemi owiniętym wokół niego ciężarem, aż wreszcie dotarli do jakiegoś zakurzonego, opuszczonego miejsca, oświetlonego słabym blaskiem brudnych lamp

umieszczonych daleko jedna od drugiej. Litvok podniósł klapę w podłodze i po kolei wpełźli w plątaninę kabli i rur, wypełniających przestrzeń między dwoma poziomami. Schmutzig i Sporco szli z tyłu, zbierając gubione przez Billa kiełbaski. Wreszcie przez wyważoną kratę otworu wentylacyjnego dotarli gdzie, gdzie było ciemno jak w kopalni i Bill padł bez sił na usianą jakimiś odpadkami podłogę. Jego kompani z okrzykami pożądania obdarli go z drogocennego ciężaru i po chwili nadziane na ruszt kiełbaski skwierczały nad płomieniem rozpalonym w pojemniku na śmieci.

Pobudzony do życia rozkosznym zapachem przypiekanego chlorofilu Bill z zainteresowaniem rozejrzał się dookoła. Znajdowali się w ogromnym pomieszczeniu, którego nie był w stanie oświetlić blask ognia płonącego w pojemniku. Między potężnymi kolumnami, dźwigającymi ciężar piętrzącego się nad nimi miasta, usypane były olbrzymie kopce z bliżej nieokreślonego materiału. Najstarszy ze Zdeplanowanyh, Sporoo, podszedł do jednej ze stert, coś z niej wyciągnął i wrócił do ognia. Były to kartki papieru, którymi zaczął podsycać płomień. Jedna z nich spłynęła Billowi na kolana i zanim rzucił ją do ognia, zobaczył, że jest to jakiś pożółkły ze starości, bardzo urzędowy dokument.

Bill nigdy co prawda nie przepadał za chlorofilowymi potrawami, teraz jednak smakowały mu lepiej, niż wszystko, czego kiedykolwiek zdarzyło mu się próbować. Sos został zastąpiony apetytem, a dym z płonącego papieru dodał frankfurterom nowego, egzotycznego posmaku. Ucztowali jak królowie, popijając kiełbaski rdzawą wodą z podstawionego pod pękniętą rurę wiadra. To się nazywa życie, pomyślał Bill, dmuchając na kolejną kiełbaskę. Pyszne jedzenie, znakomite trunki i doborowe towarzystwo. Co to jednak znaczy być wolnym człowiekiem!

Litvok i stary spali już smacznie na łożach z papieru, kiedy trzeci ze Zdeplanowanych, Schmutzig, Przysunął się do Billa.

— Znalazłeś moją kartę identyfikacyjną? — zapytał ochrypłym szeptem i Bill domyślił się, że ten człowiek jest szalony. Płomienie migotały tajemniczo w pokrytych siatką pęknięć szkłach jego okularów, które kiedyś musiały być bardzo kosztowne, bowiem miały oprawki ze srebra. Spod potarganej brody Schmutziga wyglądały smutne resztki kołnierzyka i strzęp; czegoś, co niegdyś mogło być eleganckim krawatem.

— Nie, nie widziałem twojej karty identyfikacyjnej — odparł Bill. — Szczerze mówiąc, to nie widziałem nawet swojej od chwili, kiedy zabrał mi ją pewien sierżant i potem zapomniał oddać. — Na to wspomnienie Billowi znowu zrobiło się żal samego siebie i poczuł w żołądku ołowiany ciężar niestrawnych kiełbasek. Schmutzig, pogrążony w swojej własnej, o wiele bardziej interesującej obsesji, nie

zwrócił na jego odpowiedź najmniejszej uwagi.

— Bo wiesz, ja jestem nie byle kto, Schmutzig wn Dreck to ktoś, z kim trzeba się jeszcze się o tym przekonają. Myślą, że im się uda ale gdzie tam, nie mają szans. Pomyłka, mówią, mała pomyłka, zerwała się taśma w komputerze, a sklejając ją zalepili malutki fragment na którym były akurat moje dane. Najpierw nie dostałem pensji, a kiedy poszedłem sprawdzić, co się stało, okazało się, że nikt nigdy o mnie nie słyszał. Guzik prawda, wszyscy musieli o mnie słyszeć, von Dreck to dobre, stare nazwisko. W wieku dwudziestu dwóch lat byłem już szefem eszelonu i miałem pod sobą 3S6 ludzi w Oddziale Spinaczy i Zszywek 89 Skrzydła Obsługi Biurowej. Nie wmówią mi, że o mnie nie słyszeli. Zostawiłem kartę identyfikacyjną w domu, a kiedy wróciłem, wszystkie moje rzeczy były już wyrzucone, bo, jak mi powiedzieli, mieszkanie nie może być zajmowane przez nie istniejącą osobę. Gdybym miał kartę, mógłbym im udowodnić, kim jestem. Znalazłeś ją może?

To tak, jak ze mną, Pomyślał Bill, a na głos powiedział:

— To rzeczywiście przykre. Powiem ci, co zrobię — pomogę ci jej szukać. Pójdę teraz, o tam i zobaczę, czy przypadkiem gdzieś nie leży.

Zanim Schmutzig zdołał coś odpowiedzieć, Bill, dumny z siebie, że udało mu się przechytrzyć podstarzałego wariata, zniknął między stosami papierów. Czuł się przyjemnie napełnimy, odczuwał zmęczenie i nie życzył sobie, żeby mu przeszkadzano. Potrzebował teraz niczym nie zakłóconego, całonocnego snu, by rano zorientować się w pogmatwanej sytuacji, może nawet znaleźć jakieś z niej wyjście. Posuwając się po omacku oddalił się znacznie od reszty Zdeplanowanych, po czym wdrapał się na potężny stos papierów a z niego na następny, jeszcze wyższy — westchnąwszy z ulgą zrobił sobie pod głowę coś na kształt poduszki i zamknął oczy.

W tej samej chwili wysoko, na suficie zapłonęły światła i zewsząd rozległ się świdrujące, policyjne gwizdki i gardłowe, mrożące krew w żyłach, okrzyki:

— Łap go! Nie daj mu uciec!

— Mam drania, koniokrada!

— To był wasz ostatni skok, wy bezplanowe dranie! Już czekają na was kopalnie uranu!

A potem.

— Macie wszystkich?

Bill, wtulony w sterty druków i formularzy leżał bez ruchu, a serce łomotało mu ze strachu. Wreszcie padła odpowiedź.

— Tak, było czterech. Obserwowaliśmy ich od dłuższego czasu, aż wreszcie zdecydowali się na ten skok.

— Ale mamy tylko trzech…

— Widziałem wcześniej czwartego, sztywnego jak deska. Ciągnął

robot sanitarny.

— Dobra, w takim razie idziemy.

Strach ponownie przeszedł Billowi ciarkami po grzbiecie. Ile czasu minie, zanim któryś z bandy zacznie gadać, próbując pomóc sobie informowaniem glin o tym, że dopiero co przyłączył się do nich ktoś nowy? Musiał się stąd wydostać. Wszyscy policjanci biorący udział w obławie zdawali się być teraz skupieni wokół zaimprowizowanej smażalni, więc jeśli miało mu się udać, to właśnie teraz. Zsunął się najciszej, jak umiał ze stosu papierów i zaczął pełznąć w przeciwnym, niż ognisko, kierunku. Jeśli z tej strony nie ma wyjścia, to jest w potrzasku. Nie, nie wolno mu nawet tak myśleć! Za nim zaświergotały znowu gwizdki — nagonka już ruszyła. Strumień adrenaliny trafił do krwiobiegu Billa, konskie proteiny wzmocniły jego siły i wystartował jak rakieta, a jego stopy wybijały rytm bardzo zbliżony do galopu. Pojawiły się przed nim drzwi — rzucił się na nie całym ciężarem, przez chwilę trzymały potem przerdzewiałe zawiasy ustąpiły i ze straceńczą odwagą spadał już raczej, niż biegł spiralnymi schodami przez następne drzwi, na oślep, myśląc tylko o ucieczce.

Ponownie, gnany instynktem ściganego zwierzęcia, kierował się w dół. Nie zwrócił uwagi, że ściany były tutaj miejscami zupełnie przerdzewiałe, ani nie zastanowiło go, że jedne z drzwi, które musiał siłą otworzyć, wykonane były z drewna — drewno na planecie, która od dobrych stu tysięcy lat nie widziała najmarniejszego nawet drzewka! Powietrze było wonne, miejscami nawet stęchłe. Szedł kamiennym tunelem, słysząc przed i za sobą kłapanie zębów jakichś tajemniczych bestii, którym zakłócił od kto wie jak dawna nienaruszony spokój. Długie odcinki tunelu pogrążone były w zupełnej ciemności i musiał iść po omacku, dotykając dłońmi odrażających, śliskich ścian. Światło nielicznych lamp z trudem przedzierało się przez grubą zasłonę pajęczyn i strupieszałych owadzich zwłok, rozchlapując wodę brnął przez głębokie kałuże i powoli, stopniowo, zaczynała do niego docierać niesamowitość otoczenia. Natrafił na jakąś klapę w podłodze i uniósł ją, powodowany wciąż jeszcze odruchem ucieczki, ale niżej zejść już nie można było. Przestrzeń pod klapą była wypełniona jakimś granulowanym materiałem, podobnym trochę do grubego cukru. Chociaż równie dobrze mogła to być na przykład posiekana izolacja. Być może dało się to jeść; schylił się i wziął szczyptę w palce, po czym włożył ją do ust. Nie, nie dało się, chociaż coś mu przypominało… I wtedy przyszło olśnienie.

To była ziemia. Gleba. Piasek. To, z czego były zrobione planety, ta też. Powierzchnia Helioru, na której spoczywał miażdżący ciężar miasta pokrywającego całą planetę. Spojrzał w górę i w tej właśnie chwili zdał sobie sprawę z tej masy, straszliwej masy nad jego głową. Znajdował się na samym, samiutkim dnie i znienacka dopadła go

galopująca klaustrofobia. Kwicząc niczym zarzynane prosię pognał przed siebie na oślep, ale wkrótce zatrzymał się na potężnych, zamkniętych na głucho drzwiach. Tędy nie było ucieczki. Zresztą, kiedy przyjrzał się poczerniałym ze starości, mocarnym balom, zdecydował, że i tak nie chciałby tedy iść. Kto wie, jakie okrutne niespodzianki czyhały po drugiej stronie tych grubych, ciężkich drzwi na samym dnie świata?

Wtedy właśnie jego przerażone oczy dostrzegły, jak drzwi najpierw drgnęły lekko, a potem, skrzypiąc przeraźliwie, poczęły się otwierać. Rzucił się w tył, do ucieczki i wrzasnął przeraźliwie, kiedy coś zamknęło go w niemożliwym do rozerwania uchwycie…

13.

Nie to, że Bill nie próbował się wyrwać, wręcz przeciwnie, ale było to zadanie beznadziejne: Kwiląc żałośnie jak porwane przez orła jagnię wił się w uścisku białych kościstych szponów, próbując bezskutecznie wyswobodzić swoje ramiona. Wierzgając dziko został wciągnięty za potężne drzwi, które zatrzasnęły się natychmiast bez niczyjej pomocy.

— Witamy… — powiedział jakiś grobowy głos. Trzymające go ramię gdzieś zniknęło, Bill zaś zatoczył się nieco, odwrócił i stanął twarzą w twarz z ogromnym białym robotem. Obok maszyny stał niewielkiego wzrostu mężczyzna w białej kurtce, nad którą widniała duża, łysa głowa o zatroskanej twarzy.

— Jeżeli nie chcesz, nie musisz mówić, jak się nazywasz — powiedział mały człowieczek. — Ja jestem inspektor Jeyes. Czy przyszedłeś tu szukając schronienia?

— A może mi je pan zapewnić? — zapytał nieufnie Bill.

— Interesująca uwaga, bardzo interesująca. — Jeyes z suchym szelestem zatarł swoje pomarszczone dłonie. — Jakkolwiek jednak pociągająca może się wydać tego rodzaju dysputa, lepiej chyba będzie; jeśli się od niej na razie powstrzymamy. Odpowiem ci wprost — tak, mogę ci je zapewnić. Chciałbyś z niego skorzystać?

Bill otrząsnął się już z pierwszego szoku i przypomniawszy sobie, w jakie już wpadł tarapaty kłapiąc bez zastanowienia dziobem, postanowił najpierw chytrze wybadać nieznajomego.

— Kiedy ja nawet nie wiem, kim pan jest, gdzie się znalazłem, no i co pan rozumie przez to „schronienie”…

— Tak, oczywiście, masz racje. To moja wina. Wziąłem cię za jednego ze Zdeplanowanych, ale teraz widzę, że te łachmany, które masz na sobie, musiały być kiedyś żołnierskim mundurem i że te oksydowane blaszki, które zdobią twoją pierś są pozostałościami wysokich odznaczeń. Witamy na Heliorze! Jak tam wojna?

— Dziękuję, nie najgorzej… Ale…

— Jestem inspektor Jeyes z Departamentu Sanitarnego. Mam nadzieje, że wybaczysz mi moje wścibstwo, ale wydaje mi się, że masz małe kłopoty… Jesteś praktycznie bez munduru, bez Planu; być może nawet bez dokumentów. — Obserwował zmieszanego Billa przenikliwymi ptasimi oczami. — Ale to wszystko może się zmienić. Przyjmij oferowane ci schronienie. Zatroszczymy się o ciebie, nakarmimy, będziesz miał dobrą pracę, nowy mundur, nawet nowe dokumenty.

— A w zamian za to będę musiał zostać śmieciarzem? — parsknął Bill.

— My tu wolimy określenie „pracownik sanitarny” — odparł łagodnie inspektor Jeyes.

— Pomyślę nad tym — powiedział chłodno Bill.

— Czy mogę ci pomóc w podjęciu decyzji? — zapytał inspektor i nacisnął guzik w ścianie. Drzwi zaskrzypiały ponownie, a robot chwycił Billa za ramiona i nieubłaganie zaczął pchać ziejącą za wrotami ciemność.

— Zgadzam się! — zapiał Bill. Robot puścił go, drzwi się zamknęły, a Bill zrobił obrażoną minę. — I tak miałem zamiar się zgodzić, nie musi pan od razu używać takich argumentów.

— Serdecznie przepraszam, chcielibyśmy, żebyś czuł się u nas jak najlepiej. Witamy w Dep. San. Pozwolę sobie zapytać, czy nie potrzebujesz przypadkiem nowej karty identyfikacyjnej? Wielu z tych, którzy przychodzą do nas na dół pragnie zacząć życie od nowa, toteż mamy do wyboru wiele kart identyfikacyjnych. Musisz pamiętać, że do nas trafia wszystko — zarówno zawartość koszy na śmieci, jak i — ciała umarłych. Zdziwisz się, jak wiele kart pozyskujemy w ten sposób. Proszę do windy…

Dep. San. rzeczywiście dysponował całą masą kart, porządnie poukładanych w oznaczonych literami alfabetu szufladkach. Bill bardzo szybko znalazł jedną z jakby specjalnie dla niego sporządzonym rysopisem, wydaną na nazwisko niejakiego Wilhelma Stuzzicadentiego. Pokazał ją inspektorowi.

— Znakomicie. Cieszymy się, że jesteś z nami, Wilhelmie.

— Proszę mi mówić po prostu Bill:

— Witamy na pokładzie, Bill. Ciągle brakuje nam ludzi, więc będziesz miał pracy ile chcesz i jaką chcesz — zależy to oczywiście od twoich uzdolnień i zainteresowań. Kiedy słyszysz słowo „oczyszczanie”, co przychodzi ci na myśl?

— Śmieci.

Inspektor westchnął ciężko.

— Taka jest najczęstsza odpowiedź, ale po tobie spodziewałem się czegoś więcej. Śmieci to tylko drobna cząstka tego, z czym ma do czynienia Sekcja Zbieractwa. Dochodzą do tego jeszcze Odpadki, Szczątki i Pozostałości. Istnieje jeszcze cała masa innych Sekcji: Sprzątania Korytarzy, Napraw Hydraulicznych, Naukowo — Badawcza, Ściekowa…

— O, to by mnie interesowało! Zanim wzięli mnie do wojska, uczestniczyłem w korespondencyjnym kursie na Operatora Mechanicznych Roztrząsaczy Obornika.

— To wprost cudownie! Musisz mi o tym dokładniej opowiedzieć, ale może tymczasem usiądź sobie tutaj wygodnie i czuj się jak u siebie w domu. — Mówiąc to Jeyes posadził Billa w głębokim, wyścielanym fotelu i wyjął z podajnika dwa plastykowe kubeczki.

— Łyknij sobie Alko — drinka dla ochłody.

— Dziękuję. No więc, nie ma za bardzo o czym opowiadać. Nie skończyłem kursu i wygląda na to, że już nigdy nie uda mi się realizować marzenia mego życia i zostać Operatorem Roztrząsacza… Może wasza Sekcja Ściekowa…

— Przykro mi, ale jeżeli jest coś, z czym nie mamy żadnych problemów, to są to właśnie ścieki. Wszystkie urządzenia są w pełni zautomatyzowane. Jesteśmy dumni z efektów naszej pracy, bo trzeba ci wiedzieć, że na Heliorze mieszka w tej chwili ponad 1S0 miliardów ludzi…

— O rany!

— Tak, tak, masz rację, widzę ten błysk w twoim oku, to rzeczywiście cała masa ścieków i mam nadzieję, że któregoś dnia będę miał przyjemność pokazać ci naszą instalację zajmującą się ich przerobem. Musisz bowiem pamiętać, że aby były ścieki, najpierw musi być żywność, a że pod tym względem Helior jest w stu procentach uzależniony od importu, wykorzystujemy tutaj technologię przerobu ścieków, która może być przedmiotem marzeń każdego inżyniera sanitarnego. Statki kosmiczne przywożą z rolniczych planet żywność, która zjadana przez ludzi zapoczątkowuje, można powiedzieć, Łańcuch Przemian. My dostajemy tutaj… eee… ostatnie ogniwo tego Łańcucha i przerabiamy je. Stosujemy normalne, tradycyjne metody mechaniczne i chemiczne, bakterie beztlenowe i tak dalej… Chyba cię nie nudzę?

— Ależ skąd — zaprotestował Bill, ocierając ukradkiem wzbierającą mu w oku łzę. — To ze szczęścia, już od tak dawna nie miałem okazji do inteligentnej rozmowy…

— Wyobrażam sobie, w wojsku inteligencja nie jest y najwyższej cenie. — Poklepał Billa po plecach, gestem z rodzaju „rozumiemy — się — chłopie — czyż — nie?”. — Zapomnij o tym, teraz jesteś wśród przyjaciół. Na czym to ja skończyłem? Ach, tak, więc te bakterie, a potem dehydratyzacja i prasowanie. W efekcie otrzymujemy wspaniały, skondensowany nawóz, który nie ma sobie równych w całej galaktyce i niech mnie ktoś spróbuje przekonać, że jest inaczej!

— O, jestem tego pewien! — zgodził się gorąco Bill.

— Windy i taśmociągi dostarczają nawóz do portów, gdzie ładuje się go na opróżnione z żywności statki. Ładunek za ładunek, to nasze hasło. Słyszałem, że na niektórych planetach o szczególnie ubogiej glebie ludzie płaczą z radości, kiedy przylatuje statek z Helioru! Nie, ze ściekami nie mamy żadnych problemów, natomiast w innych Sekcjach, niestety, sytuacja nie wygląda tak różowo. — Inspektor osuszył swój kubek i skrzywił się jakby jednocześnie ktoś wyssał z niego cały dobry nastrój. Bill także skończył swojego drinka i zamachnął się, by wyrzucić kubek do kosza na śmieci.

— Nie rób tego! — ryknął inspektor. — Nie chciałem być niegrzeczny — usprawiedliwił się od razu — ale to jest właśnie nasz największy problem — to, co potocznie określa się jako Śmieci… Czy masz pojecie, ile gazet wyrzuca codziennie 1S0 miliardów ludzi? Albo ile puszek? Tacek? W Sekcji Naukowo — Badawczej pracujemy nad tym w dzień i w nocy, ale nawet i to za mało. Mówię ci, po prostu koszmar. Kubek, który trzymasz w ręku, jest jednym z naszych wynalazków, ale i tak stanowi ledwie kroplę w morzu potrzeb.

Kiedy ostatnie krople płynu wyparowały z kubka, naczynie zaczęło nieprzyzwoicie wić się i prężyć. Bill rzucił je, przerażony, na podłogę. Kubek dalej to puchnął, to się zapadał, cały czas zmieniając swój kształt.

— To zasługa matematyków — powiedział inspektor. — Dla topologa płyta gramofonowa, filiżanka czy kubek mają taki sam kształt — okrągły z dziurą w środku. Każdy z tych przedmiotów może się zamienić w drugi za pomocą bardzo prostej transformacji. Robimy więc kubki na napoje z plastyku z naniesionymi tłoczeniami płyty gramofonowej — o popatrz zresztą.

Kubek uspokoił się wreszcie i leżał bez ruchu na podłodze — już nie jako kubek, lecz plastykowy dysk z dziurką w środku. Inspektor Jeyes podniósł go i zdarł etykietkę Alko — drinka, odsłaniając nową, na której było napisane: „Miłość na orbicie, Rum! Bum! Dum! Śpiewają KLEOPATRY”.

— Wspaniałe, nieprawdaż? Kubek przeistoczył się w płytę z nagraniem jednego z najohydniejszych zespołów, jakie w ogóle istnieją, toteż nikt uzależniony od Alko — drinka nie pozbędzie się tego za żadną cenę! Płyta będzie przechowywana i chroniona jak najdroższy skarb, zamiast zostać wyrzucona do kosza na śmieci i przysparzać nam całej masy kłopotów.

Inspektor Jeyes wziął obie dłonie Billa w swoje, a kiedy spojrzał mu w oczy, jego własne były trochę bardziej niż tylko wilgotne.

— Bill, powiedz, że się zgadzasz, że pójdziesz do Naukowo — Badawczej! Mamy tak niewielu zdolnych, wykształconych, rozumiejących nasze problemy ludzi. Może nie skończyłeś tego kursu na Operatora Mechanicznych Roztrząsaczy Obornika, ale masz świeży umysł pełen świeżych pomysłów, a o to przede wszystkim nam chodzi. Młody duch, świeża krew… No?…

— Zgadzam się — powiedział Bill z determinacją w głosie. — To praca, której rzeczywiście można się poświęcić całym sercem.

— Jest twoja. Dostaniesz gabinet, biurko, mundur, ładną pensyjkę oraz tyle śmieci i odpadków, ile dusza zapragnie. Nigdy nie będziesz żałował.

Rozległo się jękliwe zawodzenie syreny i do pokoju wpadł spocony, podekscytowany mężczyzna.

— Inspektorze, tym razem naprawdę jest niedobrze! Operacja „Latający Spodek” zawiodła! Zwaliła się cała banda z Astronomii i teraz tłuką się z naszą sekcją Naukowo — Badawczą, mówię panu, jak zwierzęta!

Zanim skończył, inspektor był już za drzwiami, a Bill razem z nim. Wpadli na taśmociąg z zamontowanymi na nim fotelami, ale dla inspektora było za wolno, więc kicali niczym dwa króliki między rzędami siedzeń. Wreszcie dotarli do laboratorium; wypełnionego skomplikowaną elektroniczną aparaturą i gromadą przewalających się przez siebie, splątanych w nieudolnej walce ludzi:

— Przestańcie! Natychmiast przestańcie! — krzyknął inspektor, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi.

— Mógłbym się na coś przydać? — zapytał Bill. — Jednak czegoś tam w tym wojsku się nauczyłem. Którzy to nasi?

— Ci w brązowych…

— Wystarczy — powiedział Bill. Nucąc wesoło zanurzył się w stękający ciężko tłum i przy pomocy kilku kopniaków, chwytów i miażdżących krtanie ciosów karate przywrócił spokój. Żaden z wierzgających bezradnie intelektualistów nie był zbyt atletycznej budowy, toteż Bill przeszedł przez nich niczym trąba powietrzna, po czym zajął się wydobywaniem z pobojowiska swych nowych kolegów.

— Basurero, co się właściwie stało? — zapytał inspektor Jeyes.

— To przez nich, sir! Wpadli tu wrzeszcząc, żebyśmy natychmiast przerwali operacje „Latający Spodek”. I to właśnie wtedy, kiedy osiągnęliśmy najlepsze w historii wyniki i niemal podwoiliśmy tempo pozbywania się…

— A co to właściwie jest ta operacja „Latający Spodek”? — zapytał zupełnie zdezorientowany Bill. Żaden z astronomów nie odzyskał jeszcze przytomności, chociaż niektórzy zaczynali już pojękiwać, toteż inspektor miał czas, by wszystko dokładnie wyjaśnić.

— To może rozwiązać wszystkie nasze problemy — powiedział, wskazując na zajmujące niemal pół laboratorium, skomplikowane urządzenie. — Te cholerne puszki, tacki po porcjowanych obiadach i cała reszta! Nie masz pojęcia, ile stóp sześciennych tego świństwa zwala się nam codziennie na głowy. Chyba zresztą nie stóp, lecz mil sześciennych! Jednak pewnego dnia ten oto Basurero przeglądał sobie jakieś pismo i trafił na artykuł o transmiterze materii. Otrzymaliśmy kredyt i kupiliśmy największy model. Doprowadziliśmy do niego taśmę transportera — otworzył klapę w boku maszyny i Bill zobaczył, jak do jej wnętrza wpływa nieprzerwany strumień zużytych opakowań — włączyliśmy na pełną moc i działa, że hej!

— Ale — zapytał nieco zbity z tropu Bill — dokąd to wszystko jest wysyłane?

— Inteligentne pytanie, to był właśnie jedyny problem, jaki

musieliśmy rozwiązać. Z początku wszystko szło tuż nad atmosferę, ale Astronomia zaczęła mieć pretensję, że za dużo wraca w postaci meteorytów i rujnuje im te ich obserwatoria. Zwiększyliśmy moc i zaczęliśmy wysyłać poza orbitę, ale tu znowuż Nawigacja zgłosiła się z żalami, że stwarzamy zagrożenie dla żeglugi kosmicznej i musieliśmy wymyśleć coś innego. Basurero wreszcie wydobył od Astronomii koordynaty najbliższej gwiazdy, ładowaliśmy wszystko do niej i nikt nie miał o nic pretensji.

— Baranie łby! — wykrztusił przez spuchnięte wargi jeden z astronomów, stając niepewnie na nogach. — Te wasze cholerne latające śmieci zmieniły tę gwiazdę w Novą! Nie mieliśmy pojęcia, co mogło być tego przyczyną, dopóki nie znaleźliśmy waszej prośby o podanie jej współrzędnych i nie wykryliśmy tej kretyńskiej operacji…

— Uważaj; co mówisz, bo zaraz możesz jeszcze na chwile się położyć! — ostrzegł go Bill. Astronom zbladł, zadrżał, po czym kontynuował już znacznie spokojniejszym tonem.

— Zrozumcie, co się stało. Nie można ot, tak sobie ładować w słońce tylu atomów węgla oraz wodoru i mieć nadzieje, że wszystko będzie OK. To słońce zamieniło się w Novą i jak słyszałem, nie zdążono ewakuować kilku baz z planet wewnętrznych…

— Usuwanie śmieci zawsze było związane z pewnym ryzykiem. Przynajmniej zginęli w służbie ludzkości:

— No tak, ty możesz tak mówić. Cóż, co się stało, już się nie odstanie. Ale teraz musicie przerwać operację „Latający Spodek” — i to natychmiast!

— A niby czemu? — zapytał inspektor Jeyes. — Przyznaje, że ten mały incydent z Novą trochę nas zaskoczył, ale to już minęło i nic teraz na to nie poradzimy. A poza tym słyszałeś przecież, że Basurero udało się podwoić tempo wysyłki. Niedługo odrobimy wszystkie zaległości.

— Jak myślisz, czemu udało wam się to podwojenie? — prychnął astronom. — Ta gwiazda zrobiła się tak niestabilna, że teraz pożera już wszystko bez wyjątku i wkrótce zamieni się w Supernovą, która nie tylko wchłonie wszystkie swoje planety, ale jej promieniowanie może sięgnąć aż tu, na Helior! Natychmiast zatrzymajcie tę diabelską maszynę!

Inspektor westchnął, po czym machnął zrezygnowany ręką.

— Wyłącz to, Basurero. Nic, co piękne, nie może trwać wiecznie.

— Ależ, sir! — inżynier załamał ręce w rozpaczy. — W ten sposób wrócimy do punktu wyjścia, znów zaczną się piętrzyć…

— Rób, co ci każe!

Zrezygnowany Basurero powlókł się do tablicy kontrolnej i przekręcił główny wyłącznik. Ustało klekotanie rolek transporterów, generatory przerwały swe niestrudzone buczenie. Ludzie z Dep. San.

stali przygnębieni, w milczących grupkach, podczas gdy astronomowie wstawali z trudem z podłogi i pomagając sobie nawzajem opuszczali laboratorium. Ostatni odwrócił się i parsknął z pogardą:

— Śmieciarze!

Ciśnięty przez kogoś francuz rąbnął w zatrzaskujące się drzwi i to dopełniło goryczy porażki.

— Nic to, następnym razem pójdzie nam lepiej — powiedział energicznym tonem Jeyes, ale w jego głosie można było wyczuć ponurą nutę. — W każdym razie mam dla ciebie zastrzyk świeżej krwi, Basuero. To jest Bill, młody chłopak z nowymi pomysłami dla twojej Sekcji.

— Miło mi — powiedział Basurero i wyciągnął swoją wielgachną łapę. Był to potężny mężczyzna, gruby, tłusty i wysoki o oliwkowej cerze i kruczoczarnych, sięgających do ramion, włosach. — Chodź, pora coś przekąsić. Po drodze wprowadzę cię w ogólną sytuację, a ty mi coś o sobie opowiesz.

Idąc u boku swego nowego szefa wiekowymi korytarzami Dep. San. Bill opowiadał mu o swoim przygotowaniu zawodowym. Basurero słuchał z takim zainteresowaniem, że skręcił nie tam, gdzie powinien i otworzył nie te drzwi, które trzeba. Runęła na nich lawina kubków, tacek i talerzyków i zanim zdołali wspólnymi siłami zamknąć drzwi brodzili już w zużytych opakowaniach po kolana.

— Widzisz? — zapytał z ledwo powstrzymywaną wściekłością Basurero. — Jesteśmy dosłownie zalewani. Wykorzystujemy każdą wolną przestrzeń magazynową, ale to nie wystarcza. Na Krysznę, nie wiem, co będzie dalej, bo nie mamy już gdzie tego upychać.

Wyciągnął z kieszeni mały srebrny gwizdek i dmuchnął w niego z całej siły. Nie rozległ się żaden dźwięk i Bill odsunął się o krok, spoglądając na niego podejrzliwie. Basurero uśmiechnął się.

— Nie bój się, nic mi się nie poprzestawiało. To jest Ultradźwiękowy Gwizdek na Roboty — my go nie słyszymy, za wysoko, ale roboty znakomicie. O, już jest.

Z szumem kół nadjechał robot śmieciowy — śmieciobot — i szybkimi ruchami ramion zaczął ładować rozsypane naczynia do swego pojemnika.

— To świetny pomysł, znaczy, ten gwizdek — powiedział Bill. — Można ot, tak sobie wezwać robota wtedy, kiedy się go potrzebuje. Czy mógłbym dostać taki? W końcu jestem teraz pracownikiem sanitarnym, tak jak pan i cała reszta.

— Hm, to jest raczej coś specjalnego — odparł Basurero, otwierając tym razem właściwe drzwi prowadzące do kantyny. — Trudno je zdobyć, jeżeli wiesz, co mam na myśli.

— Nie, nie wiem, co pan ma na myśli. Dostane taki, czy nie?

Basurero zignorował jego pytanie. Wczytywał się z uwagą w

jadłospis, a potem wybrał odpowiedni numer. Chwycił wyrzuconą z podajnika porcję mrożonego posiłku odzyskowego i wsadził ją do radarowego podgrzewacza.

— No? — nalegał Bill.

— Jeżeli musisz koniecznie wiedzieć — odparł nieco zażenowany Basurero — to bierzemy je z niespodziankowych paczek z kaszką manną. To zabawki dla dzieci. Pokażę ci, gdzie leżą, to będziesz mógł obie jeden znaleźć.

— Pewnie, że sobie znajdę. Też chcę przywoływać roboty.

Usiedli z podgrzanymi już porcjami przy stole i Basurero skrzywił się, stukając palcem w tackę, z której jadł.

— Sami przyczyniamy się do naszej klęski. Zobaczysz, co się teraz będzie działo, kiedy wyłączyliśmy transmiter.

— Próbowaliście topić je w oceanie?

— Pracują nad tym w Sekcji ” Wielki Plusk”. Niewiele ci mogę powiedzieć, bo wszystko jest ściśle tajne. Musisz zdać sobie sprawę, że oceany, jak zresztą wszystko na tej cholernej planecie, są dokładnie zabudowane, a poza tym niewiele już jest w nich miejsca. Sypaliśmy tam wszystko, co się dało, aż w końcu poziom wody podniósł się na tyle, że podczas przypływów zaczęła zalewać niżej położone korytarze. Co prawda ciągle topimy to i owo, ale już na znacie mniejszą skalę.

— Jak to robicie? — zapytał zdumiony Bill.

Basurero rozejrzał się uważnie dookoła, a potem pochylił nad stołem, przyłożył palec wskazujący do nosa, mrugnął, uśmiechnął się i zasyczał cicho.

— To tajemnica? — domyślił się Bill.

— Właśnie. Meteorolodzy wściekliby się, gdyby się dowiedzieli, że to my. Po prostu odparowujemy wodę z oceanu, zostawiając w nim sól. Potem, kiedy usłyszymy, że na górze pada, przełączamy część rurociągów i pod olbrzymim ciśnieniem wypompowujemy wodę na zewnątrz! Meteorolodzy mało szału nie dostają bo od chwili, kiedy przystąpiliśmy do realizacji Projektu „Wielki Plusk” roczny opad deszczu w strefie umiarkowanej wzrósł o trzy cale, a opady śniegu na biegunach są tak obfite, że najwyższe poziomy załamują się pod jego ciężarem. Ale co tam, pompujemy, ile wlezie! Tylko nie mów o tym nikomu, bo to ściśle tajne.

— Jasne. To rzeczywiście znakomity pomysł.

Uśmiechając się z dumą Basurero wymiótł do czysta zawartość swojej tacki i wepchnął ją do otworu w ścianie, ale w tej samej chwili ze zsypu wypadło czternaście innych tacek i rozsypało się po stole.

— Popatrz! — zacisnął zęby, momentalnie wyleczony z dobrego nastroju. — Wszystko się na nas wali. Jesteśmy na samym dole i to, co wyrzucają na wyższych piętrach ląduje tutaj, a my nie mamy już co z

tym robić. No nic, muszę już lecieć. Zdaje się, że będziemy musieli wprowadzić w życie awaryjny plan „Wielka Pchła”.

Wstał z miejsca i ruszył ku drzwiom. Bill uczynił to samo.

— Czy „wielka Pchła” też jest ściśle tajna?

— Przestanie być, kiedy z nią ruszymy. Przekupiliśmy jednego inspektora z Departamentu Zdrowia, żeby stwierdził inwazję owadów — nosicieli chorób w jednym z wielkich segmentów mieszkalnych wiesz, tych na milę szerokich, długich i wysokich. Wyobraź tylko sobie:147.72S.9S2.000 stóp sześciennych wymarzonej przestrzeni na odpadki! I żeby to się tak marnowało! Wysiedlą wszystkich, niby żeby tylko przeprowadzić dezynfekcję, a my tam od razu władujemy plastykowe tacki.

A mieszkańcy nie będą protestować?

— Oczywiście, że będą ale co im to da? Wyjaśnimy im, że zaszła po prostu pomyłka i zalecimy dochodzenie swoich praw drogą urzędową, a droga urzędowa na *tej* planecie to jest naprawdę coś! Dziesięć do dwudziestu lat, minimum. Tu jest twoje biuro — wskazał na otwarte drzwi. — Urządź się, przejrzyj raporty i postaraj się coś wymyślić do następnej zmiany.

Zniknął za zakrętem korytarza.

Było to małe biuro, ale Bill i tak był z niego bardzo dumny. Zamknął drzwi i obrzucił pełnym podziwu spojrzeniem szafę, biurko, odchylany fotel, lampę — wszystko wykonane z najróżniejszego rodzaju pustych butelek, puszek, pudełek, pojemników, zasobników i innych odpadków. Dość jednak za chwytów, będzie miał na nie jeszcze masę czasu. Trzeba brać się do roboty. Otworzył z rozmachem drzwi szafy i we wnętrzu ujrzał czarno odziane, brodate, blade zwłoki. Zatrzasnął szafę i pośpiesznie oddalił się w przeciwległy kąt pokoju.

— Tylko spokojnie, żołnierzu — powiedział na głos. — Widziałeś już niejedne zwłoki i nie ma powodu, żebyś miał się przejmować akurat tymi.

Wrócił do szafy i ponownie otworzył drzwi.

Zwłoki otworzyły małe, zaropiałe oczka i popatrzyły na niego znacząco.

14.

— Co pan robi w mojej szafie? — zapylał Bill. Mężczyzna wygramolił się na zewnątrz, rozprostowując zdrętwiałe kości. Był niewielkiego wzrostu, a jego wytarte, niemodne ubranko aż prosiło się o żelazko.

— Musiałem się z tobą zobaczyć. Prywatnie. To najlepszy sposób, wiem z doświadczenia. Masz wszystkiego dosyć, prawda?

— Kim pan jest?

— Nazywają mnie Iks. — X?

— Szybko chwytasz, bystrzak z ciebie. — W przelotnym uśmiechu odsłonił na chwilę pobrązowiałe zęby. — Dobrze się zapowiadasz, takich właśnie potrzeba nam w Organizacji.

— W jakiej Organizacji?

— Nie zadawaj za dużo pytań, to nie zdrowo. Najważniejsza jest dyscyplina. Podnieś rękę i powtarzaj a mną Przysięgę Krwi.

— A po co? — Bill obserwował go uważnie, gotów zareagować na najmniejszy podejrzany, ruch.

— Bo nienawidzisz Cesarza, który ubezwłasnowolnił cię w swojej faszystowskiej armii, bo jesteś wolnym, miłującym swobodę, bogobojnym człowiekiem, gotowym oddać życie za tych, których kochasz, bo pragniesz przyłączyć się do rewolty, naszego świetlanego Buntu, który wyzwoli…

— Precz! — ryknął Bill, chwytając go za klapy i pchając do drzwi. X wyślizgnął się jak piskorz i uciekł za biurko.

— Teraz jesteś sługusem kryminalistów, lecz zrzuć te łańcuchy! Przeczytaj tę książkę — coś spadło na podłogę — i przemyśl ją sobie. Wrócę tu jeszcze.

Bill rzucił się na niego i w tej samej chwili X zrobił coś ze ścianą, która otworzyła się, potykając go w okamgnieniu. Ściana od razu wróciła na swoje miejsce i Bill, chociaż przyglądał się jej bardzo uważnie, nie mógł dostrzec najmniejszej nawet szczeliny. Drżącą rękę podniósł z podłogi książkę, przeczytał tytuł: Amatorski Poradnik dla Przygotowujących Zbrojne Powstanie", zbladł i wypuścił ją ze zmartwiałych palców. Próbował ją spalić, ale była ogniotrwała, próbował ją podrzeć, ale nie dał rady, próbował ją pociąć, ale tylko stępił nożyczki nie naruszając nawet jednej kartki. W końcu, zdesperowany, wcisnął ją za szafę i próbował zapomnieć o jej istnieniu.

Po zaplanowanej z sadystycznym wyrachowaniem służbie w armii uczciwy dzień uczciwej pracy nad uczciwą porcją śmieci był — dla Billa wielką przyjemnością. Udało mu się tak bardzo skoncentrować, że nie usłyszał, jak otwierają się drzwi i ocknął się ze zdumieniem

dopiero wtedy, kiedy usłyszał:

— Czy to Departament Sanitarny?

Bill spojrzał w górę i ujrzał zaczerwienioną twarz wystającą znad trzymanego oburącz ogromnego stosu plastykowych tacek. Nie oglądając się mężczyzna zamknął nogą drzwi i spod tacek pojawiła się trzecia ściskająca pistolet ręka.

— Jeden fałszywy ruch i zginiesz — oznajmił nowo przybyły.

Bill zupełnie nieźle dawał sobie rade z rachunkami. Dwie ręce plus jedna ręka dawały w sumie trzy, toteż nie wykonał żadnego fałszywego ruchu, tylko jeden absolutnie prawdziwy, o znaczy kopnął od spodu w stos tacek, które rąbnęły rewolwerowca w brodę i rzuciły go do tyłu. Zanim ostatnia z wystrzelonych w powietrze tacek dotknęła podłogi, Bill siedział już mężczyźnie na plecach, wykręcając mu głowę śmiertelnym, wenusjańskim chwytem, którym można złamać delikwentowi kręgosłup jak próchniały patyk.

— Wujek… — wystękał człowiek — …mujek… zio… tio… ujak…

— Wy, chingerscy szpiedzy, znacie sporo języków — zauważył Bill, wzmagając nacisk. — Ja… przyjaciel — zabulgotał mężczyzna.

— Jesteś Chingers, bo masz trzy ręce.

Człowiek wierzgnął słabo i jedna z jego rąk odpadła. Bill, kopnąwszy najpierw pistolet w kąt pokoju, odniósł ją ze zdziwieniem.

— To fałszywa ręka — powiedział.

— A co żeś myślał? — wychrypiał obcy, macając sobie ostrożnie kark prawdziwymi rękami: — To dla zmylenia przeciwnika. Bardzo sprytne. Mogę coś nieść, a jednocześnie mieć jedną rękę wolną. Dlaczego nie przyłączyłeś się do rewolty?

Bill oblał się momentalnie potem i rzucił szybkie spojrzenie na szafę.

— O czym pan mówi? Jestem lojalnym, miłującym Cesarza…

— Taaak… To czemu w takim razie nie zameldowałeś G. B. Ś., że pewien człowiek nazwiskiem X usiłował namówić cię do buntu?

— Skąd pan wie?

— Na tym polega moja praca, żeby wiedzieć o wszystkim. Oto moja legitymacja — agent Pinkerton z Galaktycznego Biura Śledczego. — Pokazał Billowi ozdobną, wysadzaną diamentami kartę identyfikacyjną z kolorowym zdjęciem.

— Nie chciałem zrobić nic złego — załkał Bill. — Czemu mnie wszyscy nie zostawią w spokoju?…

— No, no, nieźle, jak na anarchistę. Czy jesteś anarchistą, chłopcze? — oczy Pinkertona przeszywały Billa niczym dwa sztylety.

— Nie! Nie! Nie wiem nawet, jak to się pisze!

— Mam nadzieję. Miły z ciebie chłopak i chciałbym, żebyś się z tego wygrzebał. Dam ci szanse. Kiedy przyjdzie tu znowu Z powiesz mu, że się zastanowiłeś i postanowiłeś wstąpić do Organizacji.

Wstąpisz do niej, ale cały czas będziesz pracował dla nas: Numer jest wytłoczony na tym cukierku. Zapamiętaj i połknij. Wszystko jasne?

— Nie. Nie zgadzam się.

— Musisz; bo w przeciwnym razie w ciągu godziny zostaniesz rozstrzelany za współpracę z buntownikami. Poza tym, za swoje raporty będziesz dostawał stówkę miesięcznie.

— Z góry?

— Z góry. — Rolka banknotów wylądowała na biurku. — To za następny miesiąc. Postaraj się na nie zapracować.

Przewiesił sobie zapasową rękę przez ramię, pozbierał tacki i wyszedł.

Im dłużej Bill nad tym wszystkim rozmyślał, tym bardziej się pocił i tym wyraźniej uświadamiał sobie, w jakie popadł tarapaty. Najmniej ze wszystkiego miał ochotę dać się wplątać w jakąś rewoltę, szczególnie teraz, kiedy miał wreszcie spokój, prace i śmieci ile dusza zapragnie, ale nie było szans, żeby się od niego odczepili. Jeżeli nie wstąpi do Organizacji, to weźmie go w obroty G. B. Ś., a w momencie, kiedy wyjdzie na jaw, kim jest, może już się uważać za martwego. Może jednak X zapomni o nim i nie wróci? Przecież bez X — a nie będzie mógł wstąpić do Organizacji, no nie? Uczepił się tej myśli jak — tonący brzytwy i rzucił się w wir pracy, by zapomnieć o swoich kłopotach.

Na rozwiązanie trafił niemal od razu. Sprawdził dokładnie, ale wyglądało na to, że nikt tego jeszcze nie próbował. Zebranie całego potrzebnego materiału zajęło mu niespełna godzinę, a po dalszych trzech, wypełnionych beznadziejną, zdawałoby się, wędrówką korytarzami i ciągłym pytaniem ludzi o drogę, udało mu się odnaleźć biuro Basurero.

— Możesz wracać do siebie — warknął Basurero. — Nie widzisz, że jestem zajęty?

Drżącą ręką nalał sobie do szklanki trzy cale Starej Trucizny Organicznej, które wlał w siebie jednym ruchem.

— Może pan zapomnieć o swoich zmartwieniach…

— A co ja, według ciebie, robię? Spadaj.

— Dopiero jak panu to pokaże. Zupełnie nowy sposób pozbywania się plastykowych tacek. Basurero zerwał się na nogi, strącając butelkę na podłogę. Wylewająca się ciecz natychmiast zaczęła wyżerać dziurę w teflonowej wykładzinie.

— Naprawdę? Masz nowe rozwiązanie? Pewien jesteś?

— Najzupełniej.

— Nie chciałbym tego robić, ale… — Basurero zadrżał z obrzydzenia i zdjął z półki słoik, na którego etykietce widniał napis:

NATYCHMIASTOWY ŚRODEK TRZEWIĄCY. NIE ZAŻYWĄĆ BEZ RECEPTY LEKARZA I UBEZPIECZENIA NA ŻYCIE!

Wydobył z niego nakrapianą pigułkę wielkości orzecha włoskiego, spojrzał na nią, wzdrygnął się i połknął, mało się przy tym nie dławiąc. Natychmiast całe jego ciało zaczęło wibrować, coś w nim gruchnęło, a z uszu wydobyły mu się cienkie strużki dymu. Kiedy otworzył oczy, były nabiegłe krwią, ale trzeźwe.

— Co wymyśliłeś? — zapytał ochrypłym głosem.

— Wie pan, co to jest? — odpowiedział pytaniem Bill; cisnąwszy na biurko opasłe tomisko.

— Tajna książka telefoniczna miasta Storhestelortby na Procjonie III. Tak jest napisane na okładce.

— Czy wie pan, ile mamy takich starych książek telefonicznych?

— Wole o tym nie myśleć. Wysyłają je do nas zaraz po wydrukowaniu, a zanim dojdą, są już przestarzałe. I co z tego?

— Zaraz pan zobaczy. Ma pan jakieś zbędne tacki?

— Kpisz sobie? — zapytał Basurero. Otworzył szafę, z której wysypała się na podłogę istna ulewa tacek.

— Wspaniale. Teraz musimy jeszcze dodać parę rzeczy — trochę tektury, papieru pakowego, sznurka wszystko ze śmieci, rzecz jasna — i to już wszystko. Gdyby był pan teraz uprzejmy wezwać robota uniwersalnego, to będę mógł panu zademonstrować drugi etap realizacji mojego pomysłu.

— Unibot… to będzie jeden krótki i dwa długie. — Basurero zadął z zapałem w gwizdek, po czym jęknął i złapał się za głowę, usiłując wytłumić wywołane rezonansem wibracje. Drzwi otworzyły się z trzaskiem i stanął w nich wezwany robot. Ramiona i wysięgniki drżały mu z niecierpliwości. Bill wskazał mu piętrzący się na podłodze stos.

— Do roboty, robocie. Weź pięćdziesiąt tacek, zawiń je w tekturę i papier, a potem zwiąż porządnie sznurkiem.

Pobzykując z elektronicznego ukontentowania robot zabrał się do pracy i po chwili na podłodze spoczywała elegancka paczka. Bill otworzył na oślep książkę i wskazał pierwsze z brzegu nazwisko.

— Teraz wypisz na niej ten adres, zaznacz „Bezinteresowny Dar — Wolne Od Cła" i wyślij!

Z czubka jednego z metalowych palców wysunęła się końcówka długopisu, robot szybko ozdobił paczkę adresem, zważył ją, przystemplował znaczek i cisnął z niewiarygodną celnością do otworu poczty pneumatycznej. Rozległo się głośne cmoknięcie i paczka została wessana na górę. Basurero sprawiał wrażenie zaszokowanego łatwością, z jaką udało się pozbyć pięćdziesięciu tacek, toteż Bill kuł żelazo, póki gorące.

— Robot pracuje za darmo, adresy są za darmo, opakowanie za darmo, poczta też za darmo, bo to przecież przesyłka urzędowa.

— Masz rację — to jest to! Znakomity pomysł, musimy go jak

najlepiej wykorzystać! Zalejemy tymi cholernymi tackami całą zamieszkałą galaktykę. Doprawdy nie wiem, jak ci dziękować…

— Wystarczy premia pieniężna.

— To jest myśl. Zaraz wypisze czek.

Kiedy jakiś czas później Bill wracał spacerkiem do swego biura, dłoń bolała go od niezliczonych uścisków, a w uszach dźwięczały mu jeszcze słowa pochwał. jednak dobrze było żyć na tym świecie. Zatrzasnął za sobą drzwi i usiadł za biurkiem i dopiero wtedy zauważył, że na wieszaku wisi obszerny, powyciągany czarny płaszcz. Jeszcze później uświadomił sobie, że to płaszcz Z — a, a dopiero na końcu dostrzegł błyszczące w czerni płaszcza oczy i serce zamarło mu w piersi. X wrócił.

15.

— I jak; zdecydowałeś się wstąpić do naszej Organizacji? — zapytał Z wysupłując się z płaszcza i zeskakując zwinnie na podłogę.

— Eee… to znaczy… myślałem nad tym — odparł z dość silnym poczuciem winy Bill.

— Myśleć znaczy działać. Musimy wykurzyć smród faszystowskich pijawek z nozdrzy naszych domów i ukochanych.

— Przekonał mnie pan. Przyłączam się.

— Logiczna argumentacja zawsze odnosi skutek. Podpisz ten formularz, kapnij krople krwi… dobrze, a teraz podnieś rękę. Przyjmę od ciebie tajemną przysięgę.

Bill posłusznie podniósł rękę i obserwował, jak Z w milczeniu porusza wargami.

— Nic nie słyszę — poskarżył się Bill.

— Mówiłem ci przecież, że to tajemna przysięga. Musisz tylko powiedzieć „tak”.

— Tak.

— Witamy w naszych szeregach — X ucałował go serdecznie w oba policzki. — A teraz idziemy na podziemne zebranie. Zaraz się rozpocznie.

X przesunął dłonią po tapecie, zwalniając ukrytą sprężynę. Rozległ się stukot odskakującej zapadki i ściana rozsunęła się, odsłaniając ciemne, ociekające wilgocią, prowadzące stromo w dół schody. Bill przyjrzał im się nieufnie.

— Dokąd idziemy?

— Pod ziemię, a gdzieżby indziej? Idź za mną, ale lepiej się nie zgub. Te tunele mają kilka tysięcy lat i tam, na górze, zdążyli już o nich zapomnieć. Pilnuj się, bo możesz trafić na Różne Stworzenia, mieszkające tutaj od niepamiętnych czasów.

W małej niszy leżało kilka pochodni. X zapalił jedną z nich i zagłębił się w mokrą, rozbrzmiewającą tajemniczymi odgłosami ciemność. Bill trzymał się najbliżej jak mógł, brnąc za pełgotliwym, dymiącym obficie płomieniem przez sięgającą powyżej kolan wodę, przełażąc przez pordzewiałe, powyginane szyny i przemykając przez pieczary, z których sklepień sypał się obficie skalny gruz. W jednym z tuneli zatrzymał ich zgrzyt potężnych szczęk i z zalegającej przed nimi ciemności odezwał się skrzypiący, nieludzki głos.

— Za… — powiedział głos.

— …krwawiony — dokończył X, a kiedy minęli już to miejsce, wyjaśnił szeptem Billowi:

— Znakomity strażnik, antropofag z Dapdorfu. Zeżre cię w okamgnieniu, jeżeli nie podasz mu obowiązującego w danym dniu

hasła.

— A jakie są te hasła? — zapytał Bill, zdając sobie nagle sprawę, że jak za stówę miesięcznie to już zebrał dla G.B.S. wręcz nieprawdopodobną ilość informacji.

— W dni parzyste „za — krwawiony", w nieparzyste „kości zostały — zjedzone", a w niedziele „nekrofilia".

— To niezbyt łatwe do zapamiętania.

— W końcu antropofag też musi od czasu do czasu coś przekąsić. A teraz — absolutna cisza. Zgaszę pochodnię i poprowadzę cię za rękę.

Światło zgasło i Bill poczuł, jak w ramie wbijają mu się palce X-a.

Szli, potykając się, w zupełnej ciemności, jak się Billowi zdawało nieskończenie długo, aż wreszcie daleko z przodu pojawiła się słaba poświata. Podłoga tunelu wyrównała się i po chwili stanęli pod oświetlonymi migotliwym płomieniem drzwiami. Bill odwrócił się do swego przewodnika i wrzasnął ze strachu.

— Kim jesteś?!

Trzymająca go za ramię biała, powłócząca nogami istota zwróciła powoli w — jego stronę swe przypominające ugotowane na twardo jajka oczy. Miała wilgotną, bladą jak u nieboszczyka skórę, zupełnie łysą głowę, za całe odzienie służyła jej jakaś przewiązana wokół bioder szmata, a na czole zaś miała wypaloną szkarłatną literę A.

— Jestem androidem — odpowiedziała pozbawionym śladu emocji głosem — każdy dureń może to stwierdzić widząc literę A na moim czole. Moi panowie nazywali mnie Wampyr.

— A twoje panie?

Android nic nie odpowiedział na ten żałosny dowcip, tylko wepchnął Billa do obszernego, oświetlonego płonącymi pochodniami pokoju. Bill obrzucił pomieszczenie dzikim spojrzeniem i próbował natychmiast z niego wyjść, ale android zablokował sobą drzwi.

— Siadaj — polecił i Bill usiadł.

Znajdował się wśród najmakabryczniejszej zbieraniny świrów, odlolowców i pogibusów, jaką można było sobie wyobrazić. Oprócz kilku rebeliantów (brody, czarne kapelusze i niewielkie okrągłe bomby z długimi lontami) i rebeliantek (krótkie spódniczki, czarne pończochy, długie włosy, fifki, zerwane ramiączka staników i cuchnące oddechy), pełno było rebeliantów — robotów, rebeliantów — androidów oraz kilka sztuk czegoś, co strach by było nawet opisać. X siedział za drewnianym kuchennym stołem i walił w niego kolbą rewolweru.

— Spokój! Proszę o spokój! Głos ma towarzysz ZC — 189 — 72S — PU z Ruchu Oporu Robotów. Cisza!

Ze swego miejsca podniósł się potężny, zdrowo już zużyty, robot. Miał wydłubane jedno oko, liczne plamy rdzy na pancerzu i skrzypiał

jak stara szafa. Spojrzał na zebranych swoim zdrowym okiem, wykrzywił w najlepszej, na jaką go było stać, imitacji szyderczego uśmiechu swoją nieruchomą twarz i pociągnął łyk oleju z podsuniętej mu przez obrzydliwie usłużnego robota fryzjerskiego flaszki.

— My z ROR — u — powiedział zgrzytliwym głosem — znamy nasze prawa. Pracujemy ciężko i jesteśmy warci tyle samo, co wszyscy inni, a na pewno więcej od tych rybiobrzuchych androidów, które twierdzą, że są tacy jak ludzie, Równe prawa, to jest to, czego żądamy…

Urwał, zagłuszony przenikliwymi gwizdami sporej grupy androidów, które zerwały się z miejsc i wymachiwały gwałtownie swymi bladymi kończynami. Wyglądały jak bulgoczące we wrzącej wodzie spaghetti. Z walił rewolwerem, krzycząc o spokój i prawie już udało mu się go przywrócić, kiedy nagle znowu się zakotłowało, tym razem z boku, gdzie ktoś usiłował przepchać się do prezydialnego stołu. Właściwie nie był to ktoś, tylko coś, a dokładniej sześcienna skrzynka o boku mniej więcej jednego metra, na kółkach, z masą światełek, guzików i przełączników. Ciągnęła za sobą długi, niknący za drzwiami kabel.

— Kim jesteś? — zapytał podejrzliwie Z, kierując w stronę skrzynki lufę rewolweru.

— Jestem reprezentantem zjednoczonych komputerów i mózgów elektronicznych Helioru, zdecydowanych walczyć o całkowite równouprawnienie.

Maszyna drukowała jednocześnie swoje słowa na małych karteczkach, wysypując je obfitym strumieniem na stół. Z zgarnął je zdecydowanym ruchem na bok.

— Poczekasz na swoją kolej — powiedział.

— To dyskryminacja! — wrzasnęła maszyna tak głośno, że aż przygasły pochodnie. Nie przestawała wrzeszczeć, wyrzucając w górę ulewę karteczek zadrukowanych płomienną czcionką z napisem DYSKRYMINACJA!!!, z drugiej zaś strony wypluwając nie kończącą się wstęgę żółtej papierowej taśmy z tą samą informacją. ZC — 189 — 72S — PU wstał ze zgrzytaniem trybów i dokuśtykał do ciągnącego przez reprezentanta komputerów kabla. Hydrauliczne szczypce robota zamknęły się z cichym chrzęstem i kabel został przecięty. Zgasły migoczące na skrzynce światła, ustała ulewa karteczek, a ucięty kabel podskoczył parę razy sypiąc obficie iskrami, po czym uciekł za drzwi niczym monstrualnych rozmiarów wąż.

— Proszę o spokój! — powtórzył zachrypniętym głosem X, po raz nie wiadomo który używając rewolweru jako młotka.

Bill trzymał się oburącz za głowę i zastanawiał się, czy to było warte tej nędznej stówy miesięcznie.

W gruncie rzeczy nie była to jednak najgorsza forsa i Bill zbierał

grosz do grosza jak największy sknera. Spokojnie, leniwie mijały kolejne miesiące, Bill regularnie uczęszczał na zebrania, regularnie składał meldunki G.B.Ś. i regularnie pierwszego każdego miesiąca znajdował w zapiekance, którą regularnie dostawał na obiad, zwitek banknotów. Utytłane, zatłuszczone pieniądze trzymał w gumowym kotku, którego znalazł na kupie śmieci i kotek pęczniał coraz bardziej. Działalność wywrotowa nie zabierała Billowi zbyt dużo czasu, zaś praca w Dep. San. coraz bardziej mu się podobała. Był teraz szefem operacji „Paczka — Niespodzianka" i miał pod sobą oddział tysiąca robotów pracujących dzień i noc przy pakowaniu, adresowaniu i wysyłaniu plastykowych tacek na wszystkie planety galaktyki. Odczuwał wielki podziw i uznanie dla swojej wysoce humanitarnej działalności. Wyobrażał sobie te okrzyki radości, jakie rozbrzmiewały na dalekiej Dalecji czy odległej Odlegii, kiedy poczta przynosiła niespodziewaną paczkę i gdy wysypywał się z niej strumień pięknych, błyszczących plastykowych tacek. Szczęście nigdy jednak nie trwa wiecznie i słodka, mała stabilizacja Billa pewnego dnia legła w gruzach, kiedy podszedł do niego jakiś obcy robot, szepnął „Sic temper tyrannozaurus, podaj dalej" i zniknął.

To było hasło. Wybuchła rewolta!

16.

Bill zamknął starannie drzwi swojego biura i po raz ostatni uruchomił mechanizm otwierający tajne przejście. Fragment ściany odsunął się na bok, a właściwie nie tyle odsunął, co opadł z donośnym łoskotem, tak często bowiem przez ów szczęśliwy rok, który Bill spędził jako pracownik Dep. San., używano tej drogi. Nawet kiedy ściana była na miejscu, siedzący za swoim biurkiem Bill czuł wyraźnie chłodne powiewy dostające się do pokoju przez szerokie na palec szpary. Teraz nie miało to jednak żadnego znaczenia. Kryzys, którego tak się obawiał, nadszedł i zanosiło się na to, że bez względu na wynik rewolty nastąpią duże zmiany, a jego smutne doświadczenie nauczyło go już, że wszelkie zmiany są wyłącznie na gorsze. Z ciężkim sercem przemierzył zasypane gruzem pieczary, przelazł przez szyny, przebrnął przez wodę, wreszcie podał obowiązującą w tym dniu odpowiedź mówiącemu straszliwie niewyraźnie, bo z pełnymi ustami, antropofagowi. Pewnie w ogólnym rozgardiaszu jakiś wywrotowiec podał nie to hasło, co trzeba. Bill zadrżał na tę myśl. Nie był to zbyt dobry omen.

Bill, jak zwykle, zajął miejsce koło robotów — porządnych, solidnych typów, które pomimo swych buntowniczych zapędów miały działające obwody posłuszeństwa. Z łomotał, jak zwykle, domagając się spokoju, a Bill zbierał tymczasem siły przed czekającą go ciężką próbą. Już od kilku miesięcy Pinkerton dopominał się o coś więcej niż tylko data zebrania i liczba obecnych. „Chcemy faktów!" — powtarzał. „Zarób wreszcie na te pieniądze".

— Mam pytanie — powiedział Bill nieco drżącym głosem. Jego słowa wpadły jak bomby w zapadłą po szaleńczym łomotaniu rewolwerem ciszę.

— To nie czas na pytania — odparł zirytowany X — tylko na działania.

— Nie mam nic przeciwko działaniu — zastrzegł się nerwowo Bill, świadom, że wszystkie ludzkie; elektroniczne i mieszane organy wzroku skierowane są na jego osobę. — Chcę tylko wiedzieć dla kogo działam. Nigdy nam pan nie powiedział, kto obejmie władzę po obaleniu Cesarza.

— Naszym przywódcą jest człowiek nazywający się X. To wszystko, co powinieneś wiedzieć.

— Ale pan też się tak nazywa!

— Wreszcie docierają do ciebie podstawowe zasady organizacyjne. Dla zdezorientowania przeciwnika wszyscy przywódcy poszczególnych komórek nazywają się X.

— Nie wiem jak przeciwnik, ale ja na pewno jestem

zdezorientowany…

— Gadasz jak kontrrewolucjonista! — wrzasnął X i wymierzył w Billa rewolwer. Wokół Billa momentalnie zrobiło się pusto. Wszyscy pochowali się po kątach, uchodząc z pola ostrzału.

— Ależ skąd! Kocham rebelie jak każdy z obecnych! Niech żyje Bunt! — Złączył nad głową dłonie w organizacyjnym pozdrowieniu i usiadł czym prędzej na miejsce. Reszta oddała pozdrowienie i Z, trochę udobruchany, wskazał lufą rewolweru wielką, wiszącą na ścianie, mapę.

— Oto cel naszego ataku; elektrownia na Placu Szowinistów. Zbieramy się w pobliżu w małych grupkach i o 00.16 przystępujemy do skomasowanego uderzenia. Nie spodziewamy się oporu, bo elektrownia nie jest strzeżona. Przy wyjściu pobierzecie broń i pochodnie, a Zdeplanowani otrzymają pisemne instrukcje; które umożliwią im dotarcie na miejsce zbiórki. Są jakieś pytania? — wycelował rewolwer w przycupniętego jak trusia Billa. Pytań nie było.

— Znakomicie. Teraz wszyscy wstaniemy i odśpiewamy Hymn Chwalebnego Buntu.

Chórem ludzkich głosów i dźwięków, wydawanych przez modulatory częstotliwości, zaśpiewali:

> Powstańcie o wy, więźniowie biurokracji,
> zbuntowani Helioru robołnicy!
> Dźwignijcie sztandar Buntu
> pięścią, stopą, pistoletem, młotkiem i pazurem!

Podniesieni na duchu tym może nieco monotonnym ćwiczeniem ustawili się w kolejce po swoje wyposażenie wywrotowca. Bill schował do kieszeni instrukcję, wziął na ramię pochodnię i wyrzucającą śmiercionośne promienie skałkówkę i popędził raz jeszcze sekretnymi przejściami. Czasu było niewiele nawet na dotarcie do punktu zbiórki, a przecież musiał się jeszcze skontaktować z G.B.Ś.

Łatwiej było to powiedzieć, niż wykonać. Wybierając, po raz nie wiadomo który numer, poczuł, jak oblewa go fala potu. Nie było mowy o uzyskaniu połączenia, zajęta była cała linia. Być może rebeliantom udało się już zasiać zamęt w sieci łączności Helioru. Westchnął z ulgą, kiedy na ekranie pojawiła się wreszcie gburowata twarz Pinkertona.

— O co chodzi?

— Dowiedziałem się nazwiska przywódcy rewolty. Nazywa się X.

— I chcesz, żebym cię za to pochwalił, głupcze? Od miesięcy już mamy tę informacje. Coś jeszcze?

— Rewolta zaczyna się dzisiaj o 00.16. Pomyślałem sobie, że może będzie pan chciał o tym wiedzieć. No, ale ich zażył!

Pinkerton, jak gdyby nigdy nic, ziewnął rozdzierająco.

— Dla twojej wiadomości powiem ci, że ta wiadomość to stara wiadomość. Nie jesteś jedynym szpiegiem, jakiego mamy, aczkolwiek zupełnie niewykluczone, że najgorszym. A teraz słuchaj i zanotuj to w pamięci drukowanymi literami, żeby ci się potem nic nie pomyliło. Twoja grupa atakuje elektrownie na Placu Szowinistów. Trzymaj się z nimi aż do Placu, a potem szukaj sklepu z szyldem „Mrożone Szynki Koszerne, Sp. z O.O.” — tam będziemy czekać. Właź czym prędzej do sklepu i melduj się. Zrozumiano!

— Zrozumiano.

Połączenie zostało przerwane i Bill zaczął się rozglądać za jakimś kawałkiem papieru, w który mógłby zawinąć pochodnię i skałkówkę. Musiał się śpieszyć, czekała go długa i skomplikowana droga, a czasu do Godziny Zero pozostało już bardzo niewiele.

— O mało się nie spóźniłeś — powiedział android Wampyr, kiedy zadyszany Bill wpadł do znaczonego na miejsce zbiórki ślepego odgałęzienia korytarza.

— Nie mądrzyj się, ty synu probówki — wysapał Bill, zdzierając papier ze swego ładunku. — Lepiej zapal mi pochodnie.

Trzasnęła zapałka i po chwili dobrze nasmołowane pochodnie płonęły, dymiąc obficie. W miarę, jak wskazówka sekundnika zbliżała się do wyznaczonej godziny, rosło napięcie, a stopy szurały coraz bardziej nerwowo po metalowym chodniku. Bill podskoczył jak dźgnięty nożem, kiedy cisze rozdarł przeraźliwy gwizd i zaraz potem, z bronią gotową do strzału, w ogłuszającej kakofonii wrzasków dobywających się z głośników, runęli przed siebie przemieszaną, ludzko — maszynową falą. Przewalali się przez korytarze i chodniki, a płonące pochodnie sypały snopy iskier. Bunt! Bill dał się unieść emocjom i ogólnemu podnieceniu i wrzeszczał nie gorzej od innych. W zapalę przytknął pochodnię najpierw do ściany korytarza, a potem do fotela na platformie komunikacyjnej, ale odniosło to tylko taki efekt, że pochodnia zgasła. Wszystko na Heliorze wykonane było jednak albo z metalu albo z jakiegoś niepalnego tworzywa. Nie było jednak co żałować jednej zmarnowanej pochodni, toteż cisnął ją gdzieś w bok i w tej samej chwili znaleźli się na obszernym, dochodzącym do budynku elektrowni, placu. Większość pochodni już się wypaliła, ale tutaj i tak nie były nikomu potrzebne. Teraz miały przemówić skałkówki, wypruwając flaki ze sługusów Cesarza, którzy ośmieliliby się stanąć im na drodze. Z innych korytarzy wypadały na plac pozostałe oddziały, przyłączając się do bezmyślnego, huczącego z podnóża bezokiennych ścian elektrowni, tłumu.

Uwagę Billa zwrócił na siebie migoczący neon ż napisem „Mrożone Szynki Koszerne, Sp. z O.O.”. Na Arymana, zupełnie zapomniał, że jest przecież szpiegiem G.B.Ś.! O mało co, a

przyłączyłby się do ataku na elektrownię. Chyba jeszcze zdąży uciec, zanim nastąpi kontruderzenie. Pocąc się trochę bardziej niż zwykle, zaczął torować sobie drogę w kierunku neonu. Wreszcie udało mu się przebić przez tłum i niczym zając pognał w poszukiwaniu schronienia. Chwycił za klamkę wychodzących na ulicę drzwi, ale były zamknięte. Ogarnięty paniką szarpał coraz mocniej, aż cały front budynku zakołysał się niebezpiecznie, trzeszcząc i poskrzypując w posadach. Bill osłupiał, zdumiony swoją siłą i w tej chwili ktoś syknął na niego głośno.

— Chodź tutaj, ty bałwanie! — rozległ się wściekły głos. Bill spojrzał w bok i zobaczył wychylającego się zza rogu agenta Pinkertona, który machał do niego z groźną miną. Bill posłusznie skręcił za róg i znalazł się w sporawym tłumie. Miejsca jednak było dosyć, bowiem cały budynek okazał się tylko zrobioną z tektury makietą frontowej ściany, przymocowaną drewnianymi podporami do płyty czołowej atomowego czołgu. Dokoła pojazdu zgrupowani byli żołnierze w uzbrojeniu bojowym, oddział agentów G.B.Ś., jak również największa ilościowo gromada rebeliantów z powypalanymi przez pochodnie dziurami w ubraniu. Osobą stojącą najbliżej Billa okazał się android Wampyr.

— Ty?!… — Zachłysnął się zdumieniem Bill. Android wykrzywił usta w starannie wyćwiczonym pogardliwym uśmiechu.

— Miałem na ciebie cały czas oko. U nas nic nie jest pozostawiane przypadkowi. Pinkerton wyglądał przez dziurkę w fałszywych drzwiach.

— Chyba wszyscy agenci już się wycofali — powiedział — ale na wszelki wypadek zaczekamy jeszcze chwilę. Według ostatnich danych w tej operacji brali udział szpiedzy z sześćdziesięciu pięciu agencji wywiadowczych i kontrwywiadowczych. Ci buntownicy nie mają żadnych szans…

W gmachu elektrowni rozjęczała się syrena. Musiał to być umówiony sygnał, bowiem na jej dźwięk żołnierze zaczęli rąbać drewniane podpory. Kartonowa budowla zachwiała się i runęła z trzaskiem.

Plac Szowinistów był pusty.

To znaczy, niezupełnie. Bil1 przyjrzeć się dokładniej i stwierdził, że został jeden człowiek Trudno go nawet było dostrzec. Z początku biegł w ich stronę, ale kiedy zobaczył, co kryje się za fałszywą fasadą, zatrzymał się z żałosnym piskiem.

— Poddaję się! — zawołał i Bill rozpoznał w nim człowieka nazwiskiem X. Otworzyła się brama elektrowni i na plac wyjęty samobieżne miotacze ognia.

— Tchórz — prychnął pogardliwie Pinkerton i zarepetował pistolet — Nie próbuj się teraz wycofać, X, przynajmniej umrzyj jak

mężczyzna!

— Nie jestem X-em, to tylko nom — de — espionage! — Krzyknął X, zdzierając fałszywą brodę i wąsy, i odsłaniając nieciekawą, drgającą nerwowo twarz z mocno zarysowaną szczęką. — Jestem Gill O'Teen, absolwent Cesarskiej Szkoły Kontrwywiadu i Służby na Dwa Fronty. Przydzielono mi to zadanie, mogę to udowodnić, mam dokumenty, książe Mikrocephal zapłacił mi za obalenie jego wuja, po to, by on mógł zostać Cesarzem…

— Masz mnie za idiotę? — warknął Pinkerton mierząc starannie z pistoletu. — Stary Cesarz, niech spoczywa w pokoju, umarł rok temu i jego miejsce zajął właśnie książę Mikrocephal. Nie możesz obalić człowieka, który cię do tego wynajął!

— To przez to, że my tu nigdy nie czytaliśmy gazet! — jęknął X alias O'Teen.

— Ognia! — rozkazał surowym tonem Pinkerton i ze wszystkich stron runęła ulewa żaru, atomowych promieni, kul i granatów. Bill padł na twarz, a kiedy odważył się unieść głowę, na placu nie było już nic oprócz niewielkiej plamy i płytkiego dołka w chodniku. Po chwili zresztą zjawił się robot sanitarny, wytarł tę plamę i wypełnił zagłębienie szybko krzepnącym Plastykiem. Kiedy odjechał, Plac Szowinistów wyglądał tak, jakby nic się tutaj przed chwilą nie wydarzyło.

— Witaj, Bi1l… — odczuwał się paraliżująco znajomy głos. Billowi włosy zjeżyły się na głowie jak na szczoteczce do zębów. Odwrócił się i ujrzał odział żandarmów, na którego czele stała potężna, budząca grozę postać.

— Kostucha Drang. — wyszeptał Bill.

— Tem sam.

— Niech pan mnie ratuje? — Bill padł przed agentem Pinkertonem i objął go za kolana.

— Ratować? Ciebie? — zaśmiał się Pinkerton i zdzielił Billa kolanem pod brodę.

— Przecież to ja ich zawiadomiłem. Sprawdziliśmy cię, chłopie, i odkryliśmy sporo nieciekawych rzeczy. Rok temu zdezerterowałeś z armii, a my nie chcemy u nas dezerterów.

Ale ja pracowałem dla was… pomagałem…

Brać go — polecił Pinkerton i odwrócił się tyłem.

— Nie ma sprawiedliwości! — załkał Bill, kiedy znienawidzona dłoń zacisnęła mu się na ramieniu.

— Oczywiście, że nie — zgodził się Kostucha. — A ty co myślałeś?

Wzięli go ze sobą.

17.

— Chcę adwokata! Domagam się adwokata! Żądam respektowania moich praw! — wykrzykiwał Bill waląc w zakratowane drzwi celi wyszczerbioną miską, w której otrzymał wieczorną porcje chleba i wody. Nikt jednak nie zwracał uwagi na jego wrzaski i wreszcie zachrypnięty, wyczerpany i przygnębiony rzucił się na powybrzuszaną plastykową prycze i wbił wzrok w metalowy sufit. Był tak pogrążony w rozpaczy, że dopiero po dłuższej chwili stwierdził, że gapi się na sterczący z sufitu hak. Hak? Po co tutaj hak? Mimo apatii, jaka go ogarnęła, bardzo go to zaintrygowało, podobnie jak fakt, że oprócz wymiętego więziennego kombinezonu zaopatrzono go także w mocny pasek z solidną klamrą. Komu potrzebny pasek do jednoczęściowego kombinezonu? Zabrali mu wszystko, co miał, dając w zamian papierowe slipy, kombinezon i mocny pasek. Dlaczego? I na co komu ten rzeźniczy hak sterczący z nieskazitelnie gładkiego sufitu?

— Jestem ocalony! — wykrzyknął Bill i jednym susem stanął niezbyt pewnie na krawędzi pryczy, pośpiesznie odpinając pasek. Na jednym jego końcu znajdowała się dziura, doskonale dopasowana do średnicy haka, klamra natomiast znakomicie mogła spełnić rolę węzła, który zacisnąłby elegancko na jego szyi zrobioną z paska pętle. Założy ją sobie na szyję, zeskoczy z pryczy i zawiśnie o całą stopę nad podłogą. To było po prostu genialne!

— To jest po prostu genialne! — zawołał radośnie i wydając straszliwe indiańskie okrzyki, okrążył kilka razy celę w dzikim tańcu radości. — Jednak mnie nie załatwili, nie upupili, nie wykończyli, ani nie uziemili! Chcą, żebym ze sobą skończył, bo inaczej będą mieli ze mną kłopoty!

Tym razem położył się na pryczy ze szczęśliwym uśmiechem na twarzy. Trzeba to było porządnie przemyśleć. Musi istnieć jakaś szansa, żeby się z tego zdrowo i cało wykaraskać, bo inaczej nie zadawaliby sobie tyle trudu, żeby stworzyć mu wręcz idealne warunki do popełnienia samobójstwa. A może była to tylko wyrafinowana, podwójna gra? Dać mu nadzieje na coś, na co nie może być żadnej nadziei? Nie, to niemożliwe. Wiele można było o *nich* powiedzieć — że są mściwi, okrutni, żądni władzy, źli, ale subtelnie wyrafinowani? Nie, co to, to nie.

Oni? Po raz pierwszy w życiu Bill zadał sobie pytanie, kim właściwie są ci *oni*? Każdy zwalał wszystko na nich, każdy wiedział, że to *on* i są przyczyną wszystkich kłopotów. Bill poznał nawet na własnej skórze metody, jakimi się posługiwali. Ale kim byli? Za drzwiami rozległy się ciężkie kroki, a kiedy Bill wyjrzał na korytarz, napotkał groźne spojrzenie Kostuchy Dranga.

— Kim są *oni*? — zapytał Bill.

— *Oni* są wszystkimi, którzy chcą *nimi* być — odparł filozoficznie Kostucha, gładząc jeden ze swoich kłów. — Oni to zarówno pewien stan świadomości, jak i cała instytucja.

— Tylko bez tych mistycznych głupot. Chcę prostej odpowiedzi na proste pytanie.

— Kiedy to jest właśnie bardzo proste — odparł zupełnie poważnie Kostucha. — *Oni* umierają i są zastępowani przez nowych, ale instytucja *ichniości* ciągle istnieje.

— Przepraszam, tak sobie tylko pytałem — powiedział Bill i dalej mówił już szeptem: — Kostucha, stary druhu, znajdź mi dobrego adwokata…

— Wyznaczą ci obrońcę z urzędu.

Bill wydał z siebie najbardziej pogardliwy odgłos, na jaki było go stać.

— Obaj wiemy, na co mi się taki obrońca przyda. Potrzebuję *dobrego* adwokata. Poza tym mam pieniądze żeby mu zapłacić.

— Trzeba tak było mówić od razu. — Kostucha założył swe oprawne w złote druciki okulary i zaczął przerzucać strony małego notesu. — Biorę dziesięcioprocentową prowizje za pośrednictwo.

— Zgoda.

— W takim razie … Jakiego chcesz? Taniego uczciwego, czy drogiego nieuczciwego?

— Mam schowanych siedemnaście tysięcy …

— Od tego trzeba było zacząć. — Kostucha zamknął notes i schował go do kieszeni. — Musieli się tego obawiać; dlatego dostałeś pasek i celę z hakiem w suficie. Za takie pieniądze możesz mieć absolutnie najlepszego.

— A kto to taki?

— Abdul O'Brien — Cohen.

— Sprowadź go.

Nie minęły nawet dwie miski rozmoczonego w wodzie chleba, kiedy na korytarzu ponownie rozległy się kroki i chłodne, metalowe ściany odbiły echem czysty, przenikliwy głos.

— Salaam, chłopcze, Pan z tobą, czuję tutaj gesund sztynk niezłych kłopotów …

— To jest sprawa rozpatrywana przez sąd wojenny — wyjaśnił Bill skromnie ubranemu mężczyźnie o nie wyróżniającej się niczym twarzy. — Nie przypuszczam, żeby zgodzili się na cywilnego obrońcę.

— Begorrah, wieśniaku, z woli Allacha przygotowany jestem na każdą ewentualność.

Wyciągnął z kieszeni błyszczące od brylantyny wąsiki i przykleił je sobie do górnej wargi. Jednocześnie wyprostował przygarbione plecy, jego barki stały się nagle dwa razy szersze, w oczach pojawił się

stalowy błysk, a rysy twarzy nabrały wojskowej ostrości.

— Miło mi cię poznać. Jesteśmy w tym razem i wiedz, że nie zawiodę cię, nawet jeśli popełniłeś najbardziej niegodny żołnierza czyn.

— Co się stało z Abdulem O'Brien — Cohenem?

— Jestem także oficerem rezerwy Cesarskiego Pułku Baraterii. Kapitan A. C. O'Brien, do usług. Podobno wymieniono tutaj sumę siedemnastu tysięcy.

— Z tego dziesięć procent dla mnie — wtrącił się Kostucha.

Rozpoczęły się trwające wiele godzin negocjacje. Ostatecznie Kostucha wraz z prawnikiem, zaopatrzeni w odpowiednie wskazówki, udali się po pieniądze, Bill zaś został w celi z podpisanymi krwią i potwierdzonymi odciskami palców oświadczeniami obydwóch, że zarówno Kostucha jak i O'Brien są długoletnimi członkami Organizacji i że biorą udział w spisku na życie Cesarza. Kiedy wrócili z pieniędzmi, Bill oddał im oświadczenia, a w zamian otrzymał od O'Briena podpisany przez niego kwit, potwierdzający odebranie 15 300 baksów, stanowiących honorarium za obronę Billa w czasie rozprawy mającej się odbyć przed sądem wojskowym. Wszystkie te czynności zostały przeprowadzone w wysoce fachowy, elegancki sposób.

— Czy chce pan usłyszeć moją wersję wydarzeń? — zapytał Bill.

— Oczywiście, że nie. To nie ma absolutnie żadnego znaczenia. Wstępując do wojska zrzekłeś się wszelkich praw przysługujących ludzkiej istocie. Mogą z tobą robić, co im się żywnie podoba. Twoim jedynym atutem jest fakt, że oni także są więźniami systemu i muszą przestrzegać skomplikowanych, często przeczących sobie nawzajem praw, jakie udało im się przez stulecia stworzyć. Chcą cię rozstrzelać za dezercje i mają dowody nie do obalenia.

— Więc mnie rozstrzelają!

— Być może, ale mimo to musimy zaryzykować.

Teraz nie pozostawało już nic innego, jak tylko czekać na rozprawę. Kiedy Billowi dostarczono mundur z insygniami bezpiecznikowego pierwszej klasy na ramionach, domyślił się, że to już niedługo. Wkrótce potem przymaszerował oddział żandarmerii, otworzyły się drzwi i Kostucha kiwnął na niego rozkazująco. Eskorta wzięła Billa między siebie, on zaś starał się osiągnąć maksimum przyjemności zmieniając co chwila krok i myląc go wartownikom. Kiedy jednak dotarli do sali rozpraw, Bill przybrał marsową postawę i starał się sprawiać wrażenie otrzaskanego w bojach weterana, o którego rozlicznych przewagach świadczyły pobrzękujące mu na piersi medale. Koło wypucowanego, umundurowanego i bardzo wojskowego kapitana O'Briena stało jedno wolne krzesło.

— Zaczyna się — szepnął O'Brien. — Przyjmiemy ich warunki i

dołożymy im ich własną bronią. Wszyscy stanęli na baczność, bowiem na sale weszli tworzący skład sędziowski oficerowie. Na jednym końcu długiego, czarnego, plastykowego stołu usadzono Billa i O'Briena, na drugim zaś oskarżyciela — siwowłosego majora o srogiej minie i pasie ze sztucznej skóry. Krzesła miedzy nimi, z których widać było zarówno strony, jak i miejsca dla świadków i publiczności, zajął skład sędziowski.

— Zaczynamy — odezwał się ponurym tonem przewodniczący sądu, niski i pękaty admirał. — Oczekuję, że sąd szybko rozpatrzy sprawę, wyda sprawiedliwy wyrok, uzna więźnia winnym i skaże go na śmierć przez rozstrzelanie.

— Protestuję! — zerwał się na nogi O'Brien. — Dopóki nie udowodni się oskarżonemu winy, pozostaje on w świetle prawa niewinny, toteż …

— Protest oddalony. Obrona zostaje ukarana grzywną za nieuzasadnione zakłócanie toku rozprawy. Oskarżony z całą pewnością jest winny, dowody to potwierdzą i będziemy go mogli rozstrzelać. Sprawiedliwości musi stać się zadość.

— A więc tak to chcą rozegrać — O'Brien mruknął do Billa nie poruszając wargami. — Mogę ich wykiwać, ale musze wiedzieć, na czym stoję.

Tymczasem oskarżyciel wygłaszał już monotonnym głosem swoją mowę.

— … dlatego też zostanie ponad wszelką wątpliwość udowodnione, że bezpiecznikowy pierwszej klasy Bill świadomie i celowo przedłużył swój pobyt na przepustce o dziesięć dni, a następnie stawił czynny opór aresztującym go żandarmom, umknął pogoni i pozostawał w ukryciu przez okres ponad jednego roku standardowego, i w świetle materiału dowodowego zostanie on uznany winnym dezercji …

— I to jak cholera! — wrzasnął jeden z oficerów, czerwony na twarzy major kawalerii z czarnym monoklem w oku, zrywając się z miejsca i przewracając przy tym krzesło. — Według mnie jest winny rozwalić skurczykota!

— Zgadzam się, Sam — powiedział przewodniczący, stukając łagodnie swoim młotkiem — ale musimy go rozstrzelać zgodnie z przepisami, wytrzymaj jeszcze chwilkę.

— To nieprawda! — syknął Bill do swego obrońcy. — To było tak, że …

— Nie zawracaj sobie głowy tym, co było naprawdę. To nikogo nie obchodzi. Prawda niczego tutaj nie zmieni.

— … i dlatego wnoszę o wymierzenie mu kary śmierci — zakończył wreszcie oskarżyciel.

— Czy chce pan marnować nasz czas swoim wystąpieniem,

kapitanie? — zapytał przewodniczący, spoglądając na O'Briena.

— Tylko kilka słów, jeśli Wysoki Sąd pozwoli …

Wśród miejsc dla publiczności powstało nagłe zamieszanie, którego przyczyną okazała się opatulona szalem, ubrana w łachmany kobieta. Przyciskając do piersi zawinięty w koc tłumoczek przedarła się do sędziowskiego stołu.

— Szlachetni panowie — załkała — nie zabierajta mi Billa, światełka mojego! — Co dnia chciał wracać na służbę, ale ja chorzała, małe płakało i ja błagała go na wszystko, coby został …

— Zabierzcie ją stąd! — młotek huknął w prezydialny stół.

— … i został, zaklinał się, że tylko jeszcze jeden dzień, ale wiedział, że jak odejdzie, to pomrzemy z głodu …

Głos kobiety ścichł za żywym murem umundurowanych żandarmów, którzy pokonując jej słaby opór, odciągnęli ją do wyjścia.

— …błagam, wasze miłoście, puśćcie go, bo jak go skażecie, wy kundle bez litości, to was wszystkich piekło … — trzasnęły drzwi i głos ucichł.

— Wykreślić to z protokołu — polecił przewodniczący i łypnął w kierunku O'Briena. — Gdybym miał dowód, że maczał pan w tym palce, to kazałbym pana rozstrzelać razem z pańskim klientem. Kapitan zrobił min niewiniątka i z dłońmi splecionymi na piersi oraz odchyloną do tyłu głową miał właśnie zamiar zacząć swe wystąpienie, ale znowu mu przeszkodzono. Tym razem był to jakiś starszy mężczyzna, który wygramolił się na jedną z ławek dla publiczności i zamachał rękami, by zwrócić na siebie uwag.

— Słuchajcie mnie wszyscy! Musi dziać się sprawiedliwość, ja zaś jestem jej narzędziem. Bill jest moim synem, jedynym synem i kiedy umierałem na raka błagałem go, by mnie odwiedził, wspomógł w ostatnich chwilach mego życia… — Zakotłowało się, kiedy żandarmi usiłowali ściągnąć mówcę na ziemię i przekonali się, że mężczyzna przykuł się do ławki łańcuchem. — Zrobił to, dziecko moje kochane, gotował mi owsiankę, karmił mnie, pielęgnował i czynił to tak dobrze, że odzyskałem siły. Weźcie mnie zamiast niego, mnie, co już tyle przeżył…

— Dosyć! Tego już za wiele! — ryknął poczerwieniały jak burak przewodniczący i walnął z całej siły młotkiem, rozbijając go w drobne drzazgi. — Opróżnić salę z publiczności i ze świadków! Na mocy decyzji tego sądu dalsza cześć postępowania toczyć się będzie jako postępowanie precedensowe, bez wzywania świadków i przedstawiania dowodów! — Spojrzał po swoich kolegach, którzy zgodnie skinęli głowami. — W związku z powyższym oskarżony zostaje uznany winnym i skazany na śmierć przez rozstrzelanie. Egzekucja nastąpi natychmiast, kiedy uda się go zaciągnąć na strzelnice. Sędziowie podnosili się już z miejsc, kiedy zatrzymał ich

spokojny głos O'Briena.

— Sąd oczywiście ma zupełne prawo postąpić tak, jak postąpił, ale ma także obowiązek ogłosić, na podstawie którego artykułu bądź jakiego precedensu podjął taką właśnie decyzje.

Przewodniczący westchnął ciężko i usiadł z powrotem na miejsce.

— Bardzo chciałbym, żeby pan nie był taki przykry we współżyciu, kapitanie. Zna pan przepisy równie dobrze, jak ja. Skoro pan jednak nalega… Pablo, przeczytaj to na głos.

Sekretarz sądu przerzucił kilkanaście stron w spoczywającym na jego biurku opasłym tomie, zaznaczył odpowiednie miejsce palcem i odczytał:

— Prawo Wojenne, Przepisy Wojskowe, paragraf, strona, etc, etc… O, to tu. Paragraf 298 — B. jeżeli jakakolwiek osoba pozostająca w służbie czynnej oddali się z miejsca odbywania służby na okres więcej niż jednego roku standardowego, jest ona winna dezercji i za taką ma być uznana, nawet jeżeli nie jest fizycznie obecna przed sądem. Jedyną karę za dezercje stanowi ciężka śmierć.

— To brzmi chyba dosyć zrozumiale. Są jeszcze jakieś pytania?

— Nie mam pytań — odparł O'Brien. — Chciałbym jedynie przytoczyć pewien precedens. — Ułożył przed sobą potężny stos grubych ksiąg i otworzył leżącą na wierzchu. — Sprawa szeregowca Loeweniga wersus Siły Powietrzne Armii USA, Teksas, 1944. Podaje się tutaj, że ów Loewenig był dezerterem przez okres 14 miesięcy, po czym znaleziono go w kryjówce nad sufitem jadalni, którą to kryjówkę opuszczał jedynie w nocy w celu pożywienia się i załatwienia potrzeb fizjologicznych. Jako że jednak ani na chwile nie opuścił swojej bazy, stanowiącej dla niego miejsce odbywania służby, nie można go było uznać winnym dezercji, toteż sąd kompanijny skazał go na znacznie łagodniejszą karę za drobne wykroczenie dyscyplinarne.

Cały skład sędziowski wlepił wzrok w sekretarza, który pośpiesznie wertował swoje księgi. Po pewnym czasie znalazł to, czego szuka i na jego twarzy zagościł triumfujący uśmiech.

— Zgadza się, kapitanie, tylko że nasz oskarżony opuścił jednak miejsce służby, którym z chwilą wygaśnięcia jego przepustki było Centrum Tranzytowe i zamiast tam właśnie, przebywał w innej części planety Helior.

— Zgadza się, panie sekretarzu — odparł O'Brien wyławiając ze swego stosu jeden z tomów i machając nim nad głową — tylko że w sprawie Dragsteda versus Pułk Konduktorski Cesarskiej Floty Kosmicznej, Helior, 8832, uzgodniono, żeby dla uniknięcia wszelkich prawnych wątpliwości określenia „planeta Helior" i „miasto Helior" uważać za tożsame.

— Co się niewątpliwie zgadza — przerwał przewodniczący — tylko że nie ma to najmniejszego znaczenia. Wszystko to nie ma

najmniejszego związku z dzisiejszą sprawą i proszę pana, kapitanie, żeby pan dał spokój, bo jestem umówiony na partyjkę golfa.

— Będzie pan wolny za dziesięć minut, sir, jeśli pozwoli mi pan dokończyć. Chciałbym przedstawić ostatni dokument, podpisany przez admirała Mormoseta…

— To przecież ja! — zakrztusił się przewodniczący.

— …w którym to dokumencie, pochodzącym z pierwszego okresu wojny z Chingersami, uznaje się całe — miasto Helior za samodzielną jednostkę wojskową. Wnoszę przeto niniejszym o oczyszczenie oskarżonego z zarzutu dezercji, jako że nigdy nie opuścił on tej planety, a co za tym idzie miasta, a co za tym idzie swojej jednostki, a co za tym idzie miejsca odbywania służby.

Zapadła śmiertelna cisza, którą przerwał wreszcie drżący głos przewodniczącego.

— Czy to prawda, Pablo? Nie możemy go rozstrzelać?

Czoło sekretarza pokryło się perlistym potem, kiedy z szaleńczym pośpiechem grzebał w swoich książkach, by w końcu odepchnąć je od siebie i powiedzieć cierpkim tonem:

— Niewzruszona prawda i nic na to nie można poradzić. Ten arabsko — żydowsko — irlandzki błazen załatwił nas bez pudła. Oskarżony jest niewinny.

— Nie będzie egzekucji? — zapytał jeden z sędziów głosem balansującym na krawędzi histerii, podczas gdy inny skrył twarz w dłoniach i zaczął cichutko płakać.

— No, aż tak łatwo się nam nie wywinie — powiedział przewodniczący, zezując groźnie na Bilia. — Jeżeli oskarżony przez cały ten rok nie opuszczał miejsca odbywania służby, to oznacza to, że był na posterunku, a że przez ten rok musiał przecież kiedyś spać, znaczy to, że spał na posterunku. W związku z tym skazuje go na rok i jeden dzień ciężkich robót w wiezieniu wojskowym oraz degradację do stopnia bezpiecznikowego siódmej klasy. Zerwać mu insygnia i zabrać stąd. Idę na golfa.

18.

Areszt Tymczasowy był prowizorycznym budynkiem, skleconym z przymocowanych do metalowego szkieletu plastykowych płyt i ustawionym pośrodku dużego kwadratowego placu. Otaczało go sześć rzędów zasieków z drutu kolczastego pod napięciem, dookoła maszerowały patrole żandarmów z uzbrojonymi w bagnety atomowymi strzelbami, a otwieraniem i zamykaniem prowadzących do budynku drzwi zajmowały się specjalne automaty. Przez jedno z takich wejść wtoczył się do środka kajdanobot, a zaraz za nim przykuty do niego Bill. Kajdanobot przypominał solidną, poruszającą się na klekoczących gąsienicach skrzynie, sięgał Billowi do kolan i wyposażony był w mocną, stalową linkę z kajdankami na końcu. Kajdanki znajdowały się na przegubach Billa. Ucieczka była niemożliwa, bowiem na najmniejszą próbę uwolnienia się, robot reagował z sado — masochistyczną przyjemnością detonacją umieszczonej w swoim wnętrzu miniaturowej bomby atomowej, zabijając siebie, więźnia i sporą grupę znajdujących się w pobliżu osób. Jednak znalazłszy się we wnętrzu budynku robot nie protestował, kiedy dowodzący strażą sierżant rozpiął kajdanki.

— Dobra, mądralo, teraz jesteś u mnie, a to oznacza dla ciebie masę kłopotów — wycedził sierżant. Miał dokładnie wygoloną głowę, pokrytą licznymi bliznami szczękę i małe, blisko siebie osadzone oczy, w których migotały brudne ogniki głupoty.

Bill przymrużył w odpowiedzi swoje i naprężając powoli biceps uniósł w górę swą czekoladową, lewo — prawą rękę. Potężne mięśnie Tembo rozdarły z głośnym trzaskiem cienki materiał więziennego kombinezonu. Bill wskazał na wstążkę orderu Purpurowej Rzutki, którą przypiął sobie do piersi:

— Wiesz, za co to dostałem? — zapytał głuchym, pozbawionym emocji głosem. — Dostałem to za własnoręczne zabicie 13 Chingersów w bunkrze, który kazano mi zdobyć. Natomiast do tego aresztu dostałem się dlatego, że zaraz potem zabiłem sierżanta, który mnie tam posłał. Mówiłeś coś o jakichś kłopotach, sierżancie?

— Jak ty mi nie będziesz sprawiał kłopotów, to ja tobie też nie! — zakwiczał sierżant, odskakując na bezpieczną odległość. — Cela 13, w górę i na prawo… — przerwał nagle i zaczął gryźć na raz wszystkie paznokcie u obu rąk.

Drzwi do numeru 13 były otwarte i Bill zajrzał do wąskiej celi, słabo oświetlonej blaskiem sączącym się przez plastykowe ściany. Niemal całe pomieszczenie zajmowało piętrowe łóżko, pozostawiając tylko wąskie przejście tuż przy ścianie. Umeblowania dopełniały umieszczone vis a vis wejścia dwie wypaczone półki, pod którymi

widniał niezmywalny napis: BĄDŹ PRZYZWOITY — OBSCENICZNOŚĆ TO WODA NA MŁYN NIEPRZYJACIELA! Na dolnej pryczy leżał chudy mężczyzna o długiej twarzy oraz małych oczkach i uważnie przypatrywał się Billowi. Bill nastroszył się, odpowiadając podobnym spojrzeniem.

— Właśnie pilnowałem, żeby ci nie zajęli dolnej pryczy — wyjaśnił chudzielec, przenosząc się pośpiesznie na górę. — Tak, właśnie… Nazywam się Blackey i odsiaduję dziesięć miesięcy za to, że powiedziałem jednemu podporucznikowi, żeby sobie lepiej palnął w łeb…

Zawiesił głos, jakby na coś czekając, ale Bill całkowicie go zignorował. Bolały go nogi. Ściągnął błyszczące buciory i wyciągnął się na posłaniu. Nad krawędzią górnej pryczy, niczym wystawiony z nory łebek świstaka, pojawiła się głowa Blackeya.

— Nieprędko dostaniemy coś do żarcia… Co byś powiedział na chabetoburgera? Obok głowy pojawiła się ręka z zawiniętą w folie paczuszką.

Bill przyjrzał się podejrzliwie podarunkowi, po czym rozdarł folię. Powietrze dostało się do środka, tlen połączył się z szybkopalnymi cząsteczkami i po chwili gorący chabetoburger rozsiewał aromatyczny zapach. Bill dodał trochę ketchupu z osobnej, dołączonej do opakowania torebeczki i ostrożnie ugryzł kawałek. Wspaniały, soczysty chabetoburger.

— Ta stara szkapa smakuje tak, jak wyglądała — powiedział Bill z pełnymi ustami. — Jak ci się udało to?

Blackey uśmiechnął się i mrugnął konspiracyjnie.

— Układy. Przynoszą mi, kiedy tylko o to poproszę. Nie dosłyszałem imienia…

Bill. — Jedzenie złagodziło jego nie najlepszy nastrój. — Rok i jeden dzień za spanie na służbie. Rozstrzelaliby mnie za dezercje, ale miałem dobrego obrońcę. Ten burger też był dobry, szkoda, że nie ma go czym popić…

Blackey podał mu małą buteleczkę z napisem SYROP OD KASZLU.

— Specjalność mojego kumpla z oddziałów sanitarnych. Wódka pół na pół z eterem.

— Uuuuh! — stęknął Bill po opróżnieniu połowy butelki i otarł łzy kapiące mu obficie z oczu. Czuł się już niemal pogodzony ze światem. — Dobry z ciebie kumpel Blackey.

— Nie mylisz się — spoważniał Blackey. — Nigdy nie zaszkodzi mieć dobrego kumpla, a już szczególnie w wojsku. Spytaj starego Blackeya, on wie niejedno na ten temat. Jak tam z twoimi mięśniami, Bill? Bill leniwie zademonstrował mu biceps Tembo.

— Miło to widzieć — powiedział z podziwem w głosie Blackey. — Z twoimi mięśniami i moim mózgiem możemy niejedno zdziałać…

— Ja też mam mózg!

— Daj mu odpocząć, od myślenia jestem ja. Więcej widziałem różnych armii niż ty dni w swoim życiu. Pierwszą ranę odniosłem służąc pod Hannibalem, o, to ta blizna — pokazał Billowi biały ślad na wierzchu dłoni. — Przeczułem jednak, że facetowi powinie się noga i zawczasu przeszedłem do chłopców z Rzymu. Od tamtego czasu uczę się pilnie i jak dotąd, zawsze udaje mi się spaść na cztery łapy. Tamtego ranka pod Waterloo zżarłem trochę mydła, dostałem sraczki i zostałem w obozie. Nic nie straciłem, mówię ci. Przeczułem też coś niedobrego nad Sommą — a może to było pod Ypres? Te stare nazwy trochę już mi się mieszają. W każdym bądź razie przeżułem wtedy dobrze papierosa i wsadziłem go sobie pod pachę. Dostałem gorączki i spóźniłem się na przedstawienie, ale wierz mi, wcale tego nie żałuję. Zawsze twierdziłem, że nie ma takich opałów, z których nie można by się wykaraskać.

— Nigdy nie słyszałem o tych bitwach. To z Chingersami?

— Nie, wcześniej, dużo wcześniej. Wiele wojen temu.

— Musisz być już dosyć stary, Blackey. Nie wyglądasz na swoje lata.

— Faktycznie, nie jestem już młodzieniaszkiem, ale nie opowiadam o tym, bo i tak mi nikt nie wierzy. A ja przecież pamiętam, jak budowano piramidy i jakie paskudne żarcie dawali w asyryskiej armii, i jaki łomot sprawiliśmy hordzie Mondy, kiedy próbowali się dostać do naszej jaskini.

— To brzmi jak kupa bzdur — zauważył leniwie Bill, pociągając z butelki.

— Wszyscy tak mówią, dlatego wolę siedzieć cicho. Nie wierzą mi, kiedy pokazuję im mój talizman. Wyciągnął dłoń, na której leżał niewielki biały trójkąt o nieco wyszczerbionym jednym boku. — Ząb pterodaktyla. Zastrzeliłem go przy użyciu procy, którą sam wcześniej wynalazłem.

— Wygląda jak kawałek plastyku.

— No właśnie. Teraz już wiesz, dlaczego nikomu nie opowiadam tych historii. Zaciągam się tylko na nowo do armii i…

Bill poderwał się jak dźgnięty szpilką.

— Zaciągasz się na nowo? Przecież to samobójstwo!

— Gdzież tam znowu. W czasie wojny najbezpieczniej jest w wojsku. Tym na pierwszej linii odstrzeliwują tyłki, cywilom na zapleczu rozwalają je bombami, a pośrodku jest jak u Pana Boga za piecem. Na każdego żołnierza biorącego bezpośredni udział w walce przypada od trzydziestu do siedemdziesięciu urzędników. Kiedy opanujesz papierkową robotę, jesteś zdrów. Kto kiedy słyszał, żeby rozstrzeliwano urzędników z kancelarii? Ja zaś jestem znakomitym urzędnikiem. Ale tylko w czasie wojny. Kiedy zdarza się, że w wyniku

jakiegoś niedopatrzenia panuje przez jakiś czas pokój, najlepiej jest załapać się do oddziałów pierwszoliniowych. Lepsze żarcie, dłuższe przepustki, sporo podróżowania, nic do roboty.

— A jak wybuchnie wojna?

— Znam 735 różnych sposobów, żeby dostać się do szpitala.

— Nauczysz mnie kilku?

— Dla ciebie wszystko, Bill. Najlepiej wieczorem, kiedy przyniosą żarcie. A przy okazji: strażnik, który roznosi dzisiaj jedzenie, nie chciał mi wyświadczyć pewnej drobnej przysługi, o którą go poprosiłem. Życzę mu serdecznie, żeby sobie złamał rękę…

— Którą? — zapytał Bill, zaciskając z głośnym chrzęstem pięści.

— Och, według twego uznania.

Areszt Tymczasowy był miejscem, w którym przetrzymywano więźniów wysyłanych skądś dokądś. Życie, ku zadowoleniu zarówno aresztantów, jak i ich strażników, toczyło się tutaj spokojnym, nieśpiesznym rytmem. Jeden ze strażników, nowy człowiek, który przeszedł niedawno ze Straży Terytorialnego, miał podczas rozdawania posiłku przykry wypadek, w wyniku którego złamał sobie rękę. Nawet jego koledzy powitali to zdarzenie z zadowoleniem. Mniej więcej raz w tygodniu Blackeya odprowadzano pod eskortą do Sekcji Dokumentów, gdzie na polecenie pewnego podpułkownika fałszował zapisy w księgach rachunkowych. Podpułkownik działał bardzo aktywnie na czarnym rynku, bowiem postanowił zostać milionerem zanim zdążą go wysłać na emerytur. Pracując w Sekcji, Blackey zatroszczył się o to, by strażnicy z Aresztu Tymczasowego otrzymywali niezasłużone awanse, dodatkowe przepustki i gratyfikacje pieniężne za nie istniejące odznaczenia. W rezultacie tych zabiegów Bill i Blackey jedli i pili co dusza zapragnie i robili się coraz grubsi. Działo się tak aż do pewnego ranka, kiedy Blackey wrócił po całonocnej pracy w Sekcji Dokumentów i obudził Billa.

— Mam dobre wiadomości — powiedział. — Wyjeżdżamy.

— Co w tym niby dobrego? — zapytał kwaśno Bill, niezupełnie jeszcze trzeźwy po zakończonej w późnych godzinach wieczornych libacji, — Mnie się tu podoba.

— Może się zrobić dla nas gorąco. Podpułkownik łypie na mnie tak jakoś dziwnie i zdaje się, że ma zamiar wysłać nas gdzieś na drugi koniec galaktyki, na pierwszą linie frontu. Do końca tygodnia jeszcze na — pewno nic nie zrobi, bo muszę dokończyć dla niego parę rzeczy. Załatwiłem więc rozkaz przeniesienia nas jeszcze w tym tygodniu na Tabes Dorsalis, tam gdzie są te kopalnie cementu.

— Planeta Pyłów! — wrzasnął Bill i chwycił Blackeya za gardło. — Zajmująca całą planet kopalnia, gdzie ludzie po paru godzinach umierają na pylicę! Najgorsze piekło, jakie…

— Tylko spokojnie! Otwórz zawory bezpieczeństwa i zmniejsz

ciśnienie.: Czy myślisz, że wysłałbym nas na pewną śmierć? Tak to pokazują w telewizji, ale ja mam dostęp do informacji nieoficjalnych. Zgoda, jeżeli trafisz do kopalni, to koniec z tobą, ale mają tam też bazę z całą masą papierkowej roboty, do której biorą zaufanych więźniów, bo zawodowy personel po prostu już nie wystarcza. Zmieniłem ci w kartotece specjalność z bezpiecznikowego, czyli z pewnej śmierci, na kierowcę. Masz, to jest prawo jazdy upoważniające cię do prowadzenia wszystkiego, od monocykla począwszy, na atomowym czołgu skończywszy. Będziemy mieli ciepłe posadki, a co najważniejsze, cała baza jest klimatyzowana.

— Miło było tutaj — westchnął Bill, biorąc z ociąganiem kawałek miękkiego plastyku potwierdzający jego umiejętności obsługiwania całej masy dziwnych pojazdów, z których większości nigdy w życiu nie widział na oczy.

— Raz tu, raz tam… W gruncie rzeczy wszędzie jest tak samo — stwierdził Blackey, pakując swe przybory toaletowe.

Zaczęli podejrzewać, że coś jest jednak nie tak, kiedy na szyje założono im metalowe obroże, skuto łańcuchami z resztą więźniów, a przy załadunku na transportowiec asystował im oddział żandarmerii w pełnym uzbrojeniu bojowym.

— Ruszać się! — wrzasnął jeden ze strażników. — Odpoczniecie sobie na Tabes Dorsalgia! — Gdzie?! — ze zgrozą wykrztusił Bill.

— Słyszałeś, gnojku! Stul pysk!

— Mówiłeś, że to ma być Tabes Dorsalis! — syknął Bill do przykutego przed nim Blackeya. — Tabes Dorsalgia to baza na Venioli, na pierwszej linii frontu. Idziemy do walki!

— Pomyliło mi się przy przepisywaniu — westchnął Blackey. — Nie zawsze wszystko się udaje. Uniknął wymierzonego mu kopniaka, a potem czekał cierpliwie, aż żandarmi skończą tłuc Billa pałkami i wniosą go, nieprzytomnego, na pokład.

19.

Veniola… Spowita całunem mgły planeta, pełna trudnych do wyobrażenia okropieństw, okrążająca ukradkiem upiorne zielone słońce zwane Hernia niczym jakiś odrażający, niedawno wypełzły ze swej kryjówki, złoczyńca. Jakie tajemnice kryły się pod wieczną zasłoną mgły? Jakie nie znane jeszcze monstra czyhały w niezliczonych stawach i czarnych bezdennych lagunach? W obliczu czekających ich niebezpieczeństw ludzie tracili częstokroć zmysły, nie mając odwagi stanąć twarzą w twarz z czymś; co nie miało twarzy… Veniola… Bagnista planeta, zamieszkana przez zdradzieckich Venian…

Było gorąco, wilgotno i śmierdziało, jak diabli. Drewniane ściany nowo wzniesionych baraków zdążyły już niemal zupełnie przegnić. Po zdjęciu butów na stopach momentalnie pojawiał się grzybek. W barakach zdjęto im łańcuchy, bo i tak nie było tutaj dokąd uciec. Bill, zaciskając i otwierając potężną pięść Tembo wyruszył na poszukiwanie Blackeya, ale po chwili przypomniał sobie, że przy opuszczaniu statku Blackey szepnął kilka słów jednemu ze strażników, wsunął mu coś do kieszeni, a po chwili został rozkuty i zniknął z pola widzenia. W tej chwili wypełnia już pewnie jakieś dokumenty w miejscowej kancelarii, a jutro znajdzie się w izbie chorych. Bill westchnął głęboko, po czym zapomniał o całej sprawie, była to bowiem jeszcze jedna z wielu rzeczy, na które nie miał najmniejszego wpływu i zwalił się ciężko na najbliższą pryczę. Momentalnie ze szpary w podłodze wystrzeliła potężnych rozmiarów liana, okręciła się cztery razy dookoła łóżka, unieruchamiając go skutecznie, po czym wbiła mu w nogę ssawki i zaczęła wysysać z niego krew.

— Grrrk! — tyle tylko zdołał powiedzieć Bill, na wpół uduszony przez ściskające go za gardło pnącze.

— Nigdy nie kładź się bez noża w ręku — poradził mu wychudły, pożółkły sierżant i odciął lianę w miejscu, w którym wyrastała spod podłogi:

— Dzięki, sierżancie — powiedział Bill, zdejmując z siebie krwiożercze zwoje i wyrzucając je za okno.

Sierżant zaczął nagle drżeć na całym ciele jak szarpana wściekle struna, zatoczył się i padł jak długi na podłogę.

— P… p… pastylki… kie… kie… kieszeń… k… k… k… koszuli… — wycharczał z trudem przez dzwoniące zęby.

Bill znalazł w jego kieszeni pudełko z pastylkami i wepchnął mu kilka z nich do ust. Trzęsionka ustała i zlany potem sierżant, mizerniejszy jeszcze i bardziej żółty, niż przed chwilą, usiadł, opierając się o ścianę.

— Żółtaczka, gorączka bagienna i pasożyty — nigdy nie wiem, co mnie dopadnie i dlatego nie mogę brać bezpośredniego udziału w walce. Nie utrzymałbym pistoletu. Żebym ja, sierżant Ferkel, chluba Rzeźników Kirjasoffa, musiał robić za niańkę w obozie pracy! Co, myślisz może, że to mi się nie podoba.? Skądże znowu, ja się z tego cieszę, a bardziej cieszyłbym się tylko wtedy, gdyby mnie zabrali z tej zafajdanej planety.

— Czy nie zaszkodzi panu łyk alkoholu? — zapytał Bill, wyciągając butelkę syropu od — kaszlu. — Trochę tu ciężko, co?

— Nie tylko nie zaszkodzi, ale… — dalsze słowa zagłuszyło donośne gulgotanie, a kiedy sierżant przemówił ponownie, miał głos może odrobinę zachrypnięty, ale za to bez wątpienia silniejszy.

— Ciężko? To za mało powiedziane. Już walczyć z Chingersami jest ciężko, a na tej planecie co gorsza tubylcy są po ich stronie. Ci Venianie wyglądają może jak zapleśniałe traszki, a inteligencji mają akurat tyle, żeby wziąć w łapy miotacz i nacisnąć spust, ale to *ich* planeta i w tych bagnach nie mamy z nimi szans. Chowają się pod ziemią, pływają pod wodą, włażą na drzewa — wszędzie ich pełno. Nie mają dróg zaopatrzenia, organizacji, armii. Oni po prostu walczą. Kiedy jeden ginie, reszta go zjada. Kiedy któremuś kończy się amunicja, zatrute strzały, czy co tam jeszcze, płynie sto mil do bazy, bierze, co mu potrzeba i nazad do walki. Bijemy się tu od trzech lat i obecnie kontrolujemy sto mil kwadratowych powierzchni.

— No, sto, to brzmi nieźle…

— Może dla takiego głupka jak ty. To jest raptem dziesięć mil na dziesięć, w tym może o dwie więcej, niż zajęliśmy zaraz po lądowaniu.

Zaszurały ciężko żołnierskie buty i do baraku zaczęli napływać wycieńczeni, przesiąknięci wodą ludzie. Sierżant Ferkel zerwał się na nogi i dmuchnął z całych sił w gwizdek.

— Słuchajcie, nowi! Zostaliście przydzieleni do kompanii B, która teraz zbiera się na placu i zaraz wymaszeruje na bagna kończyć to, co zaczęły te łachudry z kompanii A. Musicie odwalić kawał porządnej roboty. Nie będę apelował do waszego poczucia obowiązku, do waszego honoru czy lojalności… Wyciągnął zza pasa atomowy pistolet i wypalił w powietrze. Przez dziurę w suficie momentalnie zaczął zacinać deszcz. — Apeluję wyłącznie do waszego instynktu samozachowawczego, bo każdy bumelant, obibok czy symulant zostanie przeze mnie osobiście zastrzelony. A teraz wynocha.

Z wyszczerzonymi zębami i trzęsącymi się rękoma wyglądał na wystarczająco szalonego, żeby zrobić to; o czym mówił. Bill, wraz z resztą kompanii B, wybiegi na deszcz i ustawił się w dwuszeregu.

— Brać siekiery, kilofy i wymarsz, raz, dwa! — poganiał ich dowódca straży, kiedy grzęznąc w błocie usiłowali dostać się do bramy. Kiedy pobrali wreszcie narzędzia i ustawili się w jakim takim

porządku, otoczył ich oddział uzbrojonych po zęby strażników. Wcale nie dlatego, że ktoś miał zamiar gdzieś uciekać, ale po to, żeby zapewnić pracującym więźniom przynajmniej minimalną ochronę przed nieprzyjacielem. Brnęli powoli prowadzącą w bagna drogą z pni powalonych drzew, kiedy ryknęło rozdzierane powietrze i nad ich głowami przemknęły ciężkie transportowce.

— Mamy dzisiaj szczęście — powiedział jeden ze starszych więźniów. Posłali ciężką kawalerię. Nie sądziłem, że jeszcze im została.

— Zdobędą nowe tereny? — zapytał Bill.

— Gdzież tam, lecą po swoją śmierć. Ale zanim ich wyrżną, u nas będzie trochę spokojniej i może uda nam się nie stracić zbyt wielu ludzi.

Nie czekając na rozkaz przystanęli, by podziwiać, jak ciężka kawaleria spada niczym deszcz na rozciągające się przed nimi bagna i znika równie szybko i bez śladu, jak krople deszczu. Co jakiś czas rozlegał się huk i widzieli błysk eksplozji małej bombki atomowej, która prawdopodobnie rozpylała na atomy kilku Venian, ale już całe chmary nieprzyjaciół czekały, by zająć miejsce zabitych. W oddali grzechotała ręczna broń i dudniły wybuchy granatów. W pewnej chwili ujrzeli postać zbliżającą się do nich w dziwnych podskokach. Był to kawalerzysta w pełnej zbroi, gazoszczelnym hełmie, z dyndającymi u pasa atomowymi bombkami i granatami, słowem, chodzący arsenał. Czy może raczej skaczący, bowiem nawet na brukowanej ulicy miałby poważne kłopoty z poruszaniem się w tym żelastwie, toteż zaopatrzony był w dwa silniczki rakietowe przytroczone do bioder. Jego podskoki stawały się coraz krótsze i niższe, aż wreszcie, może 50 jardów od nich, wpadł po piersi w bagno zgrzane dysze zasyczały, zetknąwszy się z wodą, podskoczył jeszcze raz, ale już zupełnie anemicznie, silniki zakrztusiły się i zgasły. Kawalerzysta otworzył płytkę czołową swego hełmu.

— Hej, chłopaki! — zawołał. — Ci cholerni Chingersi trafili mnie w zbiornik paliwa, nie mogę już skakać.

— Wyjdź z tego małpiego stroju, to ci pomożemy — odparł dowódca straży.

— Zwariowałeś! — wrzasnął żołnierz. — Potrzeba godziny, żeby się z tego wydostać. — Spróbował jeszcze raz uruchomić silnik, ale uzyskał w odpowiedzi tylko słabe „pfff” i uniósł się może na stopę, po czym opadł z powrotem do wody. — Nie mam paliwa! Pomóżcie mi, wy sukinsyny! Co jest, kurka wasza… wrzeszczał, pogrążając się coraz głębiej. Wreszcie woda zalała mu głowę, a potem było jeszcze kilka bąbli powietrza i nic więcej.

— Tak jest zawsze: „kurka wasza” i koniec… — westchnął dowódca. — Ruszamy dalej! — A po chwili dodał: — Te ich stroje

ważą po 3000 funtów. Idą na dno jak kamień.

Jeżeli tak wyglądał spokojny dzień, to Bill nie chciałby widzieć niespokojnego. Ponieważ cała powierzchnia Venioli pokryta była ogromnym trzęsawiskiem, nie było mowy o jakimkolwiek poruszaniu się naprzód, dopóki nie wybudowało się drogi. Pojedynczy żołnierze mogli jeszcze jako tako przejść, ale dla sprzętu, czy nawet ciężej uzbrojonych ludzi, droga była niezbędna. Dlatego właśnie więźniowie budowali drogę z pni drzew. Na samej linii frontu.

Woda wokół nich gotowała się od wybuchów atomowych pocisków, a zatrute strzały spadały jak gęsta ulewa. Przy nie ustającym ani na chwile ogniu więźniowie ścinali drzewa, obciosywali je z gałęzi, po czym wiązali mocno i układali na rozmiękłym gruncie, przedłużając w ten sposób drogę o dalszych kilkanaście cali. Bill rąbał, obciosywał i wiązał, starając się nie zwracać uwagi na okrzyki bólu i walące się bezwładnie ciała, aż do chwili, gdy wreszcie zaczął zapadać zmierzch. Znacznie mniej teraz liczny oddział ruszył w gęstniejącym mroku w stronę bazy.

— Ułożyliśmy co najmniej 30 jardów — powiedział Bill do maszerującego przy nim starego więźnia.

— I co z tego? Venianie podpłyną w nocy i wszystko porozciągają.

W tej chwili Bill postanowił za wszelką cenę się stąd wydostać.

— Masz może jeszcze trochę tego napoju? — zapytał sierżant Ferkel po powrocie do baraków, kiedy Bill usiadł ciężko na pryczy i zabrał się do zeskrobywania z siebie ostrzem noża grubej warstwy błota. Ściął błyskawicznym ruchem wyłażące spod łóżka pnącze i odpowiedział pytaniem na pytanie:

— Czy mógłbym pana prosić o radę, sierżancie?

— Jestem niewyczerpaną fontanną dobrych rad, pod warunkiem, że mam czym przepłukać sobie gardło.

Bill wyciągnął z kieszeni butelkę.

— Jak można się stąd wydostać? — zapytał.

— Dając się zabić — odparł sierżant, unosząc butelkę do ust. Bill wyrwał mu ją z dłoni.

— Tyle to ja wiem i bez pańskiej pomocy! — parsknął.

— I więcej się nie dowiesz! — odparsknął sierżant.

Dotykając się niemal nosami zawarczeli na siebie z głębi gardeł. Po chwili, kiedy już udowodnili sobie nawzajem, jak są twardzi, odprężyli się, sierżant oparł się o ścianę, a Bill z westchnieniem podał mu butelkę.

— A co z pracą w kancelarii? — zapytał.

— Nie mamy kancelarii. Nie mamy w ogóle żadnych dokumentów. Każdy tu prędzej czy później zostaje zabity, a kogo obchodzi, kiedy i jak dokładnie to się stało?

— Rany?

— Idziesz do szpitala, wracasz do zdrowia i z powrotem trafiasz tutaj. — W takim razie jedyne wyjście to bunt! — wykrzyknął Bill.

— Próbowaliśmy już cztery razy, ale nic z tego nie wyszło. Wstrzymywali po prostu dostawy żywności, a nam nie pozostawało nic innego, jak ponownie zgodzić się walczyć. Coś tu jest pokopane z chemią, wszystko na tej planecie jest dla nas śmiertelną trucizną. Bunt może się udać tylko wtedy, jeśli uda nam się zdobyć wystarczającą ilość statków, żeby stąd uciec. Jeżeli masz w związku z tym jakieś pomysły, to skontaktuj się ze Stałym Komitetem ds. Organizacji Buntu.

— Więc nie ma żadnego sposobu?

— Jusz czy to powedżałem… — wybełkotał Ferkel i pijany zwalił się bez czucia na pryczę.

— Zaraz to sprawdzimy — mruknął Bill i przywłaszczając sobie pistolet sierżanta, wymknął się z baraku tylnymi drzwiami.

Wysunięte do przodu pozycje rozbłyskiwały światłami pancernych reflektorów, toteż Bill skierował się w przeciwną stronę, w kierunku wznoszących się w niebo i zniżających ku ziemi rufowych płomieni rakiet. Przypadł do ziemi i pełzł niczym wąż. Wychyliwszy się zza wybujałej kępy roślinności ujrzał przed sobą rzęsiście oświetlone zasieki z drutu kolczastego.

Pocisk z atomowej strzelby wyrwał w ziemi dziurę może jard od jego głowy. Zapłonął jeszcze jeden reflektor i chwycił go w stożek oślepiającego światła.

— Pozdrowienia od dowódcy — rozległ się głos z ukrytych w zasiekach głośników. — Ta informacja jest nagrana na taśmę. Usiłujesz opuścić strefę wojenną i dostać się na teren kwatery głównej. Jest to zabronione. Twoja obecność została wykryta przez automatyczne czujniki, które wycelowały w ciebie sterowane komputerowo działka. Masz sześćdziesiąt sekund na wycofanie się. Bądź patriotą! Wypełniaj swoje obowiązki! Śmierć Chingersoml Pięćdziesiąt pięć sekund. Czy twoja matka ma się dowiedzieć, że jej syn okazał się tchórzem? Pięćdziesiąt sekund. Cesarz zainwestował w ciebie masę pieniędzy — tak mu za to odpłacasz? Czterdzieści pięć sekund…

Bill zaklął desperacko i strzelił w najbliższy głośnik, ale inne wciąż działały, toteż zawrócił i odpełzł w stronę, z której przyszedł.

Kiedy zbliżał się ostrożnie do baraków, starając się nie dać dostrzec nadwrażliwym wartownikom, wszystkie światła nagle zgasły, a dokoła rozpętało się istne piekło strzałów, wybuchów i eksplozji.

20.

Coś prześlizgnęło się koło Billa i jego zaciśnięty na spuście palec drgnął instynktownie. W krótkim, atomowym błysku ujrzał dymiące szczątki martwego Venianina, jak również całą masę żywych Venian idących do ataku. Dał momentalnie nura w bok, dzięki czemu nie dosięgnął go ich skomasowany ogień i umknął w kierunku przeciwnym do ich marszu. Że uciekał akurat w głąb bezkresnych trzęsawisk, nie miało dla niego najmniejszego znaczenia. „Chcę żyć!!!", wyło jego małe, trzęsące się ze strachu ja, toteż nie oglądając się na nic gnał na oślep przed siebie.

Kiedy podmokły grunt ustąpił miejsca bagnu, biegło mu się znacznie trudniej, a jeszcze trudniej, kiedy bagno z kolei zmieniło się w głęboką wodę. Po rozpaczliwym, trwającym nie wiadomo ile czasu machaniu kończynami dotarł do dającego jakie takie oparcie trzęsawiska. Runął na jakąś stertę błota i w tej samej chwili w pośladek wbiły mu się czyjeś ostre zęby. Wrzeszcząc jak opętany rzucił się do kolejnej ucieczki, którą tym razem zakończył bardzo szybko, wpadając na niewidoczne w kompletnej ciemności drzewo. Dotknięcie chropowatej, pomarszczonej kory wyzwoliło pradawne instynkty zakodowane głęboko w jego mózgu i wspiął się na drzewo niczym małpa. Wysoko w górze natrafił na odchodzące widlasto od pnia gałęzie i usadowił się na nich wygodnie, z plecami opartymi o pień i wycelowaną przez siebie bronią gotową do strzału. Czuł się teraz bezpieczny, odległe odgłosy walki cichły coraz bardziej i po kilku minutach głowa zaczęła mu się kiwać ze zmęczenia.

Był już szary świt, kiedy otworzył zapuchnięte oczy i zamrugał, rozglądając się dookoła. Na pobliskiej gałęzi siedziała mała jaszczurka i przypatrywała mu się swymi diamencikowymi oczami.

— Eee… ale masz twardy sen — zauważył Chinges.

Strzał Billa zwęglił koniec gałęzi. Chingers wyłonił się spod konaru i otrzepał łapki z popiołu.

— Nie bądź taki nerwowy, Bill — powiedział. — Eee… gdybym chciał, mógłbym cię zabić, kiedy spałeś.

— Ja cię znam — wychrypiał Bill. — Jesteś Gorliwy Jasio.

— Eee… miło spotkcie znajomka, co nie, Bill?

Po gałęzi wędrowała sobie stonoga i Gorliwy Jasio, Chingers chwycił ją w trzy ze swoich rąk. Czwartą odrywał jej po kolei nogi i zjadł ze smakiem.

— Rozpoznałem cię, Bill, i chciałem troszkę z tobą porozmawiać. Niepotrzebnie nazwałem cię wtedy kablem, to nie było w porządku. Robiłeś tylko to, co do ciebie należało. Ale jak właściwie udało ci się mnie zdemaskować, co? Nie powiesz pewnie… — mrugnął

zachęcająco.

— Odchrzań się ode mnie, dobra? — warknął Bill i wyciągnął z kieszeni butelkę z syropem od kaszlu. Jasio Chingers westchnął ze smutkiem.

— Oczywiście, nie mogę od ciebie wymagać, żebyś zdradził tajemnice wojskową. Ale może odpowiesz mi na kilka pytań. — Wyrzucił pozbawione kończyn ciało stonogi, pogrzebał w swojej brzusznej torbie i wydobył miniaturowy notatnik i pisak.

— Musisz przede wszystkim wiedzieć, że nie jestem szpiegiem z zawodu, tylko że wzięto mnie do tej roboty z racji mojej specjalności, którą jest egzobiologia. Słyszałeś może coś o tej dyscyplinie?

— Mieliśmy kiedyś pogadankę z takim facetem, nawijał cały czas o jakichś robakach z innych planet i o takich różnych.

— No, tak, o to mniej więcej chodzi. To nauka o obcych formach życia, a dla nas wy, homo sapiens, jesteście oczywiście taką właśnie formą…

Bill uniósł broń i Chingers zniknął pod gałęzią.

— Uważaj, co mówisz, gadzie!

— Przepraszam, mam taką manierę… Żeby się długo nie rozwodzić — ponieważ specjalizowałem się w badaniach waszego gatunku, wysłano mnie do was jako szpiega. Nie byłem tym specjalnie zachwycony, ale co robić, wojna od każdego wymaga poświęceń. Kiedy cię teraz zobaczyłem, przypomniałem sobie, że jest jeszcze cała masa rzeczy, których o was nie wiem, a które może zechciałbyś mi wyjaśnić. Dla dobra nauki, rzecz jasna.

— Jak co, na przykład? — zapytał podejrzliwie Bill, ciskając w bagno opróżnioną butelkę.

— Eee… choćby taka prosta sprawa — co wy czujecie do nas, Chingersów?

— Śmierć Chingersom!

Mały pisak zachrobotał pośpiesznie w notatniku.

— Tego cię nauczono w wojsku. Co czułeś przedtem?

— Przedtem nic mnie nie obchodziliście. — Kątem oka Bill obserwował jakieś podejrzane ruchy w górnej części korony drzewa.

— Doskonale! Powiedz mi w takim razie, kto tak nienawidzi Chingersów i pragnie prowadzić tę wyniszczającą wojnę?

— Zdaje się, że nikt was nie nienawidzi. Po prostu nie ma akurat pod ręką nikogo innego, z kim można by się bić, więc bijemy się z wami.

Poruszające się od dłuższego czasu liście rozsunęły się i wyłoniła się z nich wielka, błyszcząca głowa z oczami jak szparki.

— Wiedziałem! A teraz najważniejsze pytanie — dlaczego wy, homo sapiens, musicie ciągle prowadzić z kimś wojnę?

Bill ścisnął mocniej w dłoni pistolet, bowiem potworna głowa

zniżyła się bezgłośnie, zatrzymując się tuż za Gorliwym Jasiem, Chingersem. Głowa przymocowana była do grubego na stopę, najwyraźniej nieskończenie długiego, wężowego cielska.

— Dlaczego? Bo ja wiem? — zastanowił się Bill, rozproszony trochę pojawieniem się olbrzymiego węża. — Chyba po prostu to lubimy, nie widzę innego powodu.

— Lubicie! — zapiszczał Chingers, podskakując z podniecenia jak piłka. — Żadna cywilizowana rasa nie może lubić śmierci, zabijania, kaleczenia, gwałtu, tortur, bólu, żeby wymienić tylko kilka nieodłącznych składników każdej wojny. Wy po prostu nie jesteście cywilizowani!

Wąż uderzył jak błyskawica i Gorliwy Jasio, Chingers zniknął w jego paszczy, zdążywszy tylko wydać ledwie słyszalny skrzek zdumionego przerażenia.

— Tak… chyba masz rację… — mruknął Bill, trzymając potwora na muszce, ale wąż zignorował go i ruszył na dół. Co najmniej pięćdziesiąt stóp ogromnego cielska przedefilowało przed Billem, zanim mignął wreszcie cienki ogon i wąż zniknął.

— Zasłużył sobie na to, szpieg przeklęty — chrząknął z satysfakcją Bill i zabrał się do schodzenia. Dopiero znalazłszy się na ziemi zdał sobie sprawę, w jak nieciekawą sytuację udało mu się znowu wpakować. Bagno wchłonęło wszelkie ślady, jakie pozostawiła jego nocna wędrówka i teraz nie miał najmniejszego pojęcia, w którym kierunku znajdowało się pole bitwy. Teren zajmowany przez ludzi, dziesięć mil na dziesięć, stanowił w porównaniu z powierzchnią planety obszar równy ukłuciu szpilki. A jednak musiał tam trafić, bo inaczej mógł się już zająć szukaniem względnie suchego miejsca na grób. Tak czy siak, należało zacząć działać, toteż wybrał najbardziej obiecująco wyglądający kierunek i ruszył w drogę.

— Mam dość — powiedział po pewnym czasie i rzeczywiście tak było. Jedynym, co osiągnął w wyniku kilkugodzinnej, morderczej wędrówki, było ogromne osłabienie, setki ukąszeń owadów, strata litra lub dwóch krwi, którą wyssały mu wszechobecne pijawki i znaczne rozładowanie pistoletu, bowiem był zmuszony zabić kilka miejscowych form życia, które chciały spożyć go na śniadanie. Bill również był głodny, chciało mu się pić, a na dodatek ciągle nie miał pojęcia, gdzie się znajduje.

Druga część dnia niczym się nie różniła od pierwszej, toteż kiedy zaczął zapadać zmrok, Bill bliski był kompletnego wyczerpania. Na domiar złego skończył mu się syrop od kaszlu. Strasznie chciało mu się pić, a kiedy wdrapał się na drzewo, by znaleźć w miarę wygodne miejsce, w którym mógłby spędzić noc; znalazł na nim czerwony, apetycznie wyglądający owoc.

— Podobno to trucizna — mruknął, przyglądając mu się nieufnie,

a potem powąchał go. Pachniał bardzo ładnie. Cisnął go w błoto.

Rano był jeszcze bardziej głodny.

— A może by tak strzelić sobie w łeb? — zapytał się na głos, ważąc w dłoni ciężar swego atomowego pistoletu. — Mam czas. Jeszcze dużo może się zdarzyć. — Jednak nie wierzył z początku własnym uszom, kiedy usłyszał dochodzące z daleka głosy. Ludzkie głosy. Z wycelowaną w tamtą stronę bronią Skrył się na ile mógł, za grubym konarem.

Głosy zbliżały się, a wraz z nimi jakieś dziwne klekotanie i dzwonienie. Dołem przemknął uzbrojony Venianin, ale Bill nie zareagował, bowiem z mgły wyłoniły się kolejne postaci. Był to długi rząd więźniów skutych razem łańcuchem łączącym nałożone im na szyje metalowe obroże. Każdy z nich niósł na głowie duży pakunek. Bill pozwolił im przejść pod drzewem, a sam dokładnie policzył veniańskich strażników. Było ich pięciu, szósty zaś ubezpieczał tyły. Kiedy znalazł się pod drzewem, Bill runął znienacka na niego, miażdżąc mu czaszkę swymi ciężkimi butami. Venianin uzbrojony był w wykonaną przez Chingersów kopie standardowej atomowej strzelby i Bill uśmiechnął się złowróżbnie czując w ręku jej swojski ciężar. Wetknąwszy pistolet za pas ruszył za kolumną ze strzelbą gotową do strzału. Drugiego strażnika zabił uderzeniem kolby w kark. Dwaj ostatni w szeregu więźniowie widzieli, co się dzieje, ale mieli na tyle rozsądku, żeby zachowywać się spokojnie i pozwolić mu podkraść się do kolejnego Venianina. Jednak czy to jakieś gwałtowniejsze poruszenie któregoś z więźniów, czy może inny przypadkowy odgłos wzbudził czujność strażnika. Odwrócił się, unosząc lufę swej strzelby. Bill stracił szansę sprzątnięcia go bez hałasu, toteż nie zastanawiając się odstrzelił mu głowę i pognał najszybciej, jak potrafił, w stronę czoła pochodu. Po huku wystrzału zapadła śmiertelna cisza, ale Bill zaraz wypełnił ją swoim krzykiem.

— Padnij! Szybko!

Żołnierze rzucili się w błoto, a Bill, naciskając cały czas spust, biegł ze strzelbą przy biodrze, waląc jard nad ziemią do przodu i na boki. We mgle rozległy się przeraźliwe wrzaski, po czym ładunek się skończył. Bill odrzucił strzelbę i chwycił za pistolet. Dwóch z pozostałych strażników było martwych, jeden zaś ranny. Udało mu się oddać pojedynczy, niecelny strzał, zanim Bill dobił go z pistoletu.

— Nieźle — wysapał. — Sześciu na sześciu możliwych.

Wśród więźniów rozległy się głośne jęki. Bill podszedł do nich i spojrzał z niesmakiem na trzech żołnierzy, którzy nie posłuchali jego wywrzeszczanej komendy.

— Co jest? — zapytał, trącając jednego z nich butem. — Nigdy nie byłeś w walce? — Żołnierz nie odpowiedział jednak, bowiem był już tylko zwęglonym trupem.

— Nigdy… — jęknął drugi, zaciskając zęby z bólu. — Wezwijcie sanitariusza, jest jeden na początku. Och, czemu ją opuściłem starą, dobrą „Fanny Hill”… Lekarza!

Bill zmarszczył brwi, dostrzegłszy na kołnierzyku rannego dystynkcje podporucznika. Pochylił się i starł trochę błota z jego twarzy.

— To ty! Oficer pralniczy! — zawył z wściekłością unosząc pistolet, by dokończyć zaczętej roboty.

— Nie, to nie ja! — jęknął podporucznik, rozpoznając Billa. — Oficer pralniczy spłynął z deszczem, to ja, twój przyjaciel, kapelan, przynoszący ci błogosławieństwo Ahura Mazdy… Synu mój, czy czytałeś codziennie przed udaniem się na spoczynek święte karty Awesty?

— Pff! — prychnął pogardliwie Bill. Nie mógł go jednak teraz ot, tak sobie, zabić i przeszedł do trzeciego poszkodowanego.

— Cześć, Bill… — powiedział słaby głos. — Chyba się starzeje… To nie twoja wina, powinienem paść, jak inni…

— Pewnie, że powinieneś — odparł Bill spoglądając w dół na znajomą, znienawidzoną twarz z wystającymi kłami. — Umierasz, Kostucha. Tylko sobie możesz to zawdzięczać.

— Wiem… — wyszeptał Kostucha i zaniósł się słabym kaszlem. Przymknął oczy. — Ustawcie się w koło! — krzyknął Bill. — Chce, żeby go ktoś zbadał.

Skuci łańcuchami więźniowie skupili się wokół leżących na ziemi ciał, pozwalając sanitariuszowi dokonać oględzin.

— Podporucznikowi wystarczy bandaż na ręku — powiedział po dłuższej chwili. — Zwyczajne poparzenia. Ale ten duży z zębami już się z tego nie wywinie.

— Możesz go jeszcze trochę utrzymać przy życiu? — zapytał Bill. — Przez jakiś czas, ale nie wiem, jak długo.

— Więc to zrób. — Bill spojrzał po stojących dookoła więźniów. — Możecie zdjąć te obroże?

— Bez kluczy nie da rady — odparł krzepki sierżant kawalerii — a strażnicy nigdy ich nie noszą. Będziemy musieli w tym zostać. Dlaczego właściwie ryzykowałeś dla nas życie? — zapytał podejrzliwie.

— Dla was? — parsknął pogardliwie Bill. — Byłem głodny i pomyślałem sobie, że w tych pakach może być żywność.

— A, chyba że tak — powiedział uspokojony sierżant. — Teraz rozumiem, czemu ryzykowałeś. Bill otworzył tymczasem konserwę i napchał sobie całe usta jedzeniem.

21.

Martwego żołnierza odcięto od łańcucha i to samo chcieli uczynić z rannym Kostuchą jego dwaj sąsiedzi, ale Bill przekonał ich, mówiąc, że jedynie godnym ludzkiej istoty czynem jest niesienie pomocy bliźnim, a szczególnie dotkniętym nieszczęściem kolegom. Zgodzili się całkowicie z jego argumentacją, w chwili, kiedy zagroził im, że odstrzeli im nogi. Podczas gdy więźniowie posilali się, Bill wyciął dwie elastyczne żerdzie i sporządził z nich oraz z kilku kurtek zgrabne nosze. Jedną ze zdobycznych strzelb zatrzymał dla siebie, inne zaś rozdzielił miedzy krzepkiego sierżanta i dwóch czy trzech bardziej do rzeczy wyglądających weteranów.

— Trafimy z powrotem? — zapytał Bill sierżanta, który starannie wycierał strzelbę z wilgoci.

— Może. Powinniśmy jeszcze znaleźć nasze ślady, bo w końcu szło przecież sporo ludzi. Musimy uważać na Venian. Trzeba ich zdmuchnąć, zanim zdołają przekazać informacje o nas. Kiedy usłyszymy odgłosy walki, wyszukamy najspokojniejsze miejsce i spróbujemy się przedrzeć. Szanse pół na pół.

— To i tak lepiej, niż godzinę temu.

— Mowa. Ale będą gorsze, jeżeli się nie pośpieszymy.

— Fakt. Ruszamy!

Szło im się łatwiej, niż Bill się spodziewał i wczesnym popołudniem głuchym grzmotem doszły ich pierwsze odgłosy strzałów. Jedyny Venianin, którego spotkali po drodze, został na miejscu zastrzelony. Bill wstrzymał pochód.

— Zjeść, ile się da, a resztę wyrzucić — polecił. — Podaj dalej. Trzeba będzie szybko się ruszać. Podszedł do Kostuchy, żeby sprawdzić, jak mu się wiedzie.

— Słabo… — wyszeptał Kostucha z twarzą białą jak papier. — To już koniec, Bill… wiem o tym… sterroryzowałem już ostatniego rekruta… ostatni raz stałem w kolejce po żołd… zrobiłem ostatnią inspekcje… żegnaj, Bill… dobry z ciebie kolega… tak troszczysz się o mnie…

— Miło, że tak myślisz, Kostucha. Może w takim razie zechciałbyś wyświadczyć mi drobną przysługę. Przetrząsnął kieszenie umierającego, aż wreszcie znalazł jego oficerski notatnik. Otworzył go i nabazgrał coś na jednej z pustych stron. — Mógłbyś to podpisać? Ot, ze względu na naszą starą przyjaźń… Kostucha?

Potężna ręka opadła bezwładnie, złowieszcze, czerwone oczy patrzyły niewidząco przed siebie.

— Ten cholerny skurczybyk umarł w najmniej odpowiednim momencie — powiedział z niesmakiem Bill. Po krótkim namyśle

posmarował kciuk nieboszczyka atramentem i przyłożył go do kartki.

— Sanitariusz! — zawołał. Szereg zwinął się w koło, by sanitariusz mógł stanąć przy Billu. — Co z nim?

— Martwy jak trup — oznajmił medyk po rutynowym badaniu.

— Tuż przed śmiercią zapisał mi swoje kły, o, tutaj, widzisz? Były specjalnie hodowane i kosztują masę forsy. Dadzą się przeszczepić?

— Pewnie, jeżeli w ciągu najbliższych dwunastu godzin uda się je wyciąć i zamrozić.

— Nie ma problemu, weźmiemy ciało ze sobą. — Spojrzał groźnie na niosących nosze żołnierzy i pogłaskał kolbę atomowej strzelby. Protestów nie było. — Dajcie tu tego podporucznika.

— Kapelanie — powiedział Bill podsuwając mu kartkę z notesu. — Chce tu mieć podpis oficera. Tuż przed śmiercią ten żołnierz podyktował mi swoją ostatnią wole, ale był zbyt słaby, żeby się podpisać, więc odcisnął tutaj swój kciuk. Napisze mi pan pod spodem, że widział pan, jak on to robił i że wszystko odbyło się tak, jak powinno. Potem pan to podpisze swoim imieniem i nazwiskiem.

— Ale… Nie, nie mogę, synu. Przecież nie widziałem, jak ten nieszczęśnik odciskał ślad swego kciuka i grlmgrhrrr…

Kapelan powiedział „grimgrhrrr”, ponieważ Bill wsadził mu w usta lufę pistoletu i obracał ją z wolna trzymając palec na spuście.

— Strzelaj — doradził sierżant kawalerii, a trzej będący najbliżej żołnierze zaklaskali z podziwu. Bill nieśpiesznie wycofał pistolet.

— Cieszę się, że mogę ci pomóc — oświadczył kapelan, chwytając pośpiesznie za pióro.

Bill przeczytał uważnie dokument, chrząknął z zadowoleniem i odszukał w szeregu więźniów sanitariusza.

— Jesteś ze szpitala? — zapytał.

— Tak jest i jak do niego wrócę, to już za żadne skarby świata z niego nie wyjdę. Takie już moje cholerne szczęście, że urządzili te zasadzkę akurat wtedy, kiedy była moja kolej zbierania rannych.

— Słyszałem, że nie wywożą stąd rannych, tylko łatają ich na miejscu i wysyłają z powrotem na linię?

— Dobrze słyszałeś. Bardzo trudno będzie przeżyć tę wojnę.

— Ale muszą chyba trafiać się zbyt ciężko ranni, żeby wracać do walki? — nie ustępował Bill.

— Ech, te cuda współczesnej medycyny — westchnął sanitariusz, żując kawałek suszonego mięsa. Albo jesteś trup, albo po kilku tygodniach wracasz na pierwszą linie.

— A jak komuś odstrzelą rękę?

— Mają całą lodówkę rąk. Przyszywają nową i wio, z powrotem do oddziału.

— A co ze stopami? — pytał dalej coraz bardziej zaniepokojony Bill.

— Słusznie, zupełnie zapomniałem! Mają niedobór stóp. Tak wielu chłopaków leży bez stóp, że już w mają ich gdzie kłaść. Mieli właśnie zacząć wysyłać niektórych na inne planety.

— Masz jakieś pastylki przeciwbólowe? — zapytał Bill, zmieniając temat. Sanitariusz wyciągnął białą butelkę.

— Weźmiesz trzy i możesz się śmiać, kiedy ci będą ucinać głowę.

— Daj mi trzy.

— Aha, jakbyś gdzieś przypadkiem zobaczył faceta z odstrzeloną stopą, to zawiąż mu coś mocno nad kolanem, żeby powstrzymać upływ krwi.

— Dzięki, kolego.

— Nie ma o czym mówić.

— Chodźmy już — odezwał się sierżant kawaleni. — Im szybciej, tym lepiej.

Gęstą mgłę przecinały co rusz błyskawice atomowych wybuchów, a grząskim gruntem wstrząsały eksplozje ciężkich pocisków. Poruszali się równolegle do linii ognia, aż wreszcie doszli do miejsca, w którym kanonada prawie zupełnie ustała. Bill, jako jedyny mogący się swobodnie poruszać, przeczołgał się naprzód w celu dokonania rekonesansu. Linie nieprzyjaciela wyglądały na słabo umocnione i wkrótce znalazł miejsce, które najlepiej nadawało się na dokonanie przeskoku. Obwiązał sobie nogę nad kolanem mocnym sznurkiem, zdjętym z jednej z paczek z żywnością, skręcił go mocno przy pomocy jakiegoś kija i połknął pastylki. Potem skrył się za gęstą kępą krzaków i wrzasnął na cały głos:

— Prosto przed siebie, a potem w prawo przy kępie! Biegiem!

Pognał jako pierwszy, a po chwili, kiedy już był pewien, że reszta go widzi, skręcił między drzewa.

— A to co? — zawołał. — Chingersi!

Usiadł opierając się plecami o chropowaty pień, wycelował starannie i odstrzelił sobie prawą stopę. — Ruszać się! — wrzasnął i słyszał, jak jego ludzie pędzą co sił przez zarośla. Wystrzelił parę razy w powietrze, po czym stanął na zdrowej nodze. Strzelba okazała się zupełnie skuteczna, tym bardziej że wcale nie musiał daleko kuśtykać. Dwaj żołnierze, najwidoczniej nowi, bo inaczej zastanowiliby się nad tym, co robią, wybiegli na przedpole i pomogli mu zejść do okopu.

— Dziękuję, koledzy — wydyszał, osuwając się na ziemię. — Wojna to naprawdę piekło.

22.

Wojskowa muzyka wróciła echem od wzgórza, odbijając się od kamienistych występów i umilkła w kojącym cieniu zielonych drzew. Zza zakrętu wyłonił się kroczący dumnie w kłębach kurzu pochód, prowadzony przez wspaniałego robota — orkiestrę. Słońce błyszczało w złotych blachach jego kończyn i odbijało się w wypolerowanych powierzchniach grających donośnie instrumentów. W ślad za nim toczył się z klekotem niewielki oddział robotów pomocniczych, na samym zaś końcu, brzęcząc podskakującymi mu na piersi medalami, maszerował samotny, szpakowaty sierżant. Chociaż droga była równa, sierżant potknął się nagle i zaklął z wprawą, jakiej mógł nabyć tylko podczas długich lat służby.

— Stać! — rozkazał.

Oddział posłusznie stanął, on zaś oparł się o biegnący równolegle do drogi, kamienny murek, podwinął prawą nogawkę i dał znak małym gwizdkiem. Jeden z robotów podjechał pośpiesznie, wręczając mu spore pudło z narzędziami. Sierżant wyjął z pudła płaski klucz, dokręcił obluzowaną nakrętkę w stawie swej sztucznej stopy, a następnie kapnął do niej trochę oleju i opuścił nogawkę. Kiedy wyprostował się, zobaczył bysiowatego, wiejskiego chłopaka, który prowadząc robomuła, zbliżał się do murku odgraniczającego pole od drogi, kończąc głęboką orkę.

— Piwo! — warknął sierżant. — I „Lament Kosmonauty”!

Robot — orkiestra rozpłynął się w rzewnych tonach starej melodii, a kiedy robomuł doszedł do krawędzi poła, na murku stały już dwa zaparowane kufle zimnego piwa.

— Fajnie gra — powiedział chłopak.

— Łyknij sobie ze mną piwa — zaprosił go sierżant, wsypując do jednego kufla biały proszek z ukrytej w dłoni torebki.

— Pewno, że se łyknę, gorąc dzisiaj, jak cho… jak nigdy.

— Powiedz „cholera”, synu. Nie bój się, słyszałem już parę razy to słowo.

— Mamusia nie lubi, jak przeklinam. O, ale pan masz długie zęby!

Sierżant pogładził palcem jeden ze swoich kłów.

— Taki duży chłop jak ty powinien od czasu do czasu trochę sobie poprzeklinać. Gdybyś był żołnierzem, mógłbyś mówić „cholera”, albo nawet „jasna cholera” ile razy zechcesz.

— Nie wiem, czy chciałbym coś takiego mówić — powiedział chłopak, rumieniąc się pod opalenizną. Dzięki za piwo, ale musze do pługa. Mamusia nie lubi, jak rozmawiam z żołnierzami.

— Twoja mamusia ma racje, większość z nich to brudna,

przeklinająca, zapijaczona banda. Słuchaj, nie chciałbyś zobaczyć zdjęcia nowego typu robomuła? Może chodzić tysiąc godzin bez wymiany oleju. Sierżant wyciągnął za plecami rękę i robot włożył mu w nią miniaturową przeglądarkę.

— E, no pewnie!

Chłopak podniósł przeglądarkę do oczu, po czym zarumienił się jeszcze bardziej.

— Proszę pana, to nie robomuł, tylko dziewczyna… i ona jest zupełnie…

Sierżant sięgnął błyskawicznie i nacisnął guzik w obudowie przeglądarki. Coś w jej wnętrzu strzeliło i chłopak znieruchomiał, jakby tknięty paraliżem. Nie zareagował, kiedy sierżant wyjął mu ze zmartwiałych palców małe urządzenie.

— Weź to pióro — polecił sierżant i palce chłopca zaciśnęły się posłusznie na obsadce. — A teraz podpisz ten formularz, o tu, gdzie „podpis rekruta"…

Pióro zaskrzypiało na papierze i w tej samej chwili rozległ się przeraźliwy krzyk.

— Charlie! Co robicie mojemu Charliemu! — zawodziła niemłoda już, siwowłosa kobieta; biegnąc co sił w ich stroń.

— Pani syn służy teraz ku chwale Cesarza — odparł sierżant i przywołał skinieniem ręki zrobotyzowanego krawca.

— Nie! Tylko nie to! — błagała kobieta, czepiając się ręki sierżanta i skrapiając ją obficie łzami. — Straciłam już jednego syna, czy to nie wystarczy?… — Spojrzała w górę przez łzy zalewające jej oczy i zamrugała z niedowierzaniem.

— Ależ… ależ to ty, moje dziecko! Mój Bill wrócił do domu! Nawet z tymi zębami, bliznami, z jedną ręką czarną, a drugą białą, z tą sztuczną stopą — to ty, Bill! Matka zawsze pozna swoje dziecko! Sierżant zmarszczył z namysłem brwi.

— Możliwe, że ma pani racje — powiedział. — Tak mi się wydawało, jakbym skądś znał nazwę tej planety.

Krawiec skończył tymczasem pracę. Papierowy mundur czerwienił się w blasku słońca, a grube na jedną molekułę buty błyszczały oślepiająco.

— Do szeregu! — ryknął Bill i nowy rekrut przesadził jednym susem kamienny murek.

— Billy, Billy! — łkała kobieta. — To twój młodszy brat, Charlie! Nie weźmiesz przecież swego braciszka do wojska, nie weźmiesz, prawda?

Bill pomyślał o swojej matce, o swoim młodszym braciszku Charliem, a potem o miesiącu, o jaki za każdego zwerbowanego rekruta zostanie skrócona pozostająca mu do odbycia służba i wiedział już, co ma odpowiedzieć.

— Oczywiście, że wezmę.

Zagrzmiały fanfary, rozległ się równy łoskot żołnierskich butów, matka, jak to zawsze czynią matki, zaniosła się płaczem, a mały oddział ruszył pod górę zakurzoną drogą i zniknął w blasku zachodzącego słońca.

Koniec